

ZBIORY OŚRODKA KARTA

# kontakt

Miesięcznik redagowany przez członków Towarzystwa „Solidarność”

wybór tekstów  
z numerów:

9, 10, 11 - 1987



WYDAWNICTWO  
WYZWOLENIE

# kontakt

Miesięcznik redagowany przez członków i sympatyków „Solidarności”

wybór tekstów  
z numerów:

9, 10, 11 – 1987

 WYDAWNICTWO  
WYZWOLENIE

## SPIS TRESCI

Od redakcji	1	
Milion dla "Solidarności"	2	Marek Stypułkowski
VIDEOKONTAKT		
Emisariusze: Jan Karski, Jan Nowak, Jerzy Lerski	3	film Andrzeja Wolskiego
KONTAKT LITERACKI I ARTYSTYCZNY		
Rafał Gan-Ganowicz	17	J.B.
Mchawi Mukundu i trzech legionistów	18	Rafał Gan-Ganowicz
Hotchkiss i płk. Kozłowski	25	Rafał Gan-Ganowicz
RELACJE I REPORTAŻE		
Mozesz wyjść za kogo chcesz, tylko nie za komunistę	36	Beata Pawlak
HISTORIA NAJNOWSZA		
Kilka tysięcy ofiar, kilka- naście czy też milion (tezy z narady I sekretarza KW)	43	opr. Marek Stypułkowski
Z OBOZU		
Gorbaczow i Europa Wschodnia	49	Charles Gati
Między Rosją a Polską	64	Józef Darski
Układ Warszawski: wydatki wojskowe i transfer broni	91	Bela Szabo

Kongres Stanów Zjednoczonych przyznał pomoc dla NSZZ „Solidarność” w wysokości 1 miliona dolarów. Pieniądze te zostały przyznane dla Związku na zakup sprzętu na Zachodzie, na pomoc dla osób represjonowanych oraz na funkcjonowanie Biura Zagranicznego „Solidarności” w Brukseli.

O pomoc do Kongresu USA wystąpiło Biuro Zagraniczne na podstawie budżetu przygotowanego przez Tymczasową Komisję Koordynacyjną „Solidarności”. W lipcu, wówczas gdy milion dla „Solidarności” został już przyznany, Związek podjął decyzję o nieprzyjęciu dotacji Kongresu Stanów Zjednoczonych na cele związkowe i wystąpił z propozycją przekazania jej na cele socjalne, związane z ochroną zdrowia.

Między datą podpisania uchwały przez prezydenta Reagana a datą listu przewodniczącego Związku Lecha Wałęsy do Kongresu USA, upłynął miesiąc. Sygnalizuje to nieoczekiwane kontrowersje, które „sprawa miliona” wywołała. Nie po raz pierwszy, ale wyjątkowo silnie i w kwestii, zdawało się, uzgodnionej, ujawniły się różnice zdań wśród działaczy i doradców Związku. Jako argumenty wysunięto groźbę, *notabene* sformułowaną po raz pierwszy przez Jaruzelskiego, traktowania – w przypadku przyjęcia dotacji – działaczy związkowych jako osób pozostających na utrzymaniu obcego mocarstwa, groźbę pogorszenia się stosunków „Solidarności” z Kościołem oraz groźbę odwrócenia się od „Solidarności” zachodnich związków zawodowych. Przewodniczący Biura Zagranicznego Związku, Jerzy Milewski, konsultował się jednak w sprawie pomocy z przewodniczącymi obu międzynarodowych central związkowych: nie wyrażali oni żadnych obiekcji.

Sprawa pomocy odbiła się szerokim echem i działacze związkowi z zakładów pracy nie mieli wątpliwości, że przyznane pieniądze powinny zostać przekazane dla struktur organizacyjnych Związku. Borykają się one na co dzień z brakiem sprzętu poligraficznego i radiowego, brakiem funduszy na płacenie grzywien, na pomoc dla represjonowanych, wynajem mieszkań dla potrzeb organizacyjnych itp. Działacze zakładowi i regionalni zdają sobie sprawę, że najważniejszą potrzebą jest wzmocnienie struktur organizacyjnych „Solidarności”. Tylko dobrze funkcjonująca organizacja może zapewnić obronę ludzi pracy, tylko z taką organizacją będą się liczyć komuniści. Wszyscy ci, którzy zajmują się „wielką polityką”, powinni zdawać sobie sprawę z tego, że przy braku takiej organizacji będą prezentować tylko siebie.

NSZZ „Solidarność” ma zarówno prawo przeznaczyć przyznane mu bezwarunkowo pieniądze na cele wymienione w preliminażu budżetowym TKK, jak i na inne cele. I ani z jednego, ani z drugiego nie musi się tłumaczyć. Jednakże należy pamiętać, że preliminaże budżetowe nie są sprawą nastrojów, tylko wyrazem realnych potrzeb – tak są przyjmowane w poważnym świecie prawdziwego pieniądza traktowane. Rzeczowo i na serio pracowane, muszą być na serio realizowane. Uleganie w takich sprawach nastrojom czy naciskom nie tylko obniża autorytet wszystkich zainteresowanych, lecz może także w przyszłości utrudnić zdobywanie nawet znacznie mniejszych funduszy.

Redakcja „Kontakt”

# MILION DLA

## „SOLIDARNOŚCI”

4 PAZDZIERNIKA 1986 roku została opracowana przez Tymczasową Komisję Koordynacyjną NSZZ „Solidarność” lista potrzeb Związku na rok 1987. Znalazły się na niej następujące sumy:

FUNDUSZ POMOCY, 100.000 dolarów na pomoc finansową, medyczną i prawną dla osób represjonowanych, więźniów politycznych i ich rodzin.

FUNDUSZ ORGANIZACYJNY, kierownictwo krajowe związku i jego sekretariat – 50.000 dolarów, struktury regionalne (10 regionów) – 250.000 dol. (po 20–30 tysięcy na region).

– FUNDUSZE NA ZAKUP sprzętu poligraficznego, radiowego i komputerowego – 250.000 dol.

DLA BIURA ZAGRANICZNEGO NSZZ „Solidarność” – 150.000 dol.

FUNDUSZ POMOCY dla struktur i organizacji niezależnych od NSZZ „Solidarność” – 200.000 dol. (w tym 100.000 dol. dla prasy i wydawnictw).

Zestaw ten (na sumę 1 miliona dolarów) został przekazany przez TKK do Biura Zagranicznego NSZZ „Solidarność” w Brukseli. Stamtąd rozesłany został do organizacji związkowych na całym świecie. Przesłany został także do organizacji polonijnych z prośbą o pomoc w staraniach zmierzających do uzyskania tych pieniędzy.

W LUTYM 1987 roku Jerzy Milewski, kierownik Biura Zagranicznego NSZZ „Solidarność” oraz Elżbieta Wasiutyńska, członek zarządu Kongresu Polonii Amerykańskiej na stan Connecticut i członek Zarządu Północnoamerykańskiego Studium Spraw Polskich przemawiali na zebraniu organizacji Coalitions for America. Przedstawili oni sytuację w Polsce, stan NSZZ „Solidarność” oraz potrzeby finansowe Związku. Udosłuchili zestaw z 4 października, opracowany przez TKK.

Zainspirowany tym spotkaniem Michał Hammond, współpracownik senatora Jamesa McClure rozpoczął w Kongresie Starów Zjednoczonych starania o dotację dla NSZZ „Solidarność”.

10 KWIETNIA 12 senatorów (po 6 z obu partii): Symms, Dixon, Grassley, Riegle, Simon, d'Amato, Dodd, Hecht, Wallop, Bradley, Moynihan i Humphrey zgłosiło projekt rezolucji w sprawie przyznania w roku budżetowym 1987 dodatkowego 1.000.000 dolarów *na pomoc dla polskiego niezależnego związku zawodowego „Solidarność”*. Projekt otrzymał numer S.J. Res. 115. Niebawem podpisy pod rezolucją złożyli następnii senatorowie: Pell, Durenberger, McClure, Levin, Hatch i Kasten.

16 KWIETNIA Jerzy Milewski przesłał do Lane'a Kirklanda, przewodniczącego AFL-CIO, list z prośbą o poparcie dla rezolucji Senatu w sprawie pomocy dla Solidarności.

29 KWIETNIA, w związku z pytaniami dotyczącymi sposobu przekazywania funduszy do Polski, Jerzy Milewski przesłał do Andrew Jazwicka (asystent senatora Symmsa) i do Joe Clayтона (asystent senatora Dixona) swoje sugestie na temat dróg przekazywania funduszy, w przypadku gdyby projekt rezolucji został zatwierdzony: (...) *Polityczne znaczenie będzie jeszcze większe, jeżeli AFL-CIO będzie występowało jako administracyjny pośrednik finansowy. (...) Następną możliwość którą chciałbym zasugerować to uczynienie pośrednikiem finansowym Kongresu Polonii Amerykańskiej lub wchodzącego w jego skład Studium (Północnoamerykańskie Studium Spraw Polskich – przyp. M.S.)*

30 KWIETNIA Biuro Zagraniczne NSZZ „Solidarność” zostało powiadomione przez pracownika działu zagranicznego AFL-CIO Adriana Kartnickiego o pełnym poparciu dla rezolucji Senatu nr 115. Wcześniej (w lutym) Tom Kahn dyrektor działu zagranicznego AFL-CIO, poparł pomysł starań o dotację dla „Solidarności” w Kongresie USA.

30 KWIETNIA kongresmani Kemp i Udall zgłosili w Izbie Reprezentantów projekt rezolucji dotyczącej *pomocy dla NSZZ „Solidarność”*. Ten projekt otrzymał numer H.J. Res. 263.

W maju wysłany został z Polski do senatorów Dixona i Symmsa list podpisany przez jednego z działaczy NSZZ „Solidarność” z podzię-

kowaniem za starania o pomoc dla Związku. W liście tym czytamy m.in.:  
(...) Wasza decyzja kontynuowania pomocy dla naszej walki jest ogromnie  
silnym postanowieniem nadziei dla narodu polskiego. (...)

Nasza prośba o 1 milion dolarów rocznie zawiera pomoc dla wszystkich  
dziesięciu regionalnych struktur NSZZ „Solidarność”, dla centrali  
kierowanej przez naszego Przewodniczącego Lecha Wałęsę, na kupno  
sprzętu poligraficznego i radiowego za granicą, na pomoc finansową, prawną  
i medyczną dla osób represjonowanych oraz ich rodzin, na działalność  
naszego Biura na Zachodzie i na utrzymanie funduszu przeznaczanego  
na pomoc niezależnym wydawnictwom i organizacjom.

Posiadam upoważnienie od Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej  
NSZZ „Solidarność” (...) do wyrażenia wdzięczności NSZZ „Solidarność”  
i narodu polskiego za Waszą i Waszych kolegów inicjatywę bardzo  
na czasie i wiele znaczącą. (Imię i nazwisko autora tego listu znane  
redakcji).

1 MAJA Komisja Finansowa Senatu (Committee on Appropriations)  
przedstawiła swój projekt ustawy budżetowej, wprowadzając do  
pierwotnego projektu (opracowanego przez Izbę Reprezentantów) nowy  
rozdział, dotyczący pomocy zagranicznej. W nowo opracowanej wersji  
czytamy m.in.: 1.000.000 dolarów powinien być udostępniony, niezależnie  
od innych warunków prawnych, tylko na pomoc dla niezależnego  
polskiego związku zawodowego „Solidarność”.

W pierwszej wersji projektu budżetu (nie zawierającej dotacji dla  
NSZZ „Solidarność”) znalazł się wniosek o przyznanie PRL 30.000.000  
dolarów z Funduszu Pomocy Wojskowej (Military Assistance Program).  
Komisja Finansowa Senatu zredukowała sumy przeznaczone na pomoc  
wojskową o 80% i wniosek o przyznanie pieniędzy Jaruzelskiemu nie  
został wprowadzony do wersji budżetu przedstawionej przez Senat.

6 MAJA Jerzy Milewski przekazał asystentom senatorów Symmsa  
i Clayтона dalsze uwagi dotyczące sposobu przekazania dotacji. Pisał  
m.in., że zwiększenie liczby organizacji pośredniczących przy przekazywaniu  
funduszy zwiększa ilość raportów i sprawozdań, a tym samym zwiększa  
zagrożenie odbiorców w Polsce. Ponadto wydłuża drogę i czas przekazywania  
funduszy oraz zmniejsza sumy docierające do odbiorców, gdyż każda z  
organizacji pośredniczących potrąca swoje koszty administracyjne. W tej  
sytuacji – sugerował Jerzy Milewski – gdyby pośrednictwo AFL-CIO lub  
organizacji polonijnych wymagało utworzenia łańcucha innych pośredników –  
lepszym rozwiązaniem byłoby przekazanie funduszy bezpośrednio ze skarbu  
państwa do Biura Zagranicznego NSZZ „Solidarność” w Brukseli.

2 CZERWCA podczas dyskusji w Senacie nad ustawą budżetową w sprawie dotacji dla „Solidarności” głos zabrał jedynie senator Symms. Powiedział on m.in.: *Panie Przewodniczący, dzień dzisiejszy jest ważny w historii Ameryki. Jest to dzień, w którym rząd Stanów Zjednoczonych podejmuje wreszcie akcję na rzecz popierania wolności i demokracji w Polsce (...). Dodatkowa ustawa o przeznaczeniu funduszy na rok 1987 jest klauzulą, która przewiduje 1.000.000 dolarów na pomoc dla polskiej niezależnej organizacji związkowej „Solidarność”.*

*Przez 5 lat Solidarność występowała z prośbą do rządu USA o pomoc finansową. Obecnie, gdy prezydent Reagan znosi sankcje handlowe ustanowione wobec PRL, Kongres ma możliwość poparcia ludzi walczących o swą wolność, przekazując dla nich 1 milion dolarów. Pieniądze będą przeznaczone na wzmocnienie organizacyjnych struktur na poziomie zakładu i regionu, zwiększenie możliwości zakupu sprzętu drukarskiego i radiowego oraz na umożliwienie finansowania inicjatyw naukowych i rolniczych (...).*

*Jako autor projektu pomocy dla „Solidarności” chciałbym wyjaśnić mechanizmy przekazania 1.000.000 dolarów dla niezależnej organizacji związkowej „Solidarność”. Ze względów technicznych, fundusze dla „Solidarności” są włączone do Funduszu Pomocy Ekonomicznej, w kategorii finansowania wzajemnej pomocy ekonomicznej poprzez Agencję do spraw Rozwoju Międzynarodowego AID. (...).*

*Oznacza to, że obok Agencji do spraw Międzynarodowego Rozwoju także Sekretarz Stanu miałby szerokie uprawnienia do decydowania o przekazaniu czy też nieprzekazaniu funduszy, do kontroli wydatkowania funduszy i przekazania części funduszy na koszty administracyjne Departamentu Stanu i AID. Nie taka jest jednak moja intencja.*

*Moim zamiarem jest, by National Endowment for Democracy (NED) służyła jako główny mechanizm rozdzielczy dla tego programu. Zakładam, że NED przekaże następnie fundusze poprzez Kongres Polonii Amerykańskiej i inną polsko-amerykańską organizację – Studium, razem z porównywalnymi sumami już przekazanymi poprzez NED i AFL-CIO\*). Połączenie tych trzech kanałów finansowych stworzy różnorodność pomocy, która wzmocni zarówno „Solidarność” jak i popierające ją organizacje.*

*Zgodnie z tym NED i organizacje pośredniczące przejmą funkcje wykonania i nadzorowania. W moim przekonaniu rola Departamentu Stanu, Agencji do spraw Rozwoju Międzynarodowego oraz Agencji Informacji Stanów Zjednoczonych ograniczyć się powinna do przekazania funduszy dla ostatecznego odbiorcy bez wpływania na sprawy administracyjne i bez kosztów z tym związanych.*

*AID (Agency for International Development, Agencja do Spraw Rozwoju Międzynarodowego), która ma przekazać pieniądze „Solidar-*



ności", od lat administruje programami pomocy dla Polski. W latach 1982–87 pomoc ta wyniosła blisko 90.000.000 dolarów. W roku budżetowym 1986/7, oprócz miliona dolarów dla NSZZ „Solidarność”, przyznano 10 milionów na Fundusz Rolniczy Episkopatu Polski, 4 miliony na klinikę im. Klemensa Zabłockiego, 2,5 miliona na krakowski szpital dziecięcy. Sumy te przyznane zostały w ten sam sposób i z tego samego budżetu, co miliona na „Solidarność”.

Wobec dwóch różnych koncepcji przekazywania funduszy: bezpośrednio i z udziałem NED, senator Symms zaproponował rozwiązanie kompromisowe. NED byłby pośrednikiem w przekazaniu pieniędzy ale dotacja Kongresu nie zostałaby włączona do budżetu NED. Gdyby bowiem została ona włączona – wówczas zostałaby uwarunkowana prawem do decyzji wykonawczych Agencji Informacji Stanów Zjednoczonych, Departamentu Stanu i samego NED-u. O włączenie NED-u do przekazywania funduszy zabiegał Kongres Polonii Amerykańskiej a także (od pewnego czasu) AFL-CIO. (W połowie maja AFL-CIO zrezygnowało z roli pośrednika na rzecz NED).

11 CZERWCA kongresmani Jack Kemp i Morris Udall rozeszli do swoich kolegów z Kongresu USA list, w którym pisali: *W swoim warszawskim kazaniu w poniedziałek papież Jan Paweł II zwracając się do generała Jaruzelskiego mówił o prawach narodu polskiego: „Jeśli chcecie zachować pokój, pamiętajcie o człowieku. Pamiętajcie o jego prawach, które są mu niezbywalne... Pamiętajcie między innymi o jego prawie do wolności religijnej, prawie do zrzeszania się i wyrażania swoich poglądów. Także dzisiaj, wezwał On rząd, by honorował umowy z przeszłości i zezwolił na działalność Solidarności Wiejskiej – związku rolników indywidualnych. Potem Papież spotka się z Lechem Wałęsą. Przeznaczenie 1.000.000 dolarów dla Solidarności i dla tych, którzy dzisiaj podtrzymują ducha ludzkiej wolności i godności w Polsce będzie stosownym hołdem dla tych dwóch wielkich przywódców (...) i dla sprawy, której się tak dobrze zastrzyli.*

W dniach 11–13 CZERWCA w Milwaukie, Wisconsin odbywało się zebranie Zarządu Kongresu Polonii Amerykańskiej. W rezolucji uchwalonej jednogłośnie czytamy m.in.: *Rada Dyrektorów Kongresu Polonii Amerykańskiej usilnie ponagla członków Izby Reprezentantów i Senatu dyskutujących H.R. 1827 (projekt ustawy budżetowej, w której znalazła się dotacja – przyp. M.S.) do utrzymania dotacji 1 miliona dla NSZZ „Solidarność”.*

30 CZERWCA uzupełniająca ustawa budżetowa została przyjęta przez Izbę Reprezentantów. 1 lipca uchwalił ją Senat. 11 lipca

podpisał ją Prezydent Stanów Zjednoczonych. Poza 1.000.000 dolarów dla NSZZ „Solidarność” w dziale pomocy zagranicznej przyznano: dla Międzynarodowego Towarzystwa Rozwoju 207.476.749 dolarów, dla Międzynarodowej Korporacji Finansowej 7.205.610 dolarów, dla Afrykańskiego Funduszu Rozwoju 36.639.000 dolarów, dla Afrykańskiego Banku Rozwoju 6.492.127 dolarów, dla demokratycznie wybranych rządów Ameryki Środkowej następujące sumy: po 55.000.000 dol. dla Gwatemali i Kostaryki, 60.000.000 dol. dla Hondurasu i 130.000.000 dol. dla Salwadoru. Ponadto 50.000.000 dol. przeznaczono na pomoc dla krajów członkowskich Południowoafrykańskiej Konferencji Rozwoju w tym 5.000.000 dol. do dyspozycji Funduszu Dzieci ONZ. 7.200.000 dol. przeznaczono dla grup pokojowych.

Oświadczenie Lecha Wałęsy z 11 sierpnia:

*Do Kongresu Stanów Zjednoczonych  
Waszyngton DC*

*Decyzja Kongresu Stanów Zjednoczonych przyznania pomocy finansowej Polsce jest wyrazem głębokich i tradycyjnych więzi przyjaźni między naszymi narodami. Wyrażam wdzięczność za to, że obok pomocy dla inicjatywy Episkopatu Polski na rzecz rolnictwa naszego kraju oraz dla szpitala im. Clementa Zablocky'ego Kongres uchwalił wyasygnowanie sumy 1 miliona dolarów dla NSZZ „Solidarność”. Widzę w tej decyzji wyraz uznania dla pozytywnej roli, jaką polski niezależny ruch związkowy spełnił i spełnia dla naszego kraju. Dziękuję za tę decyzję w imieniu milionów ludzi, którzy w istnieniu „Solidarności” pokładają nadzieję dla realizacji swoich aspiracji na rzecz niezależności, swobód demokratycznych*

*Kraj nasz znajduje się w trudnej sytuacji gospodarczej i społecznej. Jediną drogą przezwyciężenia tych trudności jest ustanowienie uczciwego dialogu między władzą a społeczeństwem. „Solidarność” widzi możliwość takiego dialogu w duchu Porozumienia Gdańskiego z sierpnia 1980 roku. W decyzji Kongresu dostrzegam potwierdzenie nadziei Polaków, że gdyby dialog taki został ustanowiony, kraj nasz mógłby liczyć na pomoc gospodarczą Stanów Zjednoczonych.*

*NSZZ „Solidarność” głosił zawsze filozofię służby dla swojego kraju i dobro kraju stawia zawsze ponad wszelkimi interesami partykularnymi. Działamy obecnie w trudnych warunkach, gdy odmawia się nam prawa do legalnego istnienia i czyni się nas przedmiotem represji. Na miarę naszych skromnych środków i korzystając z pomocy związków zawodowych z innych krajów stawiamy czoła naszym potrzebom organizacyjnym. Przyszłość naszego związku, jego siła w zakładach pracy, w fabry-*

kach czy w szkołach, podobnie jak siła bratnich związków rolników, rzemieślników czy studentów, możliwość pracy na rzecz wolności i dla godnego życia polskich rodzin zależy od społecznego poparcia naszych działań. Poparcie to mamy wówczas, gdy skutecznie bronimy interesów ludzi pracy i gdy pomagamy ludziom w ich trudnym życiu. Mamy potrzeby ogromne w zakresie wzmocnienia naszych struktur organizacyjnych, ale na dzień dzisiejszy główną sprawą jest obrona tkanki biologicznej narodu. Jednym z bolesnych problemów życia polskiego jest ubóstwo opieki medycznej, szpitali, medycyny pracy, zaopatrzenie w leki. W 1981 roku „Solidarność” podjęła inicjatywę stworzenia Funduszu Społecznego, który działałby na rzecz poprawy sytuacji w tej dziedzinie, ale wprowadzenie stanu wojennego nie pozwoliło nam jej zrealizować. Podejmujemy ją teraz ponownie: postanowiliśmy sumę uchwaloną przez Kongres Stanów Zjednoczonych przeznaczyć w całości w chwili obecnej na cele społeczne. Wyrażam głęboką wdzięczność narodowi amerykańskiemu za to, że uzyskaliśmy możliwość podjęcia tych działań dla dobra Polski.

Przewodniczący NSZZ „S”  
(-) Lech Wałęsa

Jeden z przywódców NSZZ „Solidarność” w wypowiedzi 11 SIERP-  
NIA uzasadniał konieczność przekazania pieniędzy na fundusz społeczny  
tym, że milion jest kłopotliwy dla Związku. Dotychczas bowiem „Soli-  
damość” otrzymywała pomoc od związków zawodowych i instytucji  
społecznych, które bezinteresownie ją wspomagają. Niezależność Związku  
jest jego podstawową zasadą. Przyjęcie pomocy od państwa amerykań-  
skiego na cele organizacyjne byłoby sprzeczne z tą zasadą. Ponadto, uza-  
sadniał, trzeba brać pod uwagę to, że nie tylko w oficjalnej propagandzie  
ale również wśród różnych organizacji i instytucji mogłoby zostać wysu-  
nięte oskarżenie, że „Solidarność” jest rzecznikiem obcych interesów.

Kilka tygodni wcześniej rzecznik rządu PRL użył na konferencji  
prasowej sformułowań uderzająco podobnych.

Opracował Marek STYPUŁKOWSKI

Jan KARSKI:

„...powiesz swoim  
dowódcom, że  
wygramy tę wojnę”\*



**P** przed opuszczeniem kraju miałem jechać do Krakowa i znowu składać raport – poinformować przywódcę socjalistycznego, którym wtedy był Józef Cyrankiewicz, powszechnie szanowany, wschodząca gwiazda polskiego socjalizmu. Potem Stulewskiego, który był przedstawicielem Stronnictwa Narodowego i Mierzwę, który był przedstawicielem Stronnictwa Ludowego. Zdałem im wszystkie moje raporty i usłyszałem ich komentarze (...). Z tym wyjechałem z Nowego Sącza. Dostałem adres z hasłem pani Zofii Rysiówny. U niej spędziłem noc, dała mi wtedy najlepszego przewodnika, jakiego Polska podziemna miała. Nazywał się Franciszek Musiał. To był góról. Początek czerwca czterdziestego roku, szliśmy razem piechotą na Koszycy. Tam mnie aresztowano – złapało nas gestapo, na ostatniej chwili przed Koszycami, w okolicach Preszowa.

Nie mogłem wytrzymać tortur i wtedy – w celi żyłatką, którą miałem ukrytą pod podszewką „na wszelki wypadek”, próbowałem przeciąć sobie żyły. Ale to nie tak łatwo, okazuje się, przeciąć sobie żyły – są bardzo twarde. Pamiętam – krew zaczęła krzepnąć i trząsnęłam rękami aż zemdląłem. Odratowali mnie i trzymali przez całą noc w jakimś szpitaliku. Gestapo przewiozło mnie limuzyną przez Słowację do Polski – i tu miałem szczęście – bo do Nowego Sącza, z którego wyjechałem.

\* Wypowiedź Jana Karskiego – podobnie jak wypowiedzi Jana Nowaka i Jerzego Lerskiego – została spisana z taśmy videomagnetycznej z materiałów, z których powstał film „Emissariusze”. W filmie nie ma wszystkich wątków, jakie zawiera powyższa relacja Jana Karskiego, gdyż część z nich została usunięta przez realizatora podczas montażu filmu. To samo dotyczy zamieszczonych dalej wypowiedzi Jana Nowaka i Jerzego Lerskiego. (red.).

Przesiedziałem w tym szpitalu jakieś trzy, cztery dni, chcąc nawiązać kontakt z Rysiówną, ale jak miałem to zrobić? Aż wpadłem na pomysł. Otóż zacząłem płakać, rozpaczać do sióstr szpitalnych, które były zakonnicami, że chcę iść do spowiedzi, że popełniłem grzech śmiertelny i pójdę do piekła, że samobójstwa nie wolno popełniać itd. Policjant zgodził się na to (cały czas na korytarzu siedział policjant). I zakonница zawiozła mnie na wózek do kaplicy szpitalnej. Oczywiście udawałem chorego. Wyspowiadałem się księdzu i kłęczę. Ksiądz mówi: „Synu spowiedź skończona”. A ja kłęczę dalej. Ksiądz znówu mówi: „Synu, spowiedź skończona”. Ja mu szepczę – „Proszę księdza, ona się nazywa Zosia Rysiówna, ulica Matejki 2. Ja jestem Witold. Ktoś musi to jej powiedzieć”. I pamiętam, ten ksiądz zaczął płakać. Słyszałem. I potem do mnie mówi: „Synu, nie wolno ci używać spowiedzi do takich celów”. A ja kłęczę i ani słowa. No i po paru chwilach mówi: „A jak ona się nazywa? A jaki tam jest adres?”. Powtórzyłem. Za dwa dni wchodzi Rysiówna jako zakonnica, daje mi jakieś jabłko i mówi: „Wszyscy płaczą, wszyscy się martwią”. Powiedziałem jej „Niech pani powie Józkowi (chodziło o Cyrankiwicza), że ja nie mogę się dostać z powrotem do gestapo. Albo niech mnie ratują, albo niech mi dadzą truciznę”. Ona poprawiła poduszki, krząta się. Po dwóch dniach przychodzi znówu jako zakonnica, daje mi jakieś owoce, wsuwa rękę pod poduszkę i mówi: „To jest cyjankali, zabija bezboleśnie od razu. Ale powiedzieli, żeby pan się nie spieszył, będą pana ratować”. Uratowanie wyglądało w ten sposób, że doktor Słowikowski uspił pięciu pacjentów, którzy byli ze mną w pokoju oraz policjanta i dał mi znak, że mam iść na korytarz, tak jak mnie Pan Bóg stworzył, zrzuciwszy z siebie te szpitalne łachy i wyskoczyć przez okno, które było na w pół otwarte i tak też się stało.

Dostałem przez łączniczkę wiadomość, że delegat rządu chce mnie widzieć. To był Cyryl Ratajski. Zameldowałem się u niego i on mi powiedział: „Proszę pana, panu się wszystko udaje. Jest pan mądry, ostrożny, zdrowy, zna pan języki, zna Europę – pojedzie pan jeszcze raz do Londynu. Stronnictwa mają do pana zaufanie. Pan pod torturami nikogo nie zdradził. To mi bardzo odpowiada”. Odpowiedziałem – pojedę. I zacząłem jeszcze raz „oślatywać” stronnictwa: narodowców, socjalistów, ludowców, Stronictwo Pracy, parę zebrał z delegatem rządu Knołlem, dwa czy trzy razy poszedłem do Roweckiego, który mi powiedział: „Pan nie jest kurierem z Armii Krajowej – wtedy była już Armia Krajowa – ja się nie mieszam do polityki. Pan jest politycznym kurierem. Polecono mi zorganizować pana podróż. Zorganizujemy najlepiej jak to jest możliwe, żeby pan dojechał bezpiecznie do Londynu. Tylko nie wolno panu oświadczać, że reprezentuje pan Armię Krajową. Ja nie chcę łączyć polityki z Armią Krajową”.

Po kilku tygodniach Ratajski znówu mnie wzywa. I mówi: „Tu są dwie oddzielne organizacje żydowskie. Jedna socjalistyczna – nazywa się BUND, druga organizacja – syjonistyczna. Oni się o panu dowiedzieli. Na górze – powiedział mi – panie Witold (Witold to był mój pseudo-

nim) wszyscy pana znają, wszyscy wiedzą co pan robił dotychczas. Ży-  
dzi się do mnie zgłosili, że oni mają prawo także użyć pana do ich własnej  
misji, na tych samych prawach co wszystkie inne stronnictwa. Czy pan się  
na to zgodzi?" Pamiętam, że dodał: „Witold, mnie się zdaje, że powinien  
się pan na to zgodzić”. Powiedziałem — „naturalnie”.

Miałem dwa spotkania z przywódcami żydowskimi. Opowiedzieli  
mi straszne rzeczy. (...)

Przed wszystkim, żeby dostać się do Londynu najpierw jechałem  
z Warszawy do Paryża jako robotnik francuski, który pracował dla prze-  
mysłu niemieckiego. Znałem język francuski (...). Z Paryża wytransporto-  
wali mnie do Lyonu, gdzie kierownikiem organizacji podziemnej był  
Bogdan Sanborski, były dyrektor departamentu w MSZ-cie, którego  
doskonale znałem. On mnie przesunął do Perpignan — ostatnia miejsco-  
wość francuska przed Pirenejami. Przeszedłem Pireneje. To trwało ponad  
dwa dni i dwie noce, na pieczo. Miałem przewodnika — hiszpańskiego kom-  
unistę, któremu powiedzieli, że ja jestem polskim komunistą. I uprzedzi-  
li mnie, że jak się wyda, że nie jestem komunistą, to on mnie zarznie w  
górach. Był to jeden z najszlachetniejszych ludzi, jakich spotkałem. In-  
telektualnie zupełnie wariat. Przysiągł sobie, że osobiście zamorduje Franco  
„tego łobuza, zbrodniarza, faszystę, gnębiiciela ludu roboczego” itd. Do-  
wodził mnie do Barcelony. W Barcelonie już przyszedł „kontakt” angielski.

(...) Dopominałem się u Mikołajczyka, u Kota — chcę widzieć  
Anglików, przysięgałem Żydom, że poinformuję Anglików o tym wszyst-  
kim. „Niech się pan uspokoi, musimy czekać na generała” — odpowiedzie-  
li. Generał Sikorski wrócił. To było w drugiej połowie stycznia. Był  
ponad cztery miesiące w Ameryce. Od razu mu się poskarżyłem. „Rząd  
nic nie robi w sprawach żydowskich. Siedzę już tutaj kilka tygodni i nie  
widziałem jeszcze ani jednego Anglika. Przecież Polacy nic nie mogą w tej  
sprawie zrobić”. Generał mi wytłumaczył: „Niech się pan nie denerwu-  
je. Pan przyjechał z Polski zupełnie roztrzęsiony nerwowo. Wszyscy uzna-  
li — nie można pana pokazywać Anglikom. Polacy zrozumieją. Dla Angli-  
ków nie był pan dobry. Musiał pan wydobrzeć. Teraz będzie pan miał  
kontakty z Anglikami”. Zaczęły się kontakty...

W Ameryce Ciechanowski umożliwił mi więcej spotkań niż miałem  
w Anglii. Widziałem najpotężniejszych ludzi w elicie rządowej, cywilnej  
i kościelnej w Stanach Zjednoczonych (...).

Rozmowy z Rooseveltem nigdy nie zapomnę. Pamiętam — palił  
takiego długiego papierosa, był namiętnym palaczem. Długi papieros  
na jeszcze dłuższej fajce. Pamiętam każdy jego gest, każde jego słowo.  
Spojrzał na mnie i tak powiedział: „Powiedz swoim przywódcom, że wy-  
gramy tę wojnę. Powiesz im, że winowajcy zostaną ukarani po wojnie. Pol-  
ska powstanie wolna, sprawiedliwość zapanuje. Naród amerykański ma  
sympatię do twojego narodu. Pomoże po wojnie (ciągle papierosa palił).  
I powiesz twojemu narodowi, że ma przyjaciela w tym domu. To im po-  
wiesz”. I podaje mi rękę. To musiało być pod koniec sierpnia, na począt-

ku wrześniu, Ciechanowski odsyła mnie z powrotem do Londynu. W Londynie, już po śmierci Sikorskiego, premierem jest Mikołajczyk. Umyłem się, ogoliłem i od razu z lotniska lecę do Mikołajczyka. „Kiedy wracam do kraju?” Mikołajczyk mówi: „Nigdy, już się skończyło”. Wyciąga z szuflady papier i mówi – „Niech pan czyta”. To był transkrypt broadcastów niemieckich, w których pisano: „Kręci się po Stnach Zjednoczonych jakiś Karski, który jest agentem bolszewickim, opłacanym przez amerykańskich Żydów i szerzy kłamstwa o Niemczech”. Mikołajczyk mówi: „Ja nie dbam o to, co tam o panu piszą, tylko pan masz rany na rękach. Jeżeli oni już pana rozszyfrowali, to ja pana na śmierć już nie wysię. Pan tutaj będzie siedział”.

*Do Polski nie wróciłem.*

## Jerzy LERSKI:

codziennie coś dla  
sprawy polskiej  
zrobić...



**S** tużyłem z Janem Karskim w pierwszym plutonie pierwszej baterii artylerii konnej we Włodzimierzu Wołyńskim, w roku trzydzieści pięć na sześć. Karski był już po studiach. W tej samej notie bene baterii w rok czy dwa lata później służył Jan Nowak, w tym samym nawet plutonie, pod tymi samymi dowódcami. Taki dziwny zbieg okoliczności, że trzech wojennych emisariuszy miało podobną przeszłość. Z tym, że ja najbardziej z nich byłem zaangażowany politycznie, chociaż byłem najmłodszy. (...)

Wiosną roku czterdziestego zjawił się we Francji Jan Karski (który szukał mnie jeszcze we Lwowie) i który zaproponował mi kurierski turniej – kto z nas częściej i lepiej będzie wykonywał zadanie służby między obu krajami. Muszę powiedzieć, że podjąłem się tej roli z wielkimi oporami. Raczej z tchórzostwa niż z odwagi. Po prostu bałem się przyjacielowi odmówić. No i zgłosiłem się „na kuriera”, zostałem wciągnięty na listę. Po klęsce Francji – brałem udział w kampanii francuskiej – znalazłem się w Szkocji jako oficer oświatowy i czekałem wezwania

na szkolenie spadochronowe. Przyszło ono pod koniec czterdziestego pierwszego roku. Poinformowano mnie, że będę specjalnym wysłannikiem, emisariuszem naczelnego wodza i premiera w jednej osobie, generała Sikorskiego oraz czterech stronnictw Jedności Narodowej – do kraju.

Dlaczego zostałem wybrany na specjalnego wysłannika? No, bo na Politechnice Lwowskiej mój ojciec był kolegą Sikorskiego. Pomagał generałowi – który wówczas zajmował się konspiracją, wojskiem, polityką – w egzaminach. Sikorski wierzył, że ja mam równie dobrą pamięć jak mój ojciec i poza tym słyszał, i od ludowców, i od socjalistów, że można mi ufać. Po prostu byłem im politycznie znany...

Byłem szkolony głównie przez Brytyjczyków. I byłem typowym cichociemnym. Nawiasem mówiąc, jestem autorem anonimowej książki „Drogi cichociemnych”, gdzie wyjaśniam kiedy i jak tę nazwę sformułowałem (Bośmy po cichu i w ciemną noc znikali z obozów w Szkocji).

Kiedy leciałem po raz pierwszy dla próbnego skoku nad lotniskiem Ringway koło Manchesteru, koledzy śmiali się i nie chcieli mi powiedzieć z czego. Aż przesądny instruktor brytyjski – starszy sierżant armii brytyjskiej z Indii – poinformował mnie, że coś mam kredą wypisanego na spadochronie. Okazało się, że napisali mi: „Św. pamięci podporucznik Lerski”. Ten, który to napisał, złamał nogę – podchorząży Pilch, później sławny partyzant Dolina. Mnie się nic nie stało.

Sikorski też był dumny człowiek, to był dobry Polak, wielki patriota, może próżny, może zbyt optymistyczny, na pewno w jego ówczesnej sytuacji życiowej. Ale on nie pozwoliłby na to, żeby alianci tak Polskę zostawili... Kolosalne awantury robił o te rzeczy. On by nie był grzeczny do końca, on by się nie dał – w moim przekonaniu – ugiąć tak dalece, powiedzmy, Edenowi czy Churchillowi, jak skądinąd tak bardzo dobry Polak, ale bez wizji przyszłości – Stanisław Mikołajczyk, który dał się niestety Anglikom ugiąć...

Po pierwsze: nigdy nie uważać sprawy za przegraną, nauczyć się pływać pod prąd, znać dobrze polską historię, zwłaszcza najnowszą, nie obnosić się z żadnym kompleksem niższości wobec różnych tego świata, ani wyższości wobec naszych dawnych mniejszości narodowych i naszych sąsiadów. No i pracować, jeśli się chce pomóc w tej trudnej sytuacji, w jakiej jest Polska. Nie ustawać i nawet dla czystego sumienia coś drobnego, niepozornego, ale codziennie coś dla sprawy polskiej zrobić. To w świecie, zwłaszcza obcym, jest bardzo ważne i to się liczy, to się sumuje. Kiedyś zapytałem mistrza Miłozza, chodząc z transparentem pod konsulem sowieckim, aby pomóc Czechom (obchodziliśmy wtenczas dwunastolecie Praskiej Wiosny). No i co profesorze, ma to jakiś sens, że kilkudziesięciu ludzi się tu kręci? On mi na to odpowiedział: „Doskonale, proszę pana, każda kropla drąży”.

Ja jestem tak zwaną w Polsce non personą i moich książek nie wolno w Polsce kupować, sprzedawać, i Bogiem a prawdą, bardzo jestem z tego dumny.



**Jan NOWAK:**

**na obczyźnie nie ma  
pełni życia...**



P

ochodzę z rodziny, która żyła na pograniczu warszawskiego mieszczaństwa i dworaków różnych moich dalszych i bliższych krewnych. Żaden mój przodek – ani Jan Jeziorański, który był członkiem Rządu Narodowego i został powieszony z Trauguttem, ani generał Antoni Jeziorański z Powstania Styczniowego, nie miał potomstwa męskiego. Ale pochodzę z tej rodziny i dużo temu faktowi zawdzięczam. Myślę, że osobami, które wywarły największy wpływ w moim życiu, była moja babka i matka, które wychowywały nas – to znaczy mego brata i mnie – po śmierci ojca, którego straciłem kiedy miałem cztery lata.

Otóż atmosfera domu była niestychanie patriotyczna. To był żarliwy patriotyzm wywodzący się jednak z pewnej tradycji – patriotyzm wolny od jakiegokolwiek ksenofobii, od jakiegokolwiek szowinizmu, niestychanie – w gruncie rzeczy – tolerancyjny. A drugie, to dość duża religijność. Bez dewocji, ale bardzo mocna religijność...

Nigdy się nie zastanawiałem nad tym, czy jestem dziennikarzem, czy politykiem. Dziennikarz może być politykiem, jeżeli nie ogranicza się do reporterki, do informowania, do opisywania rzeczywistości, a chce świadomie wpływać na rzeczywistość. Bo cóż to jest polityka? Jest to sztuka wpływania i oddziaływania na rzeczywistość. Ja osobiście wolałbym nazwać siebie zawodowym działaczem niepodległościowym, bo właściwie to już się stało moim zawodem. Ale byłem redaktorem naczelnym, stojąc na czele rozgłośni Radia „Wolna Europa”, przedtem byłem dziennikarzem polskiej sekcji BBC; raczej publicystą niż dziennikarzem. Ale chyba, jeżeli już muszę wybierać między określeniami polityk czy dziennikarz, to wolałbym z dwojga złego – polityk, bo przez całe życie powojenne starałem się oddziaływać na rzeczywistość, będąc w pełni świadomym celów, którym służyć i środków, którymi pragnę się posługiwać.

Ja miałem życie ciekawe, życie, które często dawało mi dużo satysfakcji. Ale na obczyźnie nie ma pełni życia. I świadomość, że cały świat stoi przede mną otworem, że mogę podróżować z wyjątkiem jednego kraju – własnego, jest bardzo przykrym uczuciem. I jak powiadam, nawet jeżeli życie jest ciekawe, jeżeli daje satysfakcję, jeżeli człowiek ma uczucie, że go nie zmarnował, to mimo to świadomość, że miałem lat 31 kiedy opuściłem swój kraj i większość tego życia spędziłem na obczyźnie, jest czymś, co pozbawia mnie uczucia, że żyłem pełnią życia.

Polacy nie uznają autorytetów. Dopóki w Radio „Wolna Europa” byłem w tej sytuacji, że każdego mogłem w ciągu dwudziestu czterech godzin wyrzucić z pracy – nigdy nie potrzebowałem się do tego uciekać. Ludzi, których usunąłem, mogę policzyć na palcach jednej ręki i wszyscy o tym wiedzieli. Z chwilą kiedy na skutek ustaw niemieckich, które właściwie czynią ze związku zawodowego wszystko – nie można pracownika usunąć, bo jest nietykalny i kiedy ta świadomość przeniknęła do zespołu – natychmiast wyszły te tendencje anarchiczne, które uniemożliwiały sprawne kierowanie zespołem.

W moim przekonaniu istniały szanse ocalenia Polski. Po raz pierwszy w chwili napaści Hitlera na Związek Radziecki. Wówczas Stalin znajdował się w takich opałach, ponosił tak straszliwe klęski, że właściwie gotów był przyjąć każde warunki, które Wielka Brytania by podyktowała, gdyż zdawał sobie sprawę, że bez pomocy materialowej, pomocy w broni, w sprzeczcie – nie mógłby się obronić. Gdyby Churchill, zamiast natychmiast zgłaszać ofertę bezwarunkową „będziemy wam pomagali bez żadnych warunków, zrobimy wszystko, żeby wam pomóc”, nie odmówił wówczas poparcia Sikorskiemu, kiedy generał domagał się, żeby Stalin nie tylko uznał pakt Ribbentrop–Mołotow za nieistniejący, ale żeby wyraźnie uznał granicę wschodnią Polski – Stalin zorientowałby się, że Sikorski ma za sobą zdecydowane poparcie Anglii, a w dalszym planie Stanów Zjednoczonych. Wyciągnąłby z tego wnioski na następne lata, bo to był człowiek niezwykle ostrożny, unikający ryzyka. Niestety, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone wręcz dały do zrozumienia Stalinowi, że nie będą bronić Polski, nie będą bronić granic wschodnich – ale to był tylko wstęp prowadzący do ujarzmienia całego społeczeństwa. Bo kiedy Raczynski i Mikołajczyk pytali się: „No dobrze, chcecie, żebyśmy oddali Rosji jedną trzecią naszego terytorium, ale jakie gwarancje i jaką rękojmnię ofiarujecie, że będziecie bronili niepodległości tego co zostanie?”, odpowiedź była: żadnej.

No, niestety, demokracje zachodnie mają to do siebie, że niechętnie podejmują ryzyko. I nie mają tej gotowości do poświęceń i ofiar, które wykazuje dziś naród polski i które wykazują właśnie bezwzględne, brutalne mocarstwa dyktatury i mocarstwa totalne, które się nie liczą ze stratami. Wydaje mi się, że tak samo trzeba to zapisać na rachunek naszego pecha. To było dwóch bardzo złych polityków. Bo ja uważam Churchilla za bardzo złego polityka. A Roosevelt, jeśli chodzi o politykę

zagraniczną, był również katastrofą — zwłaszcza w ostatnim okresie wojny. I przede wszystkim był ignorantem. Przecież pejęcie Roosevelta o Rosji było niesłychanie naiwne. Churchill wiedział, znał Rosję. Usiłował przeciwstawić się bolszewizmowi zaraz po zwycięstwie rewolucji październikowej w Rosji. Ale był złym politykiem. Działali na własną niekorzyść.

Tymczasem Polska to nie tylko nie jest kraj umysłowo i duchowo zniewolony, to jest kraj, który w myślach, w duchu pozostał niezawisty. I w tym emigracja odegrała dużą rolę. Ale bądźmy sprawiedliwi i zachowajmy proporcje. To, co my robimy na emigracji, to jest służba na tyłach frontu. Natomiast prawdziwa walka toczy się w Polsce i losy Polski nie zdecydują się na emigracji, nie zdecydują się na Zachodzie, zdecydują się nad Wisłą, nad Odrą, nad Bugiem, w Warszawie, we Wrocławiu, w Gdańsku, w Poznaniu, Krakowie...

# EMISARIUSZE

nowy film Video—Kontakt

Trzej kurierzy AK — Jan KARSKI, Jerzy LERSKI i Jan NOWAK ujawniają kulisy swych wojennych misji w Londynie, Waszyngtonie i w Polsce. Mówią o Powstaniu Warszawskim, zagładzie Żydów, błędach politycznych, nadziejach i rozczarowaniach oraz szansach Polski.

Film zrealizował Andrzej WOLSKI

Czas emisji 50 min., cena 40 dol. USA lub 250 FF plus koszty przesyłki. Zamówienia prosimy kierować na adres:

„Kontakt”, 42, rue Raymond Marcheron,  
92 170 VANVES, France

Rafał GAN-GANOWICZ urodził się w Warszawie w 1932 roku. Jest dziennikarzem. Mieszka w Paryżu. Jako dwunastoletni chłopiec przeżył Powstanie Warszawskie, w którym zginął jego ojciec, żołnierz AK (matka zginęła już w 1939 roku). Po Powstaniu uciekł z transportu w drodze do obozu w Pruszkowie. W 1948 roku zostaje członkiem grupy antykomunistycznej młodzieży wzorującej się na tradycji „Małego Sabotażu” harcerzy w czasie wojny: ulotki, napisy na murach, kółportaż prasy. Podczas jednej z akcji ubecki patrol zaczyna strzelać. Są pierwsze ofiary. Odgód chłopcy „pracują” z własną obstawą. W 1950 roku grupa wpada. Gan-Ganowicz, ostrzeżony w ostatniej chwili, postanawia uciec na Zachód. Trzydzieści godzin spędza pod pociągami z Warszawy do Berlina w Walterem P38 w ręku...



Po ucieczce z Polski Gan-Ganowicz zostaje skazany zaocznie przez sąd PRL na karę śmierci.

Po trzyletnim pobycie w Niemczech jedzie do Francji. Jest żołnierzem Oddziałów Wartowniczych przy armii amerykańskiej. Równolegle przechodzi szkolenie dla komandosów. Dyplom ponucznika Wojska Polskiego dostaje z rąk generała Andersa.

Następnie zostaje nauczycielem w gimnazjum dla polskich uchodźców w Les Azeux pod Paryżem. „Profesorowanie” nie trwa długo. Będąc już przekonany, że w najbliższym czasie nie wyładuje w Polsce na spadochronie, Gan-Ganowicz postanawia walczyć przeciw komunistom z bronią w ręku wszędzie tam, gdzie jest to możliwe. W 1965 roku zostaje najemnikiem w Kongo, czyli żołnierzem w służbie legalnego, prozachodniego rządu kongijskiego, na którego czele stoi Mojżesz Czonibe, przywódca Katangi. Wojska rządowe (Katangijczycy) wraz z europejskimi doradcami zaangażowanymi przez Czombego toczą ciężkie walki z czerwonymi rebeliantami wspomaganyimi militarnie i materialnie przez Związek Radziecki i Chiny. Gan-Ganowicz jest jednym z trzech dowódców kierujących obroną Stanleyville i pacyfikacją Prowincji Wschodniej. Po kapitanie Toporze-Słazaku przejmuje dowództwo słynnego batalionu, który miał szczęście do polskich dowódców, batalionu „Czerwonych Diabłów” (żołnierze tego batalionu nosili czerwone berety i czerwone chustki na szyjach). W Kongo pozostaje przez rok. Po upadku Czombego wraca do Europy, a następnie zostaje najemnikiem w Jemenie. Walczy po stronie rojalistów przeciwko promoskiewskiemu siłom „republikańskim”, wspomaganym w początkowym okresie przez Nassera, a następnie – po wycofaniu się armii egipskiej – bezpośrednio przez ZSRR.

Obydwa fragmenty, które publikujemy – jeden z Konga, drugi z Jemenu – pochodzą z książki przygotowywanej przez Rafała Gan-Ganowicza dla jednego z wydawnictw krajowych.

J.B.

# MCHAWI MUKUNDU\*

## I TRZECH

### LEGIONISTÓW

Rafał Gan-Ganowicz

B

Benigno siedział strapiiony nad nie dopitym piwem. Niski, czarujący, o atletycznej budowie, ten młody Włoch z Sardynii nie był człowiekiem skomplikowanym. Jego znajomość francuskiego ograniczała się do żargonu wojskowego i ogromnego zapasu potwornych przekleństw. To było wszystko, co wyniósł z wieloletniej służby we francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Tak naprawdę, to wyniósł również szeroką bliznę na piersiach i wysokie odznaczenie za odwagę. Był to doskonały żołnierz: odważny, lojalny i lubiący walkę wraz z ryzykiem jakie niosła. Nie znał innego zawodu, innego życia. Choć niski, był silny, proporcjonalnie zbudowany i miał w sposobie poruszania się coś z drapieżnika. Smagła cera i przymrużone oczy nadawały mu swoistego uroku, który psuła ze szczerem przyłizana i tłusta fryzura włoskiego lowelasa.

Na froncie był spokój. Dowództwo brygady szykowało się do ofensywy w kierunku na Bafasende. Ja powoli, a skutecznie, pacyfikowałem okolice Wanie Rukula, wprowadzałem administrację cywilną i porządek. Akcje wojskowe ograniczały się do rozsyłania patroli i pilnowania bezpieczeństwa komunikacji. Dla moich wojaków były to prawie wakacje. Wołni od służby, po wyczyszczeniu broni po raz setny, zajmowali się czym mogli — najczęściej kobietami. Jedyłą przerwą w monotonii stanowił udział w konwojach do Stanleyville.

Benigno siedział nad butelką piwa. Gdyby był Słowianinem, można by posądzić go o chandrę. Benigno był jednak Włochem. A Włoch chandry nie miewa. Zaniepokoiłem się: *Benigno, co ci dolega?* — spytałem po godzinie.

*Mam dosyć na to życie* — powiedział, używając swoistej składni. Patrzył nadal ponuro w nie dopitą butelkę. Nagle ożywił się: *Zrób coś porucznik — puść na wycieczkę!*

Wycieczkami Benigno nazywał „luźne patrole”. W naszej gwarze oznaczało to marsze przez dżunglę trochę na chybił trafił, w kierunku,

\* Czytaj: Meczaly Mukundu.

w którym można się było spodziewać zgrupowań przeciwnika. Czasem daremna męka, czasem duże ryzyko. Służyło to celom pacyfikacyjnym, gdyż wróg nigdzie nie mógł czuć się bezpiecznie. Na jednym z takich „ważnych patroli” natknąłem się na goryla, który dzikim rykiem i biciem się w potężne piersi próbował nas wystraszyć ze swej polanki. Udało mu się nad podryw i musiał być bardzo dumny. Kazałem się wycofać: gdzie są goryle — tam nie ma ludzi, a więc dalsze przetrząsanie dżungli w tej okolicy było bezcelowe. Innym razem, siedłem na przedzie patrolu, obserwując parę dwóch Katangijczyków wyrabujących przed nami przejście w gęstwinie splątanych lian. Nagle widzę, jak jeden z nich chwytwa drugiego za rękę i potężnym ciosem maczety<sup>1/</sup> obcina mu przedramię. Sekunda zdumienia i... dławiący gardło strach: w odrąbanej, skrwawionej ręce tkwiła strzała. Po kolorze piórka poznałem, że zatruta.<sup>2/</sup> Katangijczyk dzięki błyskawicznej reakcji ocalał swemu towarzyszowi życie — czyniąc go kaleką.

\*\*\*

Benigno patrzył na mnie wzrokiem żebrzącego psa. Wahaniem się jeszcze. Nie lubiłem narażać ludzi, a w okolicy był spokój. Z drugiej strony wojsko rozpuszczało mi się, a patrol po drugiej stronie rzeki mógł się przydać: donoszono o jakiejś bandzie idącej na pomoc dobrze już rozbitej przez nas rebelii.

*Weź IV pluton i idź zobaczyć, co się dzieje w tym kierunku! — machnąłem ręką na południowy zachód. 24 godziny i ani minuty więcej. Wymarsz za godzinę.* Benigno rozjaśnił twarz w uśmiechu, zerwał się z krzesła, strącając ze stołu butelkę. *Ciebie kocham, porucznik! — wykrztusił zdumiewające oświadczenia. Ale nie wychodził. Wiedziałem dobrze czego chce, ale udawałem, że nie wiem. Porucznik, a dasz Billa i Joe, co? Dasz? Benigno już nie prosił, lecz błagał. Dobrze — powiedziałem — ale jak tak, to Joe będzie dowodził! Prześlij go do mnie. — OK, porucznik — Benigno puścił się kłusem w kierunku budynków. Benigno był świetnym żołnierzem, ale kiepskim dowódcą. Co prawda instynkt prowadził go czasami lepiej niż innych kompas, ale nie miał za grosz rozwagi — idąc za uciekającym przeciwnikiem tracił pamięć o świecie. Bałem mu się powierzyć dowództwo. Ale jednocześnie nie chciałem go upokarzać ciągłym pomijaniem w zadaniach dowódczych. Na całe szczęście był Joe.*

Joe był Polakiem, nazywał się Józef Swara. Był sierżantem z Legii Cudzoziemskiej. Przystojny blondyn, rodem spod Krakowa. Uciekł na Zachód, gdy mu ojca w Polsce „rozkułaczono” na śmierć. Starego zabili pod płotem młodzi ideowcy z ZMP, którzy niesli wsi postęp i sprawiedliwość. Stary nie miał wyrozumienia, że młodzież chciała się zabić z córeczką. Zatruli starego łopatami. *Szło nowe* — jak pisał pewien literat.

Józka Swarę wraz z siostrą przygarnęła dalsza rodzina. Jako syn „kułaka i wroga ludu” nie miał dużo szans. Więc zwiózł z Polski przez Czechy z pewnym facetem z NSZ.

Józek, którego w Legii przeważano Joe, bo ponoć był podobny do jakiegoś aktora w dawno zapomnianym westernie widzianym gdzieś na przepustce w Sidi-Bel-Abez, miał dużo szczęścia aż do chwili, gdy zawisł na drutach kolczastych przeszyty serią z kałasznikowa. I nie poznałbym Józka, gdyby wtedy nie wyniósł go spod ognia jego żołnierz – Benigno. Od tej pory Benigno uznał Józka za swoją własność. I od tej pory byli nierozłączni.

Nieco później obu ocalał życie celnym rzutem granatu świeżo przybyły do Legii młody Francuz – Bill. Bill nazywał się naprawdę Jacques Treil i pochodził z Paryża. Do Legii przybył w samą porę, by ocalić drużynę Józka Swary. Typowy paryski ulicznik, dowcipny i pełen werwy, był strasznie „łasy na baby”. Będąc na placówce pod dowództwem Józka, „urwał się” wieczorem do oddalonego o 12 kilometrów miasteczka, by skorzystać z płatnej miłości udzielanej tam szczerze we właściwej instytucji zwanej BMC.<sup>3/</sup> Gdyby go złapano – groziło mu rozstrzelanie za dezercję... Ale Bill nie takie by poniósł ryzyko, gdy go przyparła potrzeba. Wracając do swego oddziału usłyszał podejrzane odgłosy. Podczołgał się i spostrzegł, że jego kolegów otacza spory oddział wroga, który szykuje się do ataku z zaskoczenia. Bill kilkoma celnymi rzutami granatów wyrąbał sobie drogę do oddziału, a oddziałowi drogę odwrotu. Zdobył *medaille militaire*, a o jego kilkugodzinnej „dezercji za pełną potrzebą” wiedział tylko Józek. Odtąd nie rozłączyli się nigdy. Włoch, Polak i Francuz. Moich „trzech muszkietierów” z Legii. Benigno nieprzymownie wprost odważny i wierny w przyjaźni, Francuz pełen sprytu, inwencji i pomysłów. No i Józek. Józek był urodzonym dowódcą. Rozważny i odważny. Cieszył się autorytetem i budził zaufanie żołnierzy. Uzupełniali się świetnie i stanowili we trzech moją prywatną „task force”. We trzech? Wiadomo przecież, że w „Trzech Muszkietierach” występuje ich czterech. W tym wypadku czwartym członkiem zespołu był Simba.<sup>4/</sup> Simba nie był legionistą, lecz Afrykańczykiem, rodem z Konga. Był to po prostu złoty, tubylczy pies, który przed paroma miesiącami zapalał sympatią do Józka i postanowił, że ten właśnie wysoki blondyn będzie odtąd jego panem. We wszystkich operacjach, w których brał udział Swara było widać złotą, ruchliwą postać Simby. Na patrolach szedł koło nogi Józka. Wybiegał czasem do przodu, lecz po chwili, zaniepokojony wracał do swego pana i liznąwszy go w rękę w przeprosiny za króciutką „zdradę”, szedł krok w krok. Aż znów go poniósł temperament...

Patrzyłem z lekką zazdrością, jak patrol Swary wchodził w dżunglę z drugiej strony rzeki. Jeszcze chwila i ostatni żołnierz IV plutonu katangijskiej kompanii zniknął w gąszczu. Moje obowiązki, o ileż bardziej nudne, trzymały mnie na miejscu.

W dwie godziny później uwagę moją zwrócił przeraźliwy skowyt. Do mojego biura wpadł Simba. Pies wyglądał strasznie: miał pianę na pysku, był zziębnięty i cały tył ciała ociekał mu krwią. Skomlał i kręcił się w kółko skowycząc. Schwyciłem go za obrozę i przytrzymałem. Miał

ucięty; a raczej urwany ogon i broczył krwią. Zawołałem sanitariusza. Dezynfekcja, bandaż i Simba napiwszy się wody, dawał mi swym zachowaniem znak, że mam z nim iść. Co się stało z moim patrolem? Co się stało z Józkiem Swarą, któremu Simba jak zwykle towarzyszył? Jeszcze zanim zająłem się psem, włączyłem syrenę alarmową i w ślad za patrolem wysłałem silny oddział pod dowództwem mego zastępcy. Z pewnych powodów nie mogłem odejść na krok od polowej radiostacji... Simba widząc, że mnie nie namówi, spojrzał na mnie z wyrzutem i pobiegł za oddziałem. Dogonił go i przez lornetkę widziałem jak wysforował się na czoło. Żółta plama z białą chorągiewką bandaża...

Mój zastępca wrócił wkrótce ze swoim oddziałem. Bez psa. Z jego raportu wynikało, że dwa kilometry od placówki spotkał żołnierza wystanego przez sierżanta Swarę. Józek donosił, że kontynuuje patrol. Domyślił się, że Simba mnie „zawiadomił” i że zrobię alarm. Więc wysłał gońca z raportem. Donosił mi, że dzięki Simbie uniknęli poważnego niebezpieczeństwa. Tam, gdzie dróżka zwęzła się w ledwie widoczny ślad ścieżki wydeptanej przez stoniec, pies wybiegł na czoło oddziału. Nagle huk, wybuch, dym, skowyt psa i żółta błyskawica przebiegła wzdłuż patrolu. Pies skowycząc uciekał do domu w obłądnym przerażeniu. Doświadczeni żołnierze patrolu zapadli w gąszcz z bronią gotową do strzału. W dżungli cichł powoli jazgot małp i papug spowodowany wybuchem. Chmura ptactwa poderwana do lotu opadała na gałęzie drzew. Swara z ostrożnością zbadał sytuację...



RAFAŁ GAN-GANOWICZ w Kongo.  
Rok 1965.



Okazało się, że Simba wpadł po prostu na skaczącą minę. Myny te — to mordercza broń. Gdy ktoś nieostrożnie zawadzi o czujnik zapalnika, to specjalny ładunek wyrzuca minę na wysokość od metra do półtora. Mina, rozrywając się na tej wysokości, razi odłamkami w brzuch i piersi. I to nie tylko tego, który ją potrafił, ale wszystkich w promieniu kilkudziesięciu metrów. Simbie strumień odłamków uciął ogon, zawsze z dumą noszony w górę jak sztandar. Ostrzeżony patrol rozbroił pole minowe i ruszył dalej. Simbę posadzono brzydko o tchórzostwo i dezercję z pola walki.

\*\*\*

Czas już, bym czytelnikowi wyjaśnił tytuł opowiadania. Trzech legionistów już przedstawiłem. A Mchawi Mukundu, to w języku *suahili* znaczy „czerwony czarownik”. Pod tym przezwiskiem znany był jeden z najgorliwszych podżegaczy rebelii. Potężne znał „czary” Mchawi Mukundu. Rzucił do walki najdziksze plemiona, których wojownicy byli odurzeni haszyszem. Mchawi potrafił rozniecać nienawiść. A jednocześnie znany był jako uzdrowiciel, co zwiększało jego wpływy. Był dla mnie przeciwnikiem o wiele poważniejszym niż samozwańczy „pułkownicy” i „generałowie” rebelii. Zwłaszcza, że używani przez niego dzicy nie zdawali sobie nawet sprawy za co walczą i giną. Nawet nie wiedzieli, że giną, idąc otumanieni haszyszem na karabiny maszynowe. Mchawi Mukundu był złym duchem dżungli. Byłem przekonany, że jego celem jest pozbycie się białych, żeby lekarze i misjonarze nie robili mu konkurencji. Z tych powodów większość czarowników opowiedziała się za rebelią. Co do Czerwonego Czarownika myliłem się jednak. Jego motywacje były inne.

\*\*\*

Patrol wrócił nazajutrz, prowadząc ze sobą jeńców. Pierwszy pojawił się Simba, który gdzieś po drodze zgubił bandaż. Próbował dzielnie wymachiwać kikutem ogona.

Raport sierżanta Swara był, jak zwykle, precyzyjny: patrol strat nie poniósł żadnych (o psim ogonie nie wspomina się w wojskowych raportach). Już po kilku godzinach marszu schwytali jakiegoś Murzyna, który, jak się okazało, uciekł od rebeliantów i starał się wrócić do swej wioski na terenach wyswobodzonych. Swara dowiedział się od niego o małym obozie rebeliantów, w którym czerwoni przechowywali jakieś skrzynie. Zaintrygowany Swara postanowił sprawdzić wiadomość. Prowadzony przez owego uciekiniera dotarli do świetnie ukrytego w dżungli obozu i stwierdziliśmy, że z załogą poradzi sobie bez trudu, zaatakował obóz z trzech stron naraz. Czwartą stronę obozu ograniczała niewielka, ale błotnista rzeczka. Atakować z tej strony było trudno, więc Swara zostawił za rzeczka obsługę lekkiego karabinu maszynowego. Potrzebnie zadziałał sprawnie. Pluton dowodzony przez Józka liczył trzydziestu ludzi. Dodać należy naszych trzech legionistów i Simbę. W obozie było

ponad stu rebeliantów, ale zaskoczeni stawili niewielki opór. Kilku zginęło, kilku było rannych. Sześćdziesięciu siedziało pod strażą na moim dziedzińcu, tocząc wokół przerażone spojrzenia. Opodal, osobno katangijscy żołnierze pilnowali jakiegoś dzikusa. Twarz miał pomalowaną w białe czarne pasy, tułów czerwony. Ramiona miał owinięte czymś, co z bliska okazało się węzową skórą. Tajemnicze skrzynie, o których mówił Józko- wi ów spotkany uciekinier zawierały amunicję i sowieckie konserwy. Patrol, prócz tego, zdobył sporo nowoczesnej sowieckiej i chińskiej broni maszynowej. Gdy przeglądałem zdobycz, nagle na dziedzińcu powstało zamieszanie. To ów malowany cudak próbował ucieczki. Schwytny i przyciśnięty do ziemi szarpał się rozpaczliwie. Podszedłem bliżej. Obezwładniony, patrzył na mnie wzrokiem, w którym strach i wściekłość walczyły o lepsze. Murzyni tak się na ogół nie zachowują. Gdy są w takiej sytuacji, zwycięża fatalizm. Stają się otepalni, potulni. Zaintrygował mnie mój dziwny jeńiec. Był nagi (za wyjątkiem przepaski na biodrach), na szyi wisiały amulety: zęby małpie, wysuszone głowy jaszczurek i jakiś woreczek z węzowej skóry. Kazałem sobie ten woreczek dać. Jeńiec dostał szału. Bronił się tak, że trzech Katangijczyków z trudem dało sobie z nim radę. Zajrzałem do woreczka. Były w nim cztery złote obrączki i jakiś dokument. Oniemiałem ze zdumienia. Był to indeks czeskiego uniwersytetu w Pradze. Wydział medyczny. Kazałem zmyć jeńcowi twarz. Fotografia się zgadzała. Mój „dzikus” skończył medycynę w Pradze...

\*\*\*

Z przesłuchania świadków dowiedziałem się rychło, że miałem do czynienia z samym Mchawi Mukundu, czerwonym czarownikiem. Znacznie później dowiedziałem się, że młody Masutu, bo tak się naprawdę nazywał, skończył studia jako stypendysta czeski. Jako że dobrze się zapowiadał, albo dobrze spisywał – wysłano go na studia do Leningradu. Tam przygotowano go do roli, jaką miał odegrać w Kongo. Było to w latach pięćdziesiątych. Nikt jeszcze nie mówił o niepodległości belgijskiej kolonii. Sowietci na zapas kształcili agenta, który, choć lekarz, nie wahał się wysyłać setek ciemnych rodaków na pewną śmierć. Obiecano mu stanowisko w rządzie po zwycięskiej rewolucji. Miał rangę generała w armii rewolucyjnej. Wysłany do stolicy został stracony w lutym 1966.

\*\*\*

A legionści? Benigno wrócił na rodzinną Sardinję. Kupił największą chałupę we wsi, ożenił się i ma sześcioro dzieci. Popija słodkie, lokalne białe wino i jest bardzo szanowany. Kilka razy w miesiącu znika na cały dzień. Złośliwi mówią, że jeździ do miasta „za potrzebą”. Ba, na Sardynii za uwodzenie porządnych kobiet można dostać nożem w plecy.

Bill, czyli Jacques Treil, wrócił do Paryża, kupił knajpę, którą „przegospodarował” z kolegami w ciągu kilkunastu miesięcy. Wyjechał do Brazylii.

Józek Swara nie mógł ściegnąć Europy. Wyjechał jako kucharz do wielkiego hotelu w Arabii Saudyjskiej. Później znalazł się na Gwadelupie. Jego siostra, mieszkająca w Paryżu mówiła mi niedawno, że Józek zamierza wrócić. Może go zobaczyć.

Rafał GAN-GANOWICZ

- 1/ Maczeta: wielki, lekko zakrzywiony, ciężki nóż, rodzaj szabli służącej do wyrąbywania przejęcia w gęszczu. Służy również jako broń.
- 2/ Zatrute strzały były dwójakiego rodzaju: o zielonych płóciach papugi, zatrute były „jadem trupim”, czyli gangrenotwórczymi bakteriami ze zgnitego mięsa. Mierzyły się potwornie tych strzał bań. Używano ich głównie w wojnach plemiennych. Stąd spora ilość kalek po amputacjach lewej lub prawej przeprowadzonych. Dla nas, dzięki penicylinie – te strzały nie były groźne. Strzały o kolorach żółtych zapawione były alkaloidem pochodzenia roślinnego zabijonymi do kucury. Powodowały śmierć przez paraliż mięśni gładkich (zatrzymanie funkcji serca).
- 3/ BMC, czyli *Bordez Militaire de Campagne*, w polskim tłumaczeniu dosłownym „Wojskowy Bundeł Polowy”. Francuska instytucja „charytatywna” o starczych tradycjach. Zniesiona w latach pięćdziesiątych.
- 4/ Simba: w języku suahili – łew. Tak nazywali sami siebie rebelianci. Tak nazwał Swara swego psa, gdy ten zrabował mu porcję doskonałego pasztetu z gęstej wątróbki.



☆  
Jestem Żydem bo tak mi się podoba

Dokumentalny film o Żydach, którzy wyemigrowali z Polski do Izraela zarówno przed jak i po wojnie. Jak obecnie żyją i co myślą o przeszłości w Polsce, o Polakach? W poszukiwaniu odpowiedzi na te i szereg innych pytań realizatorzy VIDEO-KONTAKTU udali się do Jerozolimy, Tel-Awivu, Haify i wszędzie tam w Izraelu, gdzie znajdują się polscy Żydzi. Rezultatem jest 1 godz. 20 min. obrazu pełnego emocji, wspomnień, często żalu, ale także humoru, ciepła i nadziei na przyszłość.  
Czas 80 min. cena 50 \$/350 FF + koszt przesyłki.

## I PUŁKOWNIK KOZŁÓW

Rafał Gan-Ganowicz

N

a wysokości blisko 2000 metrów nad poziomem morza, otoczona wieńcem płaskoszczytowych gór, rozlega się obszerna, spalona słońcem równina. Rzadko rozsiane kępki żółtej trawy nie przysłaniają brudnoszarej ziemi, wysuszonej i spękanej. Każdy podmuch wiatru wznieca tu tumany kurzu, który opadając pokrywa resztki anemicznej roślinności. Ni to step, ni pustynia. Żółtoszarą płaszczyznę przecina główny szlak kupiecki, ciągnący się od Adenu aż do Arabii Saudyjskiej. Pośrodku równiny – otoczona wiekowym murem obronnym koloru terakoty – wznosi się stolica Jemenu: Sana. Miasto – jak wszystkie grody obronne – zwarte w sobie, ciasne. Poza murami, wkoło pustka. I tylko przy drodze wiodącej na zachód do portowego miasta Hoddeidah, dymią kominy elektrowni, której diestowskie generatory zasilają miasto w prąd elektryczny. Na północ od miasta biegnie skosem pojedynczy pas startowy lotniska. Miasto rozsiadło się w jedynym na całej równinie miejscu, gdzie pod grubą warstwą zeskorupiałej ziemi zbierała się woda. Toteż od wieków tu właśnie zatrzymywały się karawany kupców ciągnących do Jeddah i Taifu oraz pielgrzymów udających się do świętej Mekki.

Teraz miasto znajdowało się prawie w stanie oblężenia: drogę na południe, do Adenu, obsiedli rojaliści tak gęsto, że czerwoni zrezygnowali od dawna z wszelkich prób przebicia się w tym kierunku. Na północ, władza ich kończyła się zaledwie kilkanaście kilometrów za lotniskiem. Tylko droga na zachód, do portu Hoddeidah, stała jeszcze otworem i tędy płynęło całe zaopatrzenie miasta. Góry wokół były nasze. Tylko ponury poturecki fort na szczycie Dzebel<sup>2</sup>/ el Nogum był obsadzony przez czerwonych i bronił miasta z kierunku wschodniego. Nogum był dla nas nieosiągalny, gdyż jedyna droga na spadzistą zewsząd górę wiodła ze stolicy leżącej u jej podnóża. Jedyna to góra w rękach wojsk reżimowych, jedyna też, która dotykała niemal miasta. Niedgdy Turcy zbudowali na niej fortecę, dzięki czemu panowali nad miastem. Mając stolicę za zakładni-

ka, narzucili swą władzę całemu krajowi. Och, gdyby móc zająć Nogum!

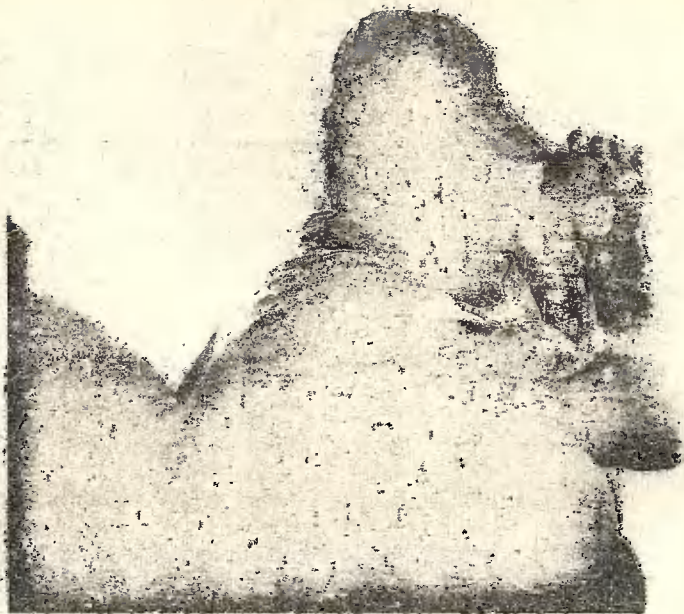
Jak się nie ma co się lubi... W naszych rękach znajdowało się pasmo gór Beni Matar, zamieszkałe przez góralskie plemię o tej samej nazwie.<sup>31</sup> Górale Beni Matar od dłuższego już czasu opuścili swe wioski przyklejone do gór jak jaskółce gniazda do okapu chłopskiej chałupy. Nigdy, nawet wtedy, gdy stutysieczna armia egipska roznosiła po całym kraju czerwoną zarazę, Beni Matar nie zdradzili króla. Z zemsty, sowieccy piloci zniszczyli wsie rakietami. Górale opuścili spalone domy, ale gór nie oddali wrogowi. Pozostali wolni. Nawet teraz ich wsie, choć spalone, zachowały malowniczość. Mieszkańcy żyli w grotach, których tu nie brakuje. Większość znalazła schronienie pod Dżebel Tahir. Wielka, płaska u góry, ponad stumetrowa skała zwisała nad wąwozem ogromnym okapem tworzącym bezpieczny schron dla kobiet, dzieci i rannych. Mężczyźni pilnowali przełęczy.

Strome, o płaskich szczytach, góry Beni Matar przecinało kilka głębokich wąwozów. Góry podmyte przez strumienie zwisały w wielu miejscach ciężkim okapem nad czeluściami wąwozów. Toteż lotnicy, nawet sowieccy świetni lotnicy, nie mogli zadać nam poważnych ciosów. Właśnie w jednym z takich wąwozów przeciętych strumykiem René zainstalował moździerz. W grocie obok urządziliśmy sobie legowisko: René, Jacques i ja. Dżebel el Houar oddzielał nas od równiny, na której leżała stolica i hasały wrogie patrole. Gdy wspiąłem się na el Houar, wiedziony przez szejka Ahmeda z plemienia Beni Matar, onicmiałem z wrażenia. Cała wraża dolina ścieliła się u mych stóp, a pośrodku, obrzymi brudnoźółty tort zdobny wieżyczkami minaretów: Sana. Widok jak z lotu ptaka. Mój wzrok sięgał za mury miasta, rozróżniał zarys ulic i alei. Szejk Ahmed wskazywał mi poszczególne budynki: *to jest siedziba rządu, a tamto partii* — mówił łamaną angielszczyzną. *A to aleja ambasad, przy której mieszczą się przedstawicielstwa państw, które uznały reżim. Ze Związkiem Radzieckim na czele.*

Na ustach René pojawił się drapieżny uśmiech gdy zdałem mu sprawę. Było to dwa tygodnie temu. Na skutek mych obserwacji zapadła decyzja przeniesienia naszego moździerza w wąwozy Beni Matar i ustawienia go za górą Houar. Stąd miał razić miasto. Miał nam zastąpić brakujące lotnictwo i pokazać wrogowi, że nie może czuć się bezpiecznie nawet wśród murów stolicy. Według mych obliczeń zasięg naszego moździerza obejmował trzy czwarte powierzchni miasta wraz z częścią pasa startowego lotniska. Punkt obserwacyjny na el Houar dawał możliwość kierowania ogniem, o jakiej nie marzył żaden artylerzysta.

\*\*\*

Wejść na Dżebel el Houar nie było łatwo. Ścieżka była wręcz karkołomna. Oczywiście nie miało to nic wspólnego ze sportową wspinaczką. Półtorametrowy dalmierz na plecach, karabin, pistolet i manierka z wodą nie pozwalały na swobodę ruchów. Kłamię głównie na karabin:



Byłem się, że może jeszcze coś zostało z tego gniazda szerszeni...

był mi zbyteczny. Przy pasie miałem pistolet dla własnej obrony. Ale w Jemerie mężczyzna bez karabinu nie zasługiwał na szacunek. Toteż włóczyliśmy się wszędzie z karabinami. Były to świetne karabiny szturmowe *Hoeckler and Koch* produkcji niemieckiej i budziły powszechny podziw. Ale przy górskich wycieczkach stawały się z każdym przebytym kilometrem coraz bardziej uciążliwe. A szejk Ahmed, dźwigający trójnog do dalmierza i własnego kałasznikowa, mimo podeszłego wieku, nadawał piekielne tempo. Skakał boso po ostrych kamieniach jak kozica i mnie, młodemu, byłoby wstyd, gdybym nie nadażył. Przynajmniej tak było na początku. Kilka dni później stary szejk kupił sobie buty. Od tej pory nadażałem już za nim łatwo.

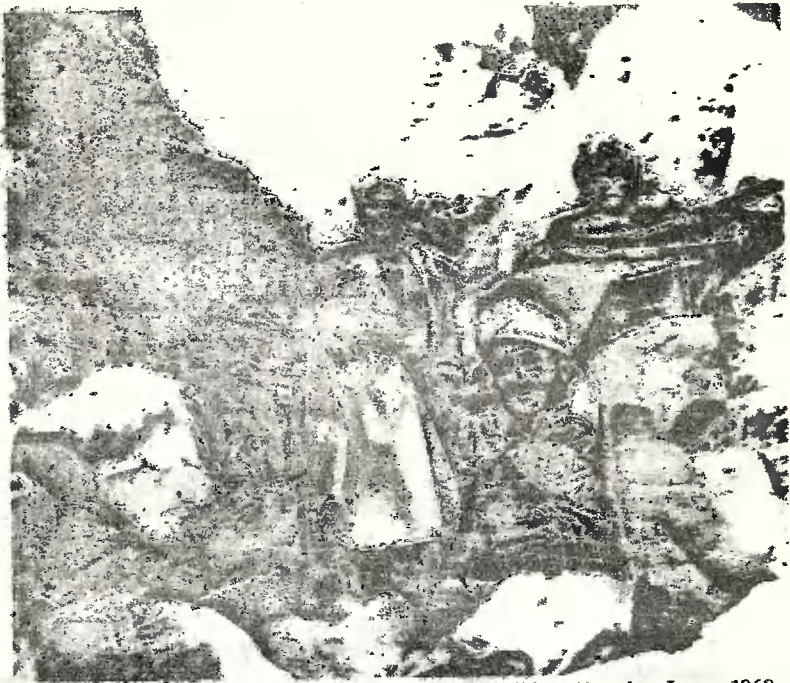
W połowie mniej więcej drogi na szczyt, wijącą się serpentyną ścieżka okrążyła górę od strony równiny, od strony wroga. Ten odcinek był ostrzeliwany przez sowieckie czołgi. Pięć kilometrów od el Houar równina była urozmaicona kilkoma niewysokimi skałami. Tam, dniem i nocą, stało od trzech do sześciu czołgów, które pukały z dział w stronę naszych gór. Skracali sobie czas? Dodawali odwagi? Nie wiem. To pukanie w góry było z punktu widzenia wojskowego marnotrawieniem amunicji. A może musieli wyrobić normę? Udowodnić przy pomocy huku żołnierską czujność? Nawet nie mieli tej satysfakcji, że mi strasznie przeszkadzali, bo wiedzieć o tym nie mogli: nie widzieli nas.

Na kilkuset metrach górskiej ścieżki uszy bolały od huku rozrywających się pocisków. Odlamki gwizdały nad głową, a pod nogi spadały kamienie wyrwane wybuchem. Od czasu do czasu z góry staczał się wytrącony z wiekowej równowagi gład i powodował lawinę, która przedniała nam drogę. Czasem przed nosem wyskakiwał gejzer płomieni i dymu nas dym: to sowieciarz, nie wiadomo dlaczego, rąbnął pociskiem zapalającym. Szejk Ahmed mówił: *inez Allah* i parł naprzód, a ja za nim, pocieszając się tylko tym, że jeśli oberwę, to te dranie nawet nie będą o tym wiedzieć. Ile razy musiałem przebyć tę trasę pod ostrzałem... Charakterystyczna skała z czerwonego porfiru była kłosem niebezpiecznego odcinka. Później trzeba było się jeszcze nagimnastykować, by znaleźć się na szczycie. Ale za to co za frajda! Dalmierz na trójnożu. Kontakt radiowy z René. Kierunek. Odległość. Stękniecie wystrzału w wąwozie. Obłoczek dodatkowej rakiety odpalonej, gdy pocisk hotchkissa był w apogeum i w chwilę później wybuch. Radio: *Krótki trzysta, lewo siedem* — stękniecie i wybuch tym razem tuż przy sowieckich czołgach. *W celu* — krzyczę w radio. Cztery stęknienia raz po raz za plecami. Cztery obłoczki. Cztery wybuchy. Między czołgami. Potwory stalowe drgnęły i ruszyły się. *Wzięją!* Jeszcze cztery pociski. Jeden z czołgów napatoczył się wprost na miejsce wybuchu. Ogluszyło chyba załogę, bo czołg ujechał jeszcze kilka metrów i wjechał na skałę. Jeszcze parę metrów i zawisnął nad skalnym załomem, przechylił się i runął bokiem. Trzy inne zwały nie czekając reszty. Z leżącego czołgu wypływało paliwo i wsiakało w piach. Zapadał zmierzch, musiałem wracać w dół do kolegów. Na drugi dzień wieżyczka leżącego czołgu była otwarta. Czy załoga wyszła sama, czy też pod osłoną nocy przyszła ekipa ratownicza? Nie wiem. Czołg pozostał już tak, jak leżał. Nie mówiłem, że frajda?

Pozbywszy się niemilego sąsiedztwa przeszedłem do rzeczy zasadniczych. Pomiar. Radio. Cel: Dom Partii. Cztery pociski na wstrzelenie się i... w celu — melduję. René dowala serię dwunastu pocisków z różnym opóźnieniem zapalnika. Pierwsze rozerwały się na poddaszu, następne na piętrach. Obserwowałem przez silną łomotę jak z budynku wylatywały okna w kłębach dymu rozbłyskiwały wybuchy. Z okien wyskakiwali partyjniacy i ludzie w mundurach. Sowieckich. Frajda!

Na drugi dzień szalały Migi. Miotły raketami po wąwozach. Ostrzeliwały skały z działek pokładowych. Latały trójkami: dwa pilotowane przez sowieciarzy i jeden przez Jemenczyka. Poznać było po klasie! Sowieccy piloci wysłani do Jemenu jako instruktorzy byli świetni. Ich akrobacje w trudnym, górskim terenie obserwowałem z nie słabnącym podziwem. Broni przeciwlotniczej nie mieliśmy żadnej — więc tylko, niestety, obserwowałem.

Jak odlecieli — znów wspinaczka na Dżebel el Houar. Dom Partii dopalał się jeszcze: z okien i z dziur w dachu wypływały kłęby dymu. Znów namiar dalmierzem, krótkie obliczenie kąta w porównaniu z wczorajszym kierunkiem i rozmowa z René — będziemy tłuc w siedzibę rządu.



Autor z następcą tronu szejkiem Ahmedem, Jemen 1968 r.

Hierarchia zachowana: najpierw partia, później rząd. Tu moja rola była trudniejsza. Za budynkiem rządowym zabytkowy meczet ostrzegawczo wyciągał palec minaretu w niebo. Książę Mohammed po rozmowach z naczelnym muftą Sany zdecydował wprawdzie, że gwoli świętej sprawie zwycięstwa nad bezbożnikami meczet można uszkodzić, ale prosił nas bardzo, byśmy zrobili wszystko co można, by tego uniknąć. Toteż wstrzeliwać się trzeba było od przodu, dbając o to, by nie przenieść. W gwarze wojskowej nazywa się to *wstrzeliwaniem się przez krótkie*. Normalnie po pierwszym strzale krótkim daje się przesadnie długi, a później bierze się średnią. Miejsca wybuchów łatwo widoczne dla obserwatora pozwalają na dość bezbłędne obliczenie trzeciego strzału. Strzelanie przez *krótkie* takich możliwości nie daje. Toteż siedziba rządu oberwała za piątym strzałem. Cztery były *krótkie*, ale nie wszystkie były przez to zmarnowane: pierwszy pocisk rozwalił przypadkowo ciężarówkę pełną wojska, a trzeci – posterunek milicji. Siedziba rządu rozleciała się po dziesięciu strzałach. Zatrzymałem ogień. Szkoda było amunicji. Jeszcze daleko było do zmierzchu. Zaproponowałem René bombardowanie koszar. Miał już niewiele amunicji, ale koszary *pionierów rewolucji* stłukliśmy dokumentnie.



Czekaliśmy na dostawę amunicji. Zabijaliśmy czas opatrywaniem rannych Jemeńczyków i leczeniem ludności. Ze wszystkich wąwozów Beni Matar zwracano się do nas o pomoc. Lekko rannych przyprowadzano nam na opatrunki. Wzywano nas do rannych nie nadających się do transportu. Sowieccy piloci zbombardowali targowisko w jednej z dolin, mimo iż nie było tam ani jednego mężczyzny. Same kobiety i dzieci. Ufność jaką Jemeńczycy pokładali w naszej wiedzy była wzruszająca. Robiliśmy co można było w takich warunkach, choć nie było między nami ani jednego lekarza. Podziwialiśmy hart Jemeńczyków, nawet małych dzieci. Hart i niezwykłą odporność na ból. A przy tym przerażenie nas ogarniało na widok niesłychanego wprost braku higieny osobistej. Oni się nigdy nie myją! Nigdy! Mimo to, dzięki penicylinie, rany goiły się nad podziw dobrze. Trudniej nam było leczyć choroby wewnętrzne, których również nie brakowało.

Codziennie, w towarzystwie szejka Ahmeda, wdrapywałem się na górę el Hour. Obliczałem na zapas współrzędne przystępnych celów bombardowania. Wieczorami kolacja: baranina, *czaj* i papieros. I długie rozmowy z przyjaciółmi. Czasem partia szachów z René, który odkąd wyczytał, że w sowieckich akademiach wojskowych szachy są obowiązkowe — nauczył się zupełnie niezłe grać. Nie byliśmy jednak na wczasach: wśród rozmów dominowała tematyka wojenna. Jak dokuczyć wrogom. Wspaniałe rezultaty osiągnięte przez nasz moździerz napawały nas optymizmem. Mogliśmy zdeorganizować życie w stolicy, mogliśmy uniemożliwić wrogowi korzystanie z lotniska. Była była amunicja! Ale czerwoni sprowadzali zaopatrzenie drogą z zachodu, z portu Hodeida nad Morzem Czerwonym. Drogi z Hodeidy moździerzem zamknąć się nie dało. Powoli w wieczornych rozmowach dojrzewała w nas myśl: trzeba uniemożliwić transport drogowy!

Księżę Mohammed dał się przekonać. Przydzielił nam kilkuset wojowników i powierzył René dowództwo. Sprawa wydawała się prosta: dwanaście kilometrów na zachód droga wiodła przez most nad niewielkim wąwozem. Należało most ów wysadzić, a góry po obu stronach drogi obsadzić wojownikami. Ich zadaniem miałyby być niedopuszczenie do odbudowy owego mostu.

Zamknięcie drogi Hodeida — Sana mogło spowodować przełom w całej wojnie. Stolica odcięta, bez zaopatrzenia nie mogłaby się długo bronić.

\*\*\*

Otrzymaliśmy transport amunicji do moździerza. Tegoż dnia o zmierzchu zniszczyliśmy miejską elektrownię. W stolicy na moment zapanała ciemność. Później generatory elektryczne warsztatów i fabryczek zarekwirowane przez władze zaopatrywały w prąd budynki urzędowe.



RAFAL GAN-GANOWICZ na tle zniszczonego sowieckiego czołgu, Jemen 1968 r.

Następnego dnia René otrzymał zgodę emira na zaatakowanie ambasady sowieckiej i egipskiej. Z dziką radością kierowałem ogniem. Ambasadę sowiecką zniszczyliśmy do fundamentów. Nie przerwałem ognia nawet wtedy, gdy wedle wszelkiej logiki dalsze strzały nie były potrzebne. Bałem się, że może przeceniłem zniszczenie, że może jeszcze coś zostało z tego gniazda szerszeni. Egipską ambasadę otoczyłem już mniejszą troską. Przy okazji oberwały inne przedstawicielstwa, jako że mieściły się przy tej samej alei. Wieczorem we francuskim dzienniku radiowym usłyszeliśmy wiadomość, która wprawiła nas w doskonały humor: *...ze względu na bezpieczeństwo personelu, przedstawicielstwa dyplomatyczne ewakuowały się ze stolicy. Zniszczenie sowieckiej ambasady w Sanie uważam za osobisty sukces. Egipska cieszy mnie już mniej. Natomiast to, że inne ambasady oberwały „przy okazji” uznaję za sprawiedliwe: po co było z takim pośpiechem uznawać komunistyczny, narzucony przez obcą armię reżim? Powiedzmy, że był to tylko rozrzut...*

*Przeciąć drogę na Hodeidę!* Plan René był słuszny. Dzięki możliwości atakować stolicę, wrzucając w niej popłoch i poczucie niebezpieczeństwa. Szpiedzy księcia donosili nam o skutkach bombardowania, wskazywali nowe cele. Maksymalny zasięg hotchkissa pozwalała na pokrycie ogniem znacznej części pasa startowego lotniska. Część poza zasięgiem wystarczała na lądowanie mniejszych samolotów i na to nie mieliśmy wpływu. Ale wielkie transportowce typu Antonow potrzebowały całej długości pasa. Toteż wystarczyło obserwować lądowanie *antosa* i rąbnąć pocisk w odpowiedniej chwili. Jeden *autos* został tak poważnie uszkodzony, że stoczono go z pasa na pobocze i tak już pozostał służyć mi zresztą za wskazówkę przy gorzej widoczności i... obrywał przy każdym strzelaniu. Antonowcy przestały przylatywać. Jedyną łączność stolicy z resztą świata zapewniała droga na Hodeidę.

Sowieciarze i ich jemeńscy uczniowie pilnowali tej drogi jak oka w głowie. Poczynajmniej od strony stolicy. Ciągłe kontrolowały ją patrole piechoty i czołgów. W skałach nad drogą nieprzyjaciół pobudował gniazda karabinów maszynowych. I tak było na dziesiątkach kilometrów. Im bliżej Hodeidy, tym kontrola drogi była słabsza. Tu wróg czuł się pewniej, jako że plemiona zamieszkujące wybrzeże najszczerzej z nim współpracowały. Tu zamieszkiwała ludność pochodzenia koptyjskiego i abisyńskiego, która była elementem obcym. Mężczyźni od dawna nie nosili tu broni. Dla jemeńskiego górala był to niechybny dowód podłości gatunku.

Gdy na radzie książęcej dyskutowano jak przeciąć dostawy do stolicy drogą z Hodeidy — emir Mohammed wysłał mnie z szejkiem Ahmedem na spotkanie delegacji jednego z plemion żyjących na zachód od Sany. Plemię to — dotychczas neutralne — zgłosiło swój akces do wojsk rojalistycznych. Nasze sukcesy wojenne skłaniały coraz to inne plemiona do zajęcia wyraźnego stanowiska po naszej stronie. Wśród licznej, trzydziestoosobowej delegacji plemienia zastałem starego znajomego, szejka Harbatasz. To on najwyraźniej namówił ludzi do przejścia na naszą stronę. Przyprowadziłem delegację do emira. Mohammed przyjął ją świetnie, dał po garści złota i kazał wydać broń. Szejka Harbatasz zaprosił do udziału w radzie. René powiedział nam później, że książę zaakceptował propozycję szejka Harbatasz, którą zresztą René poparł gorąco.

Plan Harbatasz polegał na tym, by wawozami, poprzez góry, wy dostać się na drogę Hodeida — Sana czterdzieści kilometrów na zachód od stolicy. Tam wróg nie wiedząc, że miejscowe plemię już go zdradziło — nie pilnował drogi zbyt czujnie. Tam też znajdował się jeden z „najczulszych” punktów na całej trasie: betonowy wiadukt nad wawozem.

Owe czterdzieści kilometrów wydłużało się do ponad stu, gdy zamiast drogą szło się przez górskie wawozy. Tu nie sposób było używać samochodów. Książę przydzielił nam wielbłądy.

Trzydniowa podróż na grzbiecie dromadera pozostanie w mej

pamięci na zawsze. Boże, jak to byłę kołysz! W wyprawie wzięło nas udział szczęście. Z nami jechał szejk Harbatasz i wódz świeżo sprzymierzonego plemienia. Osiem wielbłądów kołysało się w miarowym marszu. Gęsiego w wąwozie – natychmiast rozłaziły się w szeroki wachlarz, gdy tylko wąwóz rozszerzał się w dolinę. Kierowca wielbłądem żaden z nas nie potrafił i wszelkie wskazówki udzielone nam przed podróżą nie zdały się na nic. Wielbłądy lały jak chciały. Jeden z nich, najbardziej narowisty przewracał się co jakiś czas, by się wytarzać w kurzu. Jean-Pierre, który go dosiadał musiał dokonywać cudów zręczności, by uniknąć zgniecenia. Moje bydło miało inną przywarę: truchtem podbiegało do poprzednika i zdradziecko szczypało go zębami w... podogonie. Nieszczęśliwiec ryczał straszliwie i puszczał się w galop nie zważając na protesty jadącego na nim Georges. W sumie nie byliśmy dumni z siebie. Mimo przygód karawana dotarła na miejsce, skąd, już na piechotę, dotarliśmy na drogę Hodeida – Sana.

W dniu 1 maja 1968, w momencie, gdy w Moskwie na Placu Czerwonym odbywała się doroczna defilada, miałem zaszczyt i przyjemność szarpnąć rączką elektrycznego generatora: wybuch wstrząsnął wąwozem, wiadukt podniósł się w górę i opadł w tumanach kurzu. W tym momencie, zza zakrętu wynurzyły się sowieckie czołgi. Na szczęście od strony Hodeidy. Zerwany wiadukt uniemożliwił im pościg za nami. Według planu uchwalonego na radzie księżęcej, czterystu wojowników z nowo sprzymierzonego plemienia zostało w okolicznych skałach, by ogniem broni ręcznej i maszynowej uniemożliwić odbudowę wiaduktu. Droga na Sanę została odcięta. Wydawało się, że zwycięstwo rojalistów jest bliskie.

\*\*\*

Wróciliśmy do Beni Matar. Bombardowanie Sany rozpoczęło się od nowa. Na wschód od stolicy, za górą Nogum ustawiono nasz drugi moździerz. Stamtąd, inna ekipa pokrywała ogniem cele niedosiężne dla nas. Sana została dosłownie wzięta „w dwa ognie”. Republika zaczęła się chwiać.

\*\*\*

Na nasze głowy wyznaczono wysokie ceny: milion riali od łebka! Za żywego lub umarłego. Chodziło bowiem o to, by zdobyć niezbity dowód, że rojaliści nie walczą sami, że jest to obca interwencja. O egipskiej armii, która się na całe szczęście wyniosła i o ciągłe obecnych sowieckich *doradcach* obsługujących czołgi, lotnictwo i artylerię wolano nie wspominać. Ale grupa dwudziestu ludzi, walcząca po stronie ogromnej większości narodu – to była *obca, imperialistyczna interwencja!* Nasza obecność stawała się przedmiotem rozgrywki politycznej i to na tle ścierania się bloków. Stawaliśmy się stawką w tej rozgrywce. Emir Mohammed ostrzegł, byśmy się mieli na baczności i zwiększył nasze strażę. ZSRR

i jego satelicko-trzecioświatowa sfera zgodnie zaczęli protestować w ONZ przeciw obecności w Jemenie *imperialistycznych najemników na żołdzie CIA*. Protesty te echem powtarzała „odprężeniowa” opinia publiczna Europ. Zanosiło się na to, że nasz pracodawca, to znaczy Arabia Saudyjska ulegnie naciskom i nie odnowi nam kontraktów. Nasze kontrakty były sześciomiesięczne: cztery i pół miesiąca w terenie i półtora miesiąca płatnego urlopu w Europie. Podróż płaciła przez pracodawcę. Ten system pozwalał Arabii na szybkie wycofanie się z imprezy bez zrywania bieżących kontraktów: nasze, już trzykrotnie odnawiane, miały się ku końcowi. Byliśmy wszyscy zdenerwowani. Opuścić Jemen teraz, gdy zanosilo się na zwycięstwo — to znaczyło zmarnować wiele miesięcy wysiłków i narażania skóry.

\*\*\*

Nad doliną Seherzad leciał Mig 21. Jechaliśmy jeepem srodkiem fysej i pustej doliny. Georges skręcił gwałtownie za skalny załom, który dawał nam raczej iluzoryczne schronienie. Byliśmy w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Mig, przeleciawszy nad nami, zatoczył po mistrzowski ostry łuk, kładąc się niemal na plecy. Drgnęło odbicie słońca w szybie pilota, a spod skrzydeł błysnęły ogniki odpalanych rakiet. Zakotłowało się wokół nas i zaczęła palić się ziemia. Samolot przeleciał z hukiem i szykował się do powtórnego przelotu. Georges wyrwał karabin maszynowy z jeepa i dał nura za skałę. Mig wracał w naszą stronę. Georges zaczął strzelać, ja podawałem mu taśmę za taśmą. Okazało się, że nie byliśmy sami. Zza sąsiedniej skały pojawiły się smugi pocisków świetlnych i rozległ się szczerkot karabinu maszynowego przemieszany z salwami broni ręcznej. To jakiś oddziałek jemeńskich powstańców grzał do samolotu z czego się dało. Mig wracał. Pilot najwyraźniej chciał nas wykończyć. Jeśli wróg miał dobry wywiad, a na to mieliśmy wiele dowodów, to pilot mógł po typie naszego pojazdu domysleć się, że ma do czynienia z europejskimi doradcami, tak jak my, po mistrzowskim pilotowaniu samolotu wiedzieliśmy, że mamy do czynienia z sowieckim pilotem. Pod jemeńskim obcym niebem Francuz, Belg i Polak z jednej strony, a sowiecki pilot z drugiej prowadzili wojnę. Miało to wymowę symboliczną dla współczesnych stosunków międzynarodowych. Ale w tym momencie nie zastanawiałem się nad symbolami, zbyt przejęty tym, by opanować strach przed ziejącym ogniem sowieckim samolotem i dbać o to, by Georges'owi nie zabrakło amunicji. Płonął już jeep i skały wokoło, gdy uparty Mig nawrócił po raz czwarty. Czy chciał dokończyć dzieła, czy tylko upewnić się, że nikt mu nie uszedł, czy też widział błysk strzałówek naszego karabinu maszynowego? Znowu kładł się na bok w eleganckim przechyle, znowu błysk słońca na szybie. Nie, to nie słońce! W miejscu rozbłysku pojawił się dym! Samolot zachybotał się jak rozpędzony wóz na wybojach, poderwał ostry dziób ku niebu, zawahał się i... runął ku ziemi. Tuż nad ziemią, jakby pilot odzyskał na chwilę przytomność, Mig wyprostował swój lot

i wyglądało, że będzie lądował. Nie wyciągnął jednak podwozia i widzieliśmy, jak rył długi kamienistą ziemię w dolinie, wzniesając obłok kurzu. Biegliśmy w jego stronę wszyscy: trzej Europejczycy i grupa jemeńskich powstańców, która z wżaskiem wypadła zza sąsiedniej skały. Z pobliskiej wioski biegły kobiety, dzieci i psy. Dobiegliśmy do samolotu. Jakż wydawał się niegroźny, teraz, gdy leżał z wyrwanym skrzydłem i zmiądzonym podbrzuszem. W kabinie trup w lotniczym kombinezonie. Śmażka krwi z ust i dziwnie nienaturalnie zwieszona głowa. Wytrzeszczone niebieskie oczy. Obok przyrządów nawigacyjnych przypięty mapnik, a w nim mapy i dokumenty. Z tych ostatnich wynika, że nieboszczyk był nie byle kim: upolowaliśmy pułkownika Kozłowa, samego szefa sowieckiej misji doradczej przy „Judowej” republice. Lista podległych mu pilotów: trzydzieści sześć nazwisk. Z innych dokumentów można odczytać rozmiar sowieckiej interwencji.

Dokumenty znalezione przy Kozłowie przekazaliśmy rządowi Arabii Saudyjskiej. Te dowody sowieckiej obecności w Jemenie wystarczyły, by zamknąć gębę tym wszystkim, których gorszyła nasza obecność w Jemenie. Pułkownik Kozłow ocalał nasze kontrakty. Podwojnie czule go wspominam: po pierwsze za to, że dał się zabić, co jest niezwykle sympatyczne, jeśli chodzi o bolszewika, a po drugie za to, że przez brak rewolucyjnej czujności dał nam w ręce bezcenne argumenty dla naszego dalszego udziału w wojnie. I bez znaczenia jest fakt, czy zestrzelił go Georges, czy nasi jemeńscy przyjaciele.

Rafał GAN-GANOWICZ

1/ Hotchkiss brandt – francuski moździerz ciężki 120 mm. Broń na owe czasy rewelacyjna. Nawet dziś, po dwudziestu latach jest nadal najlepszą w świecie w swojej kategorii. Podczas gdy zasięg moździerzy tego kalibru, amerykańskich i sowieckich, przekracza zaledwie 6 km, „hotchkiss” ma zasięg skuteczny 13 km. Moździerz ten posiada lufę gwintowaną i pocisk, odpowiednio karbowany, zostaje przy wystrzale wprowadzony w ruch obrotowy. Daje to ogromną celność i pewne zwiększenie zasięgu. W moździerzach klasycznych zasięg maksymalny uzyskuje się przy podniesieniu lufy do 45 stopni. W „hotchkissie” podniesienie lufy dla zasięgu maksymalnego jest 72 stopnie, a przeszło 45-kilogramowy pocisk odpala dodatkowy napęd raketowy w momencie, gdy znajdując się w apogeum krzywej balistycznej (ok. 4000 m), przechylił się do 45 stopni. Obsługa moździerza łatwa. Waży on nieco więcej niż połowę wagi swych odpowiedników. Ima własne podwozie. Strzelanie wymagało posługiwania się skomplikowanymi tablicami logarytmicznymi. Dziś jest skomputeryzowany.

2/ Dżebel el Nogum (Góra Nogum) – wysoki, stromy szczyt wznoszący się nad stolicą. Jedyną z okolicznych gór, której nigdy nie udało się zdobyć rojalistom. Zbocze dostępne zągądowało się od strony miasta. Na wierchołku stary fort, pamiętający jeszcze tureckie czasy. Nogum był świetnym punktem obserwacyjnym dla naszych przeciwników i dawał im wgląd w nasze pozycje.

3/ Beni Matar (Synowie Deszczu) – pasmo gór na południowy-wschód od stolicy i nazwa plemienia góralskiego zamieszkującego te góry. Nazwa wzięta się stąd, iż rzeczywiście opady w Beni Matar były znacznie częstsze niż w innych pasmach gór w okolicy.

# MOŻESZ WYJŚĆ ZA KOGO CHCESZ -

## TYLKO NIE ZA KOMUNISTĘ...

Beata Pawlak

*Nguyen Van Thanh to fałszywe nazwisko osoby, która w 1980 roku łodzią SP 116 opuściła swój kraj.*

**T** o wszystko kupuję dla niej – podchodzi do szafy i wskazuje na pudła, pudełeczka zgromadzone na górze i sięgające sufitu. Potem otwiera szafę: znów pudła duże i mniejsze, kolorowe rysunki i napisy. – *Patrz: szybkowar, tu – maszynka do grzanek, tu rożen, to duże, to prasownica. Radio – wskazuje na duże kolumny – to też dla niej, żeby mogła słuchać muzyki. Jeśli nie zechce – wykonuje pogardliwy gest – na śmietnik.*

Siedzimy w dwupokojowym mieszkaniu Thanh przy bulwarze Montparnasse. Dwa pokoje, ale właściwie to jakby dwa połączone ze sobą *chambres de bonne*. Nie dociera tu uliczny gwar. Przez okno nie widać barwnych kafejek – tylko prostą, pozbawioną okien ścianę przeciwnielego budynku.

Pijemy kawę i Thanh, walcząc z pamięcią i intonacją obcego języka, po raz pierwszy próbuje ułożyć i opowiedzieć swoje życie.

W 1970 roku miał 19 lat i rozpoczął studia w Sajgonie. Liceum dało mu ogólne pojęcie o historii świata. O komunizmie nie wiedział prawie nic. Komuniści, myślał, to fanatycy. Szaleńcy. Służbę wojskową traktował jako patriotyczny obowiązek. Kiedy jednak w sierpniu otrzymał wezwanie do wojska, wiedział, że oto jego przyszłość się kończy.

Sześć miesięcy szkoły wojskowej, potem dziewięć jeszcze oficerskiej.

Przyszłą żonę poznał w 1973 roku. Studiowała literaturę.

– *Była wysoka, piękna – mówi.*

Robili plany na przyszłość. Pożyczą pieniądze w banku, kupią ziemię. „Założą” dom. Przecież wojna kiedyś się skończy.

Dla tego domu postarał się, by przeniesiono go do pracy administracyjnej. Cóż to za żołnierz zresztą, który mówi o sobie – pacyfista.

Ślub wzięli w kwietniu 1975 roku. Ale bez oficjalnego dokumentu. Jeśli komuniści będą chcieli go zabić, myślał, mogą też zabić ją, jako żonę oficera. Nie poszli więc do urzędu i związek ich pozostał sprawą dwóch

rodzin. Zostało tylko zdjęcie, na którym stoją między rodzicami a braćmi: ona w różowej tradycyjnej sukience, on – garniturze.

Tydzień później Sajgon upadł.

Karabin maszynowy schował. Nie uciekł jak wielu wyższych oficerów. Myślał: *Jeśli mnie szukacie, by mnie uwięzić – jestem tu. Ale jeśli mnie szukacie, by mnie zabić – będę się bronił.*

Ona bała się. Miała piękne szczupłe palce o długich paznokciach i myślała, że komuniści będą jej te paznokcie wrywać. Tymczasem nowa władza ogłosiła: *oficerowie wojska południowowietnamskiego mają zgłosić się na milicję z 10 kilogramami ryżu i śpiworem.*

Myślał: *10 kilogramów, to znaczy miesiąc.* Przez miesiąc będą ich uczyć nowego systemu. Nic w tym dziwnego – jest oficerem wojska, które przegrało wojnę. A potem wyjdzie i będzie zwykłym człowiekiem.

Kiedy minął miesiąc, a on cały czas był w obozie, myślał: *To nic, jutro wyjdę.* Ona też myślała: *Jutro już wyjdzie na pewno.* I ludzie z nowej władzy mówili: *Jeśli dobrze pojmiesz system – jutro będziesz wolny.*

Minęło pięć lat.

Przez pierwsze siedem miesięcy nie zezwolono ani na wizyty, ani na listy. Po siedmiu miesiącach – pierwsze widzenie. Kwadrans. Nie można się zbliżyć. Nie można objąć ani nawet dotknąć. Potem – dwa widzenia w ciągu roku. Za każdym razem –kwadrans.

W pierwszym roku szkolenia ideologicznego zajęcia odbywały się rano, od ósmej do wpół do dwunastej i po południu, do czwartej lub piątej.

Gromadzili się, 500 osób, w dużej „sali konferencyjnej” i siedząc po turecku albo w kućki na podłodze – notowali wykład. Po dwóch, trzech dniach wykładów zajęcia przenosiły się do baraków, gdzie odpytowano więźniów z omówionego tematu. Trzeba było zanotować, nauczyć się, omówić; trzeba było udowodnić:

– że Stany Zjednoczone są wrogiem numer jeden narodu wietnamskiego,

– że rząd i wojsko południowowietnamskie było narzędziem Stanów Zjednoczonych,

– że partia wietnamska jest niezwyknięta.

Potem trzeba było napisać samokrytykę: *Dzięki komunistycznej partii wietnamskiej zrozumiałem, że jestem zbrodniarzem wojennym.* Następnie jeszcze odpowiedzieć na pytania ankiety: w jaki sposób został zwerbowany do wojska, jaką w nim pełnił funkcję, w ilu bitwach wziął udział, ilu zabił rewolucjonistów, ile i jakie zdobył odznaczenia. Musiał dobrze zapamiętać podane odpowiedzi, bo rok później dano mu do wypełnienia tę samą ankietę.

*Miałem w nosie komunizm – mówi – Chciałem żyć normalnie. Z żoną. To wszystko.*

Od drugiego roku spędzał kolejne lata albo na szkoleniu ideologicznym, albo pracując w lesie. Powiedzieli im: *rząd nie będzie więcej*



za was płacił. Wszystko robili sami: stoły, łózka. Mieli nawet kino, ale filmy wojenne albo komunistyczne.

W obozie spędził dokładnie 5 lat, 4 miesiące i 16 dni.

Przesyłał do niej listy albo grypsy, w których pisał: *Jesteś wolna. Możesz związać się z innym. Możesz wyjść za mąż. Za kogo chcesz – tylko nie za komunistę.*

Ale myślał: *Jak jej tam jest? Jak sobie daje radę? Czy znajdzie kogoś innego?*

Ona odpisywała: *Poczekam. Dziesięć lat. Dwadzieścia.*

To ona napisała oświadczenie gwarantujące, że Thanh będzie dobrym obywatelem.

Któregoś dnia wreszcie na liście osób uznanych za „redukowane” i zwolnione z obozu znalazło się jego nazwisko. Ale wolność nie oznaczała „normalności”. Pozbawiony praw cywilnych przez rok powinien pracować pod nadzorem i być pod stałą kontrolą komitetu ludowego.

– *Pierwsze wrażenie?* – zastanawia się – *Rozczarowanie. Wcześniej ludzie żyli aktywnie, patrzyli przed siebie. Teraz patrzyli pod nogi.*

Dużo kieszonkowców, złodziejasków, paserów. Na ulicach – głodne dzieci, które zamiast iść do szkoły szukały w ulicznych zakamarkach przedmiotów nadających się do sprzedaży. Sprzedawano wszystko. Wyrzucone na śmieci pogięte łyżeczki, zardzewiałe zapalniczki. Zbierano to, klepano, czyszczono i sprzedawano. Gwoździe wyrwane z desek i skrzyń – prostowano i sprzedawano. Na ulicach co krok stali handlarze z rozściełanym na chodniku płótnem i takimi przedmiotami wyjętymi ze śmietników i pobieżnie oczyszczonymi.

Od początku słuchał, co mówią ludzie. Pytali: *Uciekasz? Albo: Jeśli chcesz – za tydzień mam łódź.* Zaprzeczał: *Nie, ja?* Ale słuchał. Jak uciekają. Ile kosztuje. Jakie są szanse.

Mówił: *Muszę wyjechać.*

A ona: *Jeśli wyjedziesz, między nami skończone.*

Kiedy się zdecydował – zaczął mówić o separacji. Ona płakała dzień i noc. Wyprowadził się od niej. Zaczęła go nienawidzić. Wszystkich oszukałem – mówi – rodzinę, znajomych, ją samą. Dopiero w liście z Paryża wyjaśnił: *Gdybym zginął, byłoby ci łatwiej o mnie zapomnieć.* Niecałe dwa miesiące po wyjściu z obozu, ojciec zapytał go:

– *Mam łódź dla ciebie. Bierzesz?* – *Biorę.*

Wyruszyło ich, w 1980 roku, 116 osób. W tym – 30 kobiet. Nie zostało im oszczędzone spotkanie z tajlandzkimi piratami. Najpierw myśleli, że to statek rybacki. Dopiero kiedy tamci zbliżyli się, zobaczyli mężczyzn z długimi rzeźniczymi nożami i z pistoletami. Piraci wtargnęli na łódź i jednocześnie grabili mienie, rozbijali maszyny, niszczyli żywność i gwałcili kobiety, trzydzieści kobiet, jedna po drugiej, *podając je sobie z ręk do rąk, czy raczej z bioder na biodra.*

Thanh podchodzi do półki i wyjmuje jakieś zdjęcie. Rodzina z 10-letnią może dziewczynką.

– *Ją też chcieli zgwałcić* – wskazuje na dziecko – *Matka broniła jej, więc zostawili dziewczynkę i wzięli matkę.*

– *Byłem chory* – mówi tonem usprawiedliwienia – *36 godzin przeleżałem z gorączką na dnie łodzi; sam siebie nie mogłem obronić, tak byłem słaby, więc jak tamte...*

Piraci uprowadzili trzy kobiety i odpłynęli, zostawiając na falach niezdolną do kierowania łódź z rozbitym motorem. Po czterech dniach udało im się dobić do wyspy, skąd trzy dni później zabrał ich statek i dowiózł do Tajlandii. Po trzech miesiącach spędzonych w obozie dla uchodźców Thanh znalazł się we Francji.

\*\*\*

Thanh jest szczupły, niewielki. Wygląda na 25 lat. Ma ich o dziesięć więcej.

Z zapałem mówi o kuchni francuskiej. Teraz, na lato, mówi, kuchnia powinna być lekka. *Ale jeśli pada deszcz – główne danie powinno być ciepłe.* Na przykład *blanquette*. On *blanquette* robi bez mąki. Tylko ze śmietaną. Nie tak jak inni kucharze.

Lubi wymyślać potrawy. Rzuci okiem na przepis albo tylko na fotografię w książce kucharskiej i w ten sposób czerpie pomysły. Potem już sam komponuje, dodaje przyprawy, zmienia sosy.

Trzeba wiedzieć, jak zeszklić cebulę, żeby nadała zapach mięsu. Trzeba wiedzieć, ile dodać cytryny, ile mięty. On dodaje dużo mięty, klienci potem mówią: *co za zapach!* Kiedy przechyła butelkę z sokiem z cytryny, wie zawsze, kiedy ją „unieść”. Po prostu mówi sobie: *dość*. Inni patrzą, chcą powtórzyć, ale nigdy danie nie będzie jak jego. Do restauracji, w której pracuje, przychodzą klienci trochę pretensjonalni. Lubią wielkie słowa. Wymyśla więc dania i nazwy. Ostatnio robi ryby w warzywach. To się nazywa: *capacio* z dwóch ryb w warzywach z sosem z zielonej musztardy.

Na początku było ciężko. Owszem, jako oficer wiedział, jak żywność należy konserwować, jak dzielić, ale już rondla nie umiał trzymać w ręku. W obozie reedukacyjnym sami gotowali jedzenie; ale jaki może mieć to związek z finezją francuskiej kuchni?

Zaczął w restauracji brata. Brat wskazywał palcem i mówił: *krewetka*. Powtórz. Powtarzał, ale następnego dnia już nie pamiętał. Po dwóch miesiącach przeniósł się do restauracji francuskiej. Patrzył, jak to robią. Smakował. Próbował naśladować. Mówili do niego, a on nic nie rozumiał. Denerwował się: *Proszę mówić wolno*. Przede wszystkim chciał się nauczyć języka. Żeby gotować trzeba mówić, trzeba rozumieć. Są tacy, którzy pozostają w środowisku azjatyckim, ale on chciał żyć jak wszyscy, jak tutaj.

Ambicje zawodowe? Tak, zamiast fizykiem został kucharzem. Matematyka była jego pasją. Jeszcze teraz bierze podręcznik francuski

i rozwiązuje zadania. Ale minęło tyle lat, najpierw wojna, potem obóz. W swoim języku jeszcze mógłby się uczyć, ale w obcym?

Żona? Czeka na nią. Najpierw pięć lat – w obozie, potem siedem – tutaj. Najgorsze, że nie mają świadectwa ślubu.

On sam, od kilku lat, ma obywatelstwo francuskie, ale jako były oficer nawet z obcym obywatelstwem mógłby być w Wietnamie zatrzymany i oskarżony o szpiegostwo. Szukał więc Wietnamczyka, który mógłby pojechać do kraju, zawrzeć oficjalny ślub z jego żoną i przywieźć ją do Europy. Dawał pieniądze, opłacał wszystkie koszty. Ale jego rodacy, w zblizonym do jej wieku, są już wszyscy żonaci.

Potem jego francuski przyjaciel zaproponował swoją pomoc. Ambasada wietnamska odmówiła mu jednak wizy: *nie ma pani tam przecież rodziny*. Ona chciała, jak Thanh, uciec na łodzi. Zabronił. *Gdyby utonęła* – mówi – to taki już los... Ale gdyby miała być zgwałcona jak tamte kobiety...

Wreszcie kilka miesięcy temu zebrał plik papierów:

*Ja... urodzony... obywatel francuski mieszkający... zatrudniony... zobowiązuję się przyjąć i wziąć na całkowite utrzymanie moją żonę... gdy tylko otrzyma zgodę na przyjazd do Francji.*

*Ja... zamieszkała... proszę o zaświadczenie, że... i ja jesteśmy małżeństwem. W rzeczywistości pobraliśmy się 25 kwietnia 1975 roku, tuż przed wyzwoleniem, jednakże splot wypadków sprawił, że nie mogliśmy sporządzić aktu zawarcia małżeństwa.*

*Pierwszy świadek*

*...urodzony... dowód osobisty numer... zamieszkały... zaświadcza, że wiadomym mu jest, iż... i panna... zawarli małżeństwo i żyli razem od 1975 roku.*

*Drugi świadek...*

*Szef komórki zaświadcza zgodność z prawdą oświadczenia panny... Przekazane organom kompetentnym do podjęcia decyzji.*

*podpis*

*Zaświadczenie numer...*

*Komitet ludowy dzielnicy... zaświadcza prawdziwość oświadczenia pani...*

*Szef sekcji  
podpis*

Zaswiadczenie numer...

Prezydent komitetu ludowego dzielnicy... zaświadcza prawdziwość oświadczeń pani... jak i dwóch świadków.

podpis i pieczętka

Dokumenty wysłał do francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i od kilku miesięcy czeka na odpowiedź.

— Właściwie — mówi — nie rozumiem mojego życia. Zarabiam dużo pieniędzy. Wychodzę do pracy i wracam. Piszę list, coś czytam. Włączam komputer. Myślisz, że mogę na nią jeszcze czekać? Jak długo? Dwa lata? Pięć?

Kręci głową.

Siedzimy w jego pustym pokoju. Notuję przepis na ryby w owocach. Pijemy kawę. Z kubków. Serwis leży w jednym z pudełek na szafie.

Beata PAWLAK

39. Frankfurter  
Buchmesse  
7.-12. Oktober

39<sup>th</sup> Frankfurt  
Book Fair  
7-12 October

39<sup>e</sup> Foire du Livre  
de Francfort  
7-12 octobre



1987



POLSKIE KSIĄZKI  
WE FRANKFURCIE NAD MENEM

EDITION SPOTKANIA  
POLSKA FUNDACJA KULTURALNA  
KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU  
Halle 4, 1 stock, stand nr L 922

POLONIA BOOK FUND LTD.  
Halle 4, 1 stock, stand nr L 924

INSTYTUT LITERACKI / KULTURA PARYŻ  
(INSTITUT LITTÉRAIRE/KULTURA)  
Halle 4, 1 stock, stand nr L 926

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWA Z POLSKI  
(INDEPENDENT IMPRINTS FROM POLAND)  
Halle 4, 1 stock, stand nr N 943

## ...KILKA TYSIĘCY OFIAR,

# KILKANAŚCIE, CZY TEŻ MILION?

(Tezy z narady I sekretarzy KW

odbytej w dniach 16-17.IX.1981 roku w KC PZPR)

Marek Stypułkowski

Niezwykły w swoich sformułowaniach, a także w ogólnej wymowie, dokument, który poniżej publikujemy, powstał w gabinecie pierwszego sekretarza jednego z komitetów wojewódzkich PZPR, niecałe trzy miesiące przed wprowadzeniem stanu wojennego w Polsce. Ponieważ jednak są to „tezy” — co w partyjnym żargonie oznacza: oficjalne stanowisko, a także dyrektywy, zalecenia itp. — z ogólnopolskiej narady sekretarzy wojewódzkich w Komitecie Centralnym, jest więcej niż pewne, że podobnej, a być może nawet identycznej treści materiały zostały opracowane i rozesłane we wszystkich województwach, a więc w całej Polsce.

Notatka ta, w postaci powielonego maszynopisu o objętości pięć i pół strony tekstu pisanego z małym odstępem i marginesem, musiała być sporządzona i kolportowana w dużym pośpiechu. Świadczy o tym nie tylko telegraficzny styl, coraz bardziej widoczny w miarę zbliżania się do końca lektury oraz wyjątkowe, nawet jak na materiał partyjny, niechlujstwo konstrukcyjne i językowe. O pośpiechu może też świadczyć fakt, że narada sekretarzy w Warszawie zakończyła się w czwartek 17 września, a w poniedziałek 21 września 1981 roku opracowane w centrali wojewódzkiej „Tezy” dotarły już do adresatów w tzw. terenie.

Nie znamy klucza, według którego materiał ten był udostępniany. Jednakże z różnych pośrednich dowodów wynika, że z treścią „Tez” mogli zapoznać się ludzie, którzy spełniali równocześnie trzy kryteria. Po pierwsze, sprawowali funkcje wykonawcze w aparacie władzy, tzn. partii, administracji państwowej, wojska, milicji i służby bezpieczeństwa. Po drugie — byli członkami partii. Po trzecie — zasługiwali, zdaniem pierwszego sekretarza wojewódzkiego, na pełne zaufanie.

To, że materiał był przeznaczony wyłącznie dla „swoich”, wcale nie oznacza, że musiał zawierać absolutnie ścisłe dane o tym, co dzieje się w Polsce i wokół niej, o czym niewątpliwie wiedziała kierownicza grupa na samym szczycie władzy. W systemie totalitarnym zawsze występuje określona hierarchia w procesie obiegu informacji. Jest to temat sam

Jak rozumieć takie stwierdzenie? Takie liczby nie mogły być wymyślone w Komitecie Wojewódzkim, ale musiały paść na naradzie w Warszawie. Czy rzeczywiście kierownictwo partii tak oceniało sytuację, czy też był to jeszcze jeden bluff obliczony na stworzenie odpowiedniego stanu gotowości wśród adresatów „Tez”? Może tego rodzaju mocne sformułowania miały pokazać wszystkim, że Kania docenia grozę sytuacji i wbrew pozorom – jest człowiekiem silnym i zdecydowanym? Są to wszystko domysły, aczkolwiek taka interpretacja „Tez” jest w świetle wywiadu pułkownika Kuklińskiego – bardzo prawdopodobna. Faktem niezbitym natomiast jest, że takie a nie inne sformułowania zostały przekazane ludziom sprawującym władzę w Polsce na szczeblu województwa i gminy, jako obraz sytuacji w kraju i równocześnie jako dyrektywa do działania.

Marek STYPULKOWSKI

## Tezy z narady I sekretarza KW odbytej w dniach 16-17.IX.1981 roku w KC PZPR

*Biuro Polityczne wydało oświadczenie ustosunkowujące się do I Zjazdu „Solidarności”. Zawiera ono ocenę tego wydarzenia: antysocjalistyczne i antypartyjne siły w „Solidarności” uzyskały na Zjeździe wyraźną przewagę. Uczyniły one ze swoich zamiarów politycznych, oficjalny program „Solidarności”.*

*Postawić w tym miejscu powinno się pytanie, jak ten program odpowiada szerokim rzeszom członków tej organizacji i czy jest to program związkowy. Odpowiedź jest jedna. Nie jest to program Solidarności Robotniczej. Ten element wykorzystać winniśmy w naszej propagandzie.*

*Jaki charakter polityczny ma „Solidarność”?*

*Jednoznacznie, jak wynika z działalności oraz wyników I tury Zjazdu, jest siłą opozycyjną zmierzającą do zmiany ustroju i do zmiany miejsc-*

ca Polski w świecie. Zjazd odrzucił statutowe deklaracje, a problem uznania kierowniczej roli partii — co bardzo znacząco — odłożono do II tury Zjazdu. Ważnym czynnikiem, elementem składowym Zjazdu była zaciekle działalność antyrządziecka, posunięta tak daleko, że zaskoczyła to także państwa zachodnie. Zaskoczenie uwidoczniło się wyraźnie wśród reporterów zagranicznych. Proszono PAP o potwierdzenie wiadomości oraz tekstów oświadczeń — sądzono, że zaistniały jakieś przekłamania na łączach dalekopisu.

Rodzi się pytanie czy „Solidarność” istotnie zamierza przejąć władzę? Tak! Dziś ludzie „Solidarności” zdają sobie sprawę, że przejęcie władzy w Polsce będzie bardzo trudne, poszli na koncepcję wielkiej prowokacji w skali światowej. Programując przebieg Zjazdu oraz inspirowując przeróżne oświadczenia i rezolucje tam podjęte, spełniali tym samym żądania tych, co ich finansują. Spłacali w ten sposób polityczny dług swoim mocodawcom z Zachodu. Ta okrutna prawda musi jak najszybciej dotrzeć do świadomości wszystkich Polaków.

Mogą istnieć różne rozbieżności co do kwestii, jak w tych warunkach kontynuować linię porozumienia.

Musimy sobie tutaj powiedzieć otwarcie — istnieje natychmiastowa konieczność zmodyfikowania tej linii — przyjętej latem i jesienią ubiegłego roku pod naporem faktu. Nadeszła ostateczna pora działań politycznych. Musi nastąpić zdecydowane działanie wobec coraz liczniejszych wypadków łamania prawa. Może nadszedł już czas działania w myśl hasła „kto nie przeciw nam, ten z nami”. Każde przekroczenie prawa musi być z całą surowością karane. Trzeba tutaj działać zdecydowanie, ale i rozsądnie. Prowadzone są prace nad planami stanu wojennego (właściwie jego modyfikacją), ale jest to ostateczność. Bardziej potrzebne są nadal środki polityczne. Odbyło się posiedzenie Komitetu Obrony Kraju. Odbyło się również posiedzenie Komisji Porozumiewawczej Stronnictw Politycznych, gdzie uzyskano jednomyślność co do oceny aktualnej sytuacji politycznej w kraju.

W najbliższym czasie (24–25.IX) odbędzie się posiedzenie Sejmu, na którym Premier przedstawi rządową ocenę sytuacji społeczno-politycznej i gospodarczej państwa. Przedstawi Sejmowi wnioski co do stanowiska rządu w sprawie dokumentów Zjazdu „Solidarności”, jak też wniosków o uchwalenie przez Sejm nadzwyczajnych pełnomocnictw dla Premiera i rządu, ograniczających działanie niektórych ustaw.

Przewiduje się, że Prokurator Generalny wystąpi do Sądu Najwyższego z pytaniem czy „Solidarność” działa legalnie, zgodnie z zatwierdzonym statutem. Jeśli nie, będzie wniosek o zdelegalizowanie tej organizacji. Jest co prawda druga możliwość — aby uczynił to Sejm. Ale pierwsza wersja pozwala na wykorzystanie w tej kwestii środków prawnych.

Spodziewać się należy, że do Sejmu wniesiony zostanie postulat o przeprowadzenie referendum, którym zagroziłaby „Solidarność”. Sejm będzie musiał się do tego postulatu ustosunkować.

Biuro Polityczne podjęło decyzję obligującą rząd do zniesienia kartek na masło i mięso dla rolników indywidualnych. Pozwoli to na skiełowanie 12% masy towarowej do miast.

Do rozważenia zalecono projekt zrezygnowania z potrącania składek członkowskich na listach płac (wszystkich związków). Urealni to także wypłaty członków.

Kolejną kwestią omawianą na Biurze Politycznym była próba odpowiedzieć na pytanie — jaki wpływ mają członkowie partii w „Solidarności”. Jest to problem „wyciągnięcia tych ludzi z Solidarności”. Przede wszystkim dotyczy to ludzi na kierowniczych stanowiskach, tych co zbliżali. Należy z nimi jak najszybciej przeprowadzić rozmowy indywidualne.

W ostatnich dniach notujemy w niektórych regionach masowe występowanie z „Solidarności”. Trzeba się tych towarzyszy zapytać, czy są oni za programem partii uchwalonym na IX Nadzwyczajnym Zjeździe, czy za awanturniczym „Solidarności”. Obserwujemy niezdrowe tendencje w sądownictwie i służbie medycznej. Środowiska te są w znacznym stopniu opętane przez „Solidarność”. W gabinetach medycznych prowadzona jest drastyczna agitacja „Solidarności”. W rozmowach indywidualnych ludzie ci wykazują, że nie wiadomo czego chcą. Nie potrafią się zdecydowanie odciąć.

Tu i ówdzie w kraju udaje się organizować grupy opozycyjne pod nazwą „Solidarność Robotnicza” — wybiera się tam nowe władze związkowe, ale już tylko spośród robotników. Mieliśmy swego czasu dyrektywę mówiącą o wstępowaniu członków partii do „Solidarności”. W perspektywie nie możemy łączyć członkostwa partii z przynależnością do „Solidarności”.

Istnieje konieczność formowania grup partyjnej ofensywy uzbrojonej, które po przeszkoleniu mogą stać się jednostkami operacyjnymi. Pilna potrzeba takich działań. Będziemy tworzyć przeciwko bojówkom „Solidarności” bojówki partyjne.

W związku ze zbliżającą się II turą Zjazdu „Solidarności” zakazano udzielania wiz dla tych gości Zjazdu, którzy prezentowali wrogie stosunek do PRL i socjalizmu. Odebrano paszporty tym działaczom „Solidarności”, którzy w czasie pobytu za granicą nie zachowali się godnie, szkalowali Polskę socjalistyczną i partię.

Do sprawy bydgoskiej nie będzie się już wracać. Jest to rozdział zamknięty. I tak pozwoliliśmy w tej sprawie na przetrącenie wielu ludzi.

W najbliższych zamiarach polityków „Solidarności” jest doprowadzenie do strajku permanentnego. Druga tura Zjazdu miałaby przebiegać w okresie strajku generalnego, w trakcie którego sformowałiby oni własny rząd. Sytuacja strajku generalnego ułatwić by miała przejęcie władzy. Załączek tego rządu już istnieje w Lublinie i czeka na możliwość podjęcia działań.

Z tej sytuacji trzeba wyciągnąć wniosek. Stąd totalna propaganda w radio i TV. Dlatego też zamieszczono w prasie stanowiska Biura Po-



litycznego KC PZPR oraz rządu radzieckiego. Chodzi o ukazanie prawdziwego oblicza przywódców „Solidarności”. Zdjęcie z ich twarzy obłądanej maski. Podjęto wiele innych działań dynamizujących propagandę. Ale przecież ile byśmy tej informacji nie przekazali, nie możemy oczekiwać, że będzie to nasza cudowna broń do walki z „Solidarnością”. Jej przywódcy są desperatami politycznymi i w swojej działalności pójdą na wszystko. W Biurze Politycznym podjęto decyzję o powołaniu w każdym województwie nieformalnego zespołu kierowniczego. Działają on od wczoraj i w naszym województwie.

Często bułwersuje nas pytanie, dlaczego w „Solidarności” prym wiedzie przede wszystkim młodzież. Dlaczego ludzie wykształceni w państwie socjalistycznym ujawniają obce nam ideały.

Obserwujemy 3 przyczyny:

1. W sytuacji kryzysowej, w jakiej ostatnio znalazł się nasz kraj, wydużyła się droga awansu młodych. Poprzez aktywne działanie w „Solidarności” widzą możliwość skrócenia sobie tej drogi.

2. Kokietowanie ludzi pieniędzmi. Na przykładzie Szczecina można stwierdzić, że na prywatne adresy otrzymują z Zachodu przekazy, będące stałą comiesięczną płacą od 100 do 300 dolarów. Ponadto etaty w aparacie „Solidarności” zapewnią im dochody rzędu kilkunastu tysięcy złotych. W tej sytuacji odwiedzenie ich z tej drogi jest niemożliwe.

3. Ludzie ci znaleźli się w „Solidarności” w okresie pierwszego entuzjazmu, nowego powiewu, ożywczego ruchu, który sugerował sprzymierzenie się z partią w dziele odnowy, tuż po podpisaniu porozumień. Na ten łep dano się wziąć wielu młodych ludzi.

Co teraz proponuje „Solidarność” w zakresie działań politycznych.

Zamierzenia ich wynikają z haseł głoszonych przed i na Zjeździe. Stwierdzają np., że w Polsce dokonuje się rewolucja, której siłą napędową jest „Solidarność”.

Tradycje ruchu robotniczego w Polsce w/g tej organizacji, to wydarzenia lat 1956, 70, 76 i 80. Wcześniej prawdziwego ruchu robotniczego nie było.

– PZPR powinna zrezygnować i ustąpić.

– Wszystko co získano w Polsce, to získano dzięki „Solidarności”.

– W tym stanie rzeczy „Solidarność” musi przejąć władzę na bazie samorządu pracowniczego i terytorialnego.

Posłanie rządu do I Zjazdu „Solidarności” zostało zignorowane.

Oblicze polityczne delegatów na Zjazd: duże ośrodki, Warszawa i Kraków, to przede wszystkim młoda inteligencja związana z nauką.

Nieco więcej robotników, a raczej kadry technicznej z Wybrzeża i Śląska.

Małe regiony na Zjeździe zostały przytłamszone.

Narzędziem politycznym była walka o dostęp do radia i TV. Konflikt ten był zaprogramowany ze świadomością tego, że tej walki nie mogą

wygrać. Było to im zresztą na rękę, albowiem bali się kompromitacji w wypadku relacji telewizyjnej ze Zjazdu.

„Solidarność” ma swoją receptę, sposób na wyjście z kryzysu. Zaproponowano, ażeby zmniejszyć o połowę wydatki na obronność państwa i skierowanie tej produkcji na eksport i rynek. Profesor Wielowieyski na Zjeździe stwierdził, że jeśli rząd chce wojny to będzie ją miał.

Z niebywałą siłą uwidoczniła się antyradzieckość zjazdu. Rozwinięto w całej rozciągłości poglądy Kuronia głoszone już wcześniej i eksponowane w paryskiej Kulturze.

Skierowano pismo do Sekretarza Generalnego ONZ o ściganie zbrodni popełnionych w Polsce poczynając od Katynia poprzez 1956 rok do grudnia 1970 roku. Zestawienie tych dat daje pogląd na stosowanie znanej skądinąd czarnej propagandy.

Podobnie rzecz się ma z „apelem ludzi radzieckich do Zjazdu”, który został sfabrykowany przez określonych ludzi w samej „Solidarności”.

W najbliższym czasie spodziewany jest frontalny atak na Sejm, ale zmieniono taktykę w tym względzie. Środkiem nacisku nie będzie ustawa o samorządzie (przekonani są bowiem, że tego problemu nie wygrają), a ustawa o szkolnictwie wyższym. Stawiają tutaj na naukowców i młodzież akademicką. Przewidywania swoje łączą ze zbliżającym się rokiem akademickim.

Nasilenie swej działalności widzą też w oparciu o pozyskanie Bratkowskiego i Wajdy. Widzą tutaj możliwość szerszego penetrowania środowisk dziennikarskich i twórczych.

Nastąpi dalsze nasilenie działań w kierunku demontażu władz wszystkich szczebli.

Liczyć się też należy z nasileniem pracy „Solidarności” z poborowymi.

„Solidarność” wysunęła ideę tworzenia zjednoczonego ruchu zawodowego całego świata – hasła tego tworu są bardzo bliskie idei faszyzmu.

Pewne jest to, że animatorem działań przeciw Rządowi i Partii będzie przede wszystkim etatowy aparat „Solidarności”.

Co możemy i powinniśmy przeciwstawić w naszej pracy politycznej.

Nadal popularyzować uchwały IX Zjazdu. Przekonywać ludzi, że wypracowany tam program i demokratycznie wybrane władze PZPR służą ludziom pracy w Polsce.

Demaskować przeciwnika, jego cele i powiązania. Przenosić tę działalność w teren, demaskując radykalnych działaczy w miastach i zakładach pracy.

Tendencje polityczne „Solidarności” są ujawnione i udowodnione – pokazywać to społeczeństwu. Ukazywać, ile złego czyni naszej gospodarce rozprężenie dyscypliny zawodowej.

Ukazywać front walki politycznej, którym jest teraz ochrona ideowych celów. Ukazywać, jakie skutki niesie wzywana propaganda antyrządziecka. Ukazywać istotę sporu o masowe środki przekazu. Mocniej musimy uderzyć w KOR i KPN oraz ukazywać powiązania tych organizacji z wywiadem zachodnim.

Bardzo trudna sytuacja polityczna zaistniała w stowarzyszeniach twórczych. Stwierdzenie „w najgorszych snach nie śniło się nam” o sytuacji tam panującej, która chyba oddaje problem, jaki się tam zarysował.

Obserwujemy duże nieprawidłowości w przejmowaniu darów z zagranicy. Na przykład w ryżu przestano kompletną radiostację w częściach. Trafiają się już gorsze rzeczy. Duża część żywności nie jest dzielona wśród ludności, a składana – gromadzona na „czarną godzinę” „Solidarności”.

Podjęto kroki o ograniczeniu imprez kulturalnych i innych o wrogim charakterze.

Będziemy prowadzić inną politykę paszportową.

Przewiduje się zamknięcie granicy (w jedną i w drugą stronę), wydaje się to zresztą nieuchronne.

Będziemy ograniczać małą poligrafię będącą poza kontrolą. Nie gazety będziemy likwidować, a maszyny i sprzęty – na których są drukowane, nie ulotki, ale tablice, na których są wywieszane.

Mamy sygnały, że niektórym regionom KKP wydała dyspozycję czasowego wyciszenia się – stania w bezruchu – a potem wystąpić z całą mocą.

Nasze najbliższe działania:

- Poderwać partię, zaktywizować członków będących w marazmie.
- Działalność organizatorską na tworzenie grup obrony socjalizmu ludzi, którzy są oddani partii i krajowi na śmierć i życie.
- Musimy być przygotowani na nieuchronną totalną konfrontację.
- Problem – czy zgnie kilka tysięcy ludzi, kilkanaście, czy też milion. Dużo zależy od naszej dyscypliny i stanowczości. „Solidarność” zaś nie cofnie się przed konfrontacją licząc się z tym, że jeśli sami nie rozwiążemy sprawy, to przyjdzie ktoś z zewnątrz.

Inne sprawy:

Zapadła decyzja o ujednoczeniu w całym kraju kartek na wódkę – 1/2 litra i papierosy 12 paczek.

Zlikwiduje się inne kartki (kawa, słodycze, tłuszcze itp.). Zlikwiduje się kartki na mąkę, kaszę i ryż (od 1 października). Przedtłuży się ograniczenie norm mięsa na kartki. Kartek na masło i cukier nie znosi się, ale od 1 października zwiększono normy na cukier (2 kg.).

# Co myśli Zachód?

## GORBACZOW

### I EUROPA WSCHODNIA

Charles Gati\*

W

idmo „Moskiewskiej Wiosny” Gorbaczowa krąży po Europie Wschodniej. Podczas gdy większość ludności tej części Europy, włączając w to różne ugrupowania opozycyjne, przyjmuje z zadowoleniem zmiany w Związku Radzieckim – już dokonane i te dopiero obiecane – i ma nadzieje na podobne zmiany w całej Europie Wschodniej, większość przywódców wschodnioeuropejskich martwi się możliwymi reperkusjami reform Gorbaczowa. Zdarzało się już przecież poprzednio, że kiedy Moskwa kichnęła, reszta Europy Wschodniej zapadała na zapalenie płuc. Zdobycie przewagi przez zwolenników reform w Polsce i na Węgrzech w 1956 roku było następstwem procesu destalinizacji w Związku Radzieckim, zaś Praska Wiosna 1968 roku podążała tropem radzieckich reform gospodarczych z połowy lat sześćdziesiątych. W żadnym jednak przypadku zmiany inspirowane przez Związek Radziecki nie trwały długo. Reformy na Węgrzech przekształciły się w narodową rewolucję przerwana przez interwencję sowiecką, zdobycze Polskiego Października zanikały stopniowo, a w roku 1968 inna interwencja wojskowa *usprawiedliwiona* doktryną Breżniewa, położyła kres procesowi reform politycznych i gospodarczych w Czechosłowacji.

W przeszłości zatem, o ile zmiany w samym Związku Radzieckim okazywały się posłuszne kontroli, a nawet odwracalne, o tyle nacis:

\* Autor poniższego artykułu mieszka w Stanach Zjednoczonych i jest profesorem nauk politycznych w Union College oraz współpracownikiem Instytutu Zmian Międzynarodowych i Instytutu Studiów nad Związkiem Radzieckim im. Harrimana Uniwersytetu Columbia. W styczniu i lutym bieżącego roku odwiedził sześć krajów Europy Wschodniej. Jego artykuł – który ukazał się w „Foreign Affairs” datowanym lato 1987 – drukujemy z niewielkimi skrótami.

Nie wszystkie opinie zawarte w artykule są zgodne ze stanowiskiem redakcji.  
(red.)

na reformy w pozostałych krajach bloku prowadzi do skutków nieprzewidywanych. Czy historia znów się powtórzy? Czy powiew gorbaczowowskiej odnowy (*glasnosti*) i przebudowy (*perestrojki*) osiągnie Europę Wschodnią — i z jakimi konsekwencjami?

## II.

Na razie jednak większość krajów tego obszaru postępuje niezgodnie z nowym kursem Moskwy. Objawem tego są, wykazywane przez przywódców wschodnioeuropejskich, oznaki niechęci do inicjowania reform w stylu Gorbaczowa lub przyspieszenia reform już realizowanych we własnym kraju. Podczas gdy w Związku Radzieckim w modzie jest krytycyzm i samokrytycyzm, w Niemczech Wschodnich kierownictwo partii podkreśla słuszność — zarówno w przeszłości jak i dzisiaj — swego własnego kursu. W Moskwie przeprowadza się rehabilitację Mikołaja Bucharina, jednego z pierwszych po 1917 roku zwolenników mniej dogmatycznego komunizmu, ale w Pradze Aleksander Dubczek nadal jest osobą *non grata* i pozostaje w areszcie domowym. W Moskwie rozważa się kwestie samorządu przedsiębiorstw, a w Bukareszcie Ceausescu oświadcza, że „prawdziwy socjalizm” nie ma nic wspólnego z samorządem. W Moskwie zaczyna się pozwalać intelektualistom na zabieranie głosu w sprawach najważniejszych, ale w Budapeszcie — nawet tam! — władze grożą rozwiązaniem Związku Pisarzy po wybraniu kierownictwa związku niezgodnie ze wskazówkami partii.

Jest prawdą, że reżimy w Polsce i na Węgrzech mogą widzieć w inicjatywach Gorbaczowa milczącą aprobatę swojej własnej polityki, lecz nawet one, a także wszystkie pozostałe — z wyjątkiem Rumunii — państwa Europy Wschodniej ograniczają się do pochwał *obiecującego rozwoju wydarzeń* w Związku Radzieckim, nie traktując ich ani jako rzeczywistej wskazówki dla własnych poczynań, ani nie podejmując podobnych inicjatyw w swoim kraju. Wynika to z trzech okoliczności.

Po pierwsze, większość przywódców wschodnioeuropejskich sceptycznie ocenia szanse Gorbaczowa na realizację jego programu w samym Związku Radzieckim lub, mówiąc inaczej, na pozostanie u władzy po roku 1990. Sądzi się raczej, że jego kadencja jako sekretarza generalnego KPZR będzie miała krótki żywot. Pogląd taki wyrażają nawet reformiście nastawieni członkowie aparatu władzy podzielający przekonania Gorbaczowa i popierający go: wątpią oni, by udało mu się zdecentralizować gospodarkę i zmodyfikować obecny system dotacji i sztucznych cen. Prywatnie wskazują na nieprzekraczalne granice i wynikające stąd niebezpieczeństwa dla procesu odnowy. Upatrują je w jednopartyjnym systemie politycznym (i przypominają w związku z tym ostatnią kampanię w Chinach przeciwko *burżuazyjnym wpływom* na życie intelektualne kraju). Podkreślają także, że poparcie dla Gorbaczowa w Komitecie Centralnym a nawet w Biurze Politycznym jest ciągle słabe; zastanawiają się dlaczego bardzo ważne plenum KC KPZR w styczniu br. było odkładane kilka

razy i dlaczego w prasie opublikowano tylko przemówienie Gorbaczowa; podejrzewają, że przynajmniej dwóch członków Politbiura, Gromyko i Alijew, odniosło się z rezerwą do sposobu realizacji, jeśli nie do istoty, reform Gorbaczowa.

Zrozumiałe wydaje się zatem, że — przy takim sceptycyzmie co do szans programu Gorbaczowa i rozmiarów rzeczywistej władzy jego samego — większość polityków wschodnioeuropejskich przyjmuje postawę wyczekującą. Rozmach Gorbaczowa wynika na razie w dużym stopniu z możliwości krytykowania błędów poprzedników, pozostali przywódcy wschodnioeuropejscy, z wyjątkiem Polski, nie posiadają natomiast takiej szansy, nie mają swego Breżniewa lub Czernienki do obwiniania za obecne kłopoty. W końcu, nie licząc generała Jaruzelskiego rządzącego Polską od 1981 roku, reszta władców Europy Wschodniej utrzymuje się u władzy przeciętnie od 24 lat. Żiwkow rządzi Bułgarią od 1954 roku, Kadar od 1956, Ceaușescu od 1965, Husak od 1969, a Honecker od 1971 roku. Stąd, w przeciwieństwie do Gorbaczowa, nie mogą oni wykorzystywać krytyki poprzedniego kierownictwa partyjnego jako politycznego instrumentu nacisku na zmiany, muszą podkreślać — by zabezpieczyć swoje rzekome osiągnięcia i utrzymać się u władzy — znaczenie ciągłości, a nie zmian.

Co więcej, wydaje się w tej chwili, że najbliższe sukcesje po dzisiejszych przywódcach nie będą oznaczać istotnej zmiany w tym względzie (z wyjątkiem, być może, Czechosłowacji). Wprawdzie walka o sukcesję już trwa (Żiwkow ma 76 lat, Kadar i Honecker — po 75, Husak — 74, Ceaușescu — 69), ale ponieważ tylko Husak zdaje się być w złym stanie zdrowia, zmiana przywódcy w pozostałych krajach nie musi nastąpić w ciągu najbliższych lat i prawdopodobnie nie stanie się to wcześniej niż na początku lat 90-tych.

Jeśli tak, to pretendenci do przywództwa w Europie Wschodniej stoją przed poważnym dylematem. By utrzymać swoje kandydatury, muszą popierać oficjalne stanowisko własnego kraju, muszą zatem — biorąc pod uwagę rolę Związku Radzieckiego w Europie Wschodniej — przynajmniej werbalnie popierać program Gorbaczowa. Z drugiej jednak strony, myśl o przyszłości nakazuje im nie zrywać związków z ewentualnymi następcami obecnego genseka. Dylemat bardzo trudny, lecz wschodnioeuropejscy działacze partyjni, biegli w zawilosciach komunistycznej polityki, przyzwyczajeni są do wykonywania ruchów tego typu. Zachowanie ich polega więc z jednej strony na oddawaniu hołdu Gorbaczowowi, składaniu deklaracji o potrzebie wprowadzania zmian odpowiadających realiom i podkreślaniu, że warunki w każdym kraju socjalistycznym są inne, a z drugiej na hamowaniu procesu reform. Postawa bardziej negatywna: otwarte przeciwstawienie się *Moskiewskiej Wiośnie* oznaczałaby przedwczesny koniec karier politycznych (z wyjątkiem Rumunii, gdzie linia partii sowieckiej obłożona jest kłętą), postawa bardziej pozytywna: zwrócenie się przeciwko niedawnej przeszłości, z którą się utożsamiają — oznaczała-

by zerwanie zarówno ze starą gwardią we własnym kraju, jak i z ewentualnymi następcami Gorbaczowa w Moskwie. Polityczna mądrość pretendentów do władzy w Europie Wschodniej sprowadza się dzisiaj do nasładowania własnych przywódców i przyjmowania postawy wyczekującej.

Po trzecie, ryzyko niestabilności wywołanej procesami reform jest w Europie Wschodniej dużo większe aniżeli w Związku Radzieckim. O ile system sowiecki wydaje cieszyć się — zwłaszcza wśród etnicznych Rosjan — znacznym poparciem, nie można tego samego powiedzieć o żadnym z pozostałych reżimów wschodnioeuropejskich. Czterdzieści lat władzy komunistycznej nie doprowadziło do osiągnięcia przez przywódców partyjnych reputacji we własnym społeczeństwie, które nadal marzy o europejskiej — być może na wzór fiński lub austriacki — przyszłości. Stąd przywódcy ci, niezależnie od sensu ich działań, zawsze stąpają po bardzo kruchym politycznym lodzie.

Zważywszy na powszechność pewnych postaw w społeczeństwie, każda reforma w Europie Wschodniej niesie ze sobą — odbierana jako za późna i za mało radykalna — ryzyko wybuchu żądań zmian zasadniczych. Gdyby reżimy wschodnioeuropejskie zgodziły się na liberalizację, społeczeństwo domagałoby się wolności, procesy demokratyzacji spowodowałyby żądanie demokracji, zaś zgoda na przebudowę, ale bez odnowy — tzn. modyfikacja gospodarki bez przeprowadzania reform politycznych — wywołałaby zapewne społeczne żądanie politycznego pluralizmu. W rzeczy samej, wydaje się, że każda zmiana wprowadzona przez władze generowałaby społeczne żądanie czegoś więcej: więcej demokracji, więcej wolności, więcej dóbr konsumpcyjnych. To z tego głównie powodu reżimy wschodnioeuropejskie są tak ostrożne wobec programu Gorbaczowa. Wiedzą one bowiem, że w tej części świata, każda zmiana, a tym bardziej proponowane przez niego zmiany zasadnicze, niosą ze sobą niebezpieczeństwo społeczne wybuchu.

Mimo to, wszyscy wschodnioeuropejscy członkowie Układu Warszawskiego (z wyjątkiem Rumunii) poparli nowy trend idący z Moskwy. I Polska i Węgry, i Bułgaria i Czechosłowacja, i nawet Niemcy Wschodnie — każdy kolejny kraj coraz mniej szczerze — wypowiedziały się pozytywnie o przemianach w Związku Radzieckim. Zwłaszcza generał Jaruzelski pełen jest uznania dla Gorbaczowa stwierdzając m.in., że *energia, odwaga i dalekowzroczność radzieckiego przywódcy zasługują na głęboki szacunek i szczerą sympatię Polski*. Trudno oczywiście dziwić się, że kraje bloku, biorąc pod uwagę ich zależność od Moskwy, wyrażają aprobatę dla rozwoju wydarzeń w Związku Radzieckim, kiedy jednak przejdziemy na ich własny grunt, widoczna jest ogólna niepewność co do kroków, które należałoby podjąć, połączona z jednoczesną niechęcią do nasładowania przykładu radzieckiego. W ramach tej ogólnej postawy dostrzegalne są wszak pomiędzy poszczególными krajami istotne różnice: od wyraźnego oporu przed jakimikolwiek reformami (Rumunia), przez uprzejmą odmowę (Niemcy Wschodnie) lub zobowiązanie się do reform gospodar-

czych, ale nie politycznych (Bułgaria i Czechosłowacja), do poważnej, ale niejasnej dyskusji o kontynuacji reform już zainicjowanych (Węgry i Polska).

Rumunia, z Ceausescu u władzy, nie wykazuje żadnego zainteresowania ani przebudową, ani odnową. Prasa rumuńska kompletnie zignorowała przemówienie Gorbaczowa na styczniowym plenum KPZR, jedynie partyjny dziennik „Scinteia” opublikował z trzydniowym opóźnieniem zdawkowe streszczenie przemówienia (redaktor działu zagranicznego gazety wyjaśnił mi z kamienną twarzą, że zwłoka była spowodowana trudnościami przekładu tekstu rosyjskiego na język rumuński). Co więcej, w mowie wygłoszonej z okazji 69 rocznicy powstania partii Ceausescu wręcz zakwestionował wierność Gorbaczowa wobec *nienaruszalnych zasad naukowego socjalizmu*, napomykając jedynie o nowej strategii KPZR stwierdził, że prawdziwie rewolucyjna partia *nie pozwoliłaby na oddanie przedsiębiorstw lub sektorów gospodarki w ręce samorządu* i że oznacza to rezygnację partii z jej zobowiązań wobec społeczeństwa. Dodał ponadto, że *samorząd i rewolucyjna demokracja są niezrozumiałe bez przyjęcia założenia o przewodniej roli partii jako podstawowego źródła wszelkiej twórczej energii*. Ceausescu wyśmiał także pomysł *ulepszenia socjalizmu za pomocą tzw. drobnej własności prywatnej. Własność kapitalistyczna, obojętne – wielka czy mała, pozostaje własnością kapitalistyczną*. Wyraźne odgrodzenie Rumunii od drogi obranej przez Gorbaczowa sygnalizuje zarówno lekceważenie przez Ceausescu tego, co zachodzi w Związku Radzieckim, jak i niedwuznaczną niechęć do naśladowania nowego modelu sowieckiego. Tym samym szanse na powrót zabłąkanej pod rządami Ceausescu Rumunii do sowieckiej ovczarni, są, po dojściu do władzy Gorbaczowa, jeszcze mniejsze. I jest tak mimo znacznego, od 1984 roku, wzrostu wymiany handlowej pomiędzy oboma krajami, wyrażającego zdecydowany zamiar Ceausescu likwidacji długów Rumunii w twardej walucie.

Stanowisko Niemiec Wschodnich jest bardziej subtelne. Honecker zachowuje niezwykłą jak na niego powściągliwość, zaś styczniowe plenum partii sowieckiej odbiło się w Berlinie Wschodnim nikłym echem: komentarze nie wykroczyły poza zdawkowe poparcie inicjatyw Gorbaczowa. Rzecz jasna, urzędnicy wschodnioniemieccy wysokiego szczebla wyrażają zwyczajowo, co dla nich typowe, pełną zgodność poglądów ze Związkiem Radzieckim i całkowite poparcie dla radzieckiej polityki szukania metod zwiększenia *poziomu zaspokojenia materialnych i duchowych potrzeb ludzi radzieckich* oraz odrzucają zachodnie *podejrzania sugerujące istnienie rozbieżności poglądów między Moskwą a Berlinem Wschodnim*. Jednocześnie ci sami urzędnicy nie zaprzeczają jednak niechęci Niemiec Wschodnich do akceptacji polityki Gorbaczowa. Ponieważ „sprawna” gospodarka wschodnioniemiecka ma się dobrze i ponieważ warunki w obu krajach różnią się, to – podkreślają – jakiegokolwiek dalej idące



zmiany są zarówno konieczne jak i niepożądane. Do odnowy, nieobecne są w Nierównościach stopniowej, łączenie poprawy sytuacji gospodarczej z w rozmowach prywatnych odrzucają. Nieobecność zniego związku reform ekonomicznych z polityką. Mimo to stosunki radziecko-wschodnioniemieckie — ze względu na widoczną identyczność poglądów w najistotniejszych kwestiach — nie są zagrożone, wynikająca z pertraktacji w sprawie granic, w tym także samego zaopatrzenia w Eurof — pozostają wewnątrzniemieckich — pozostają umiarkowanie

**Bułgaria** — prowadzi jeśli idzie o liczbę pojawiających się codziennie komentarzy na temat historycznej propozycji ekonomicznych Gorbaczowa i ich znaczenia dla Bułgarii. Żiwkow w istniej powodzi przemówień — dosłownie wyraża zdziwienie w wychwalaniu przebudowy, chociaż jednocześnie przypomina o odnowie. Podkreślając, że Bułgarska Partia Komunistyczna podąży drogą od kwietniowego plenum partii w 1956 roku (pierwszego plenarijnego przez Żiwkova) i że kraj dzięki temu dogonił świat w tym zakresie uprzemysłowiony, równocześnie domaga się jednak wprowadzenia zestawu nowych środków ekonomicznych. Mówi: *możemy i musimy przetransformować naszą, już przekształconą, Bułgarię.*

Stąd, w przeciwieństwie do Gorbaczowa, Żiwkow nie krytykuje przeszłości. Nie ma on w ogóle rewizji stanowiska Bułgarii wobec dużej mniejszości tureckiej ani o poprawie stosunków z Jugosławią. Nic też nie wskazuje na jakikolwiek odwrót polityczną czy kulturalną. Tym niemniej, przemówienia Żiwkova pełne są retorycznych stwierdzeń o planach ekonomicznej restrukturyzacji gospodarki, decentralizacji, samozarządzaniu, rosnącej niezależności zakładów przemysłowych, spółdzielni rolniczych i banków, *nowym typach struktur zarządzania*, zróżnicowaniu płac w zależności od jakości wykonywanej pracy, zamykaniu nierentownych przedsiębiorstw, budowaniu fabryk małej i średniej wielkości i tym podobnych. Przyszłość pokazuje, ile z tej ambitnej retoryki będzie lub będzie mogło być wprowadzone w życie, lecz zaawansowany wiek Żiwkova i jego niechęć do poruszania kwestii politycznych czynią mało prawdopodobnym realizację programu Gorbaczowa w Bułgarii.

**Jeśli idzie o Czechosłowację**, jest to kraj, który należy uważnie obserwować: w tym celu ona być papierkiem lakmusowym rzeczywistego wpływu Gorbaczowa na Europę Wschodnią. Prowadząca od prawie dwudziestu lat wojnę przeciwko tendencjom reformistycznym Czechosłowacja jest szczególnie zainteresowana wizerunkiem reformy w Moskwie.

Była ona przed II wojną światową jednym z sześciu najbardziej uprzemysłowionych krajów świata i kulturalną Mekką — ze swoją stolicą usytuowaną na północ od Wiednia — w samym sercu Europy. Od momentu przewrotu komunistycznego w 1948 roku upadek Czechosłowacji był stopniowy, ale nie gwałtowny. Dane statystyczne pokazują, że gospodarka

kraju nadal pozostaje w stanie stagnacji: przeciętna roczna stopa wzrostu dochodu narodowego wynosiła między 1981 i 1985 rokiem — 1,5%: najniższy wskaźnik od kilku dziesięcioleci. Panująca w kraju atmosfera została natomiast określona przez jednego z moich rozmówców jako wielki polityczny omentarz.

Brak właściwie dobrego wyjaśnienia, dlaczego Husak — który sam jest ofiarą czystek stalinowskich z lat pięćdziesiątych — pozwolił na taki upadek Czechosłowacji. Zgodnie z jedną teorią, Husak początkowo ostrożny zwolennik Praskiej Wiosny został zmuszony do zapłaty za swoje reformatorskie ciągoty, wedle innej, był on przez cały czas jedynie marionetką, a rzeczywista władza należała — i należy nadal — do Vasilá Bilaka, człowieka o poglądach neostalinowskich i blisko związanego w swoim czasie z Breżniewem. Być może tak właśnie jest, polityka Husaka była w latach siedemdziesiątych często bardziej konserwatywna i sztyw-  
na niż postępowanie samego Breżniewa. Dzisiaj, w świecie gorbaczowowskich reform i odnowy, Czechosłowacja jest anachronizmem i jest to przyczyną nadziei społeczeństwa, że reformy Gorbaczowa, często idące śladem Praskiej Wiosny Dubczeka, spowodują korzystne zmiany także w tym kraju. Tym razem, dodając Czesi, *braterska pomoc* Moskwy byłaby mile widziana.

Od końca 1986 roku, a zwłaszcza od marca 1987 roku frakcja pragmatyczna w kierownictwie partii czechosłowackiej stara się wykorzystywać rozwój wydarzeń w Związku Radzieckim do nacisku na odpowiednie zmiany we własnym kraju. Pragmatycy, kierowani przez premiera Strougala, opowiadają się za realizacją projektów ekonomicznych zalecanych przez reformatorów z okresu Praskiej Wiosny. Chociaż Strougal ostrożnie odciął się od „absurdalnych” żądań politycznych towarzyszących propozycjom ekonomicznym sprzed dwudziestu lat i chociaż unika popierania odnowy, jego pozytywny stosunek do eksperymentów sprzed 1968 roku stanowi poważne wyzwanie dla reżimu tak bardzo bojącego się zmian i dlatego nastawionego przeciwko nim. Jeśli idzie o frakcję dogmatyczną: Bilak zareagował wprawdzie uznaniem potrzeby nowej polityki ukazującej *siłę i przewagę socjalizmu*, ale w przemówieniu wygłoszonym po styczniowym plenum KPZR, nadal ostrzegał — odwołując się do lekcji wyniesionej z *walki z wrogami socjalizmu w latach sześćdziesiątych* — przed *oportunistycznym naśladownictwem programu Gorbaczowa*. Zwrócił także uwagę na rezolucję uchwaloną przez Komitet Centralny partii czechosłowackiej w grudniu 1970 roku określającą surowy kurs po interwencji sowieckiej. *Są tacy — powiedział Bilak — którzy chcieliby uznać ten dokument za nieważny, ale tak się nie stanie*. Czynił w ten sposób, rzecz jasna; aluzję do Strougala i jego pragmatycznych zwolenników. Walka jest w toku.

Niestety, nie toczy się ona ani o przywrócenie Dubczeka do władzy, ani o rehabilitację Praskiej Wiosny. Dzisiejsza generacja przywódców czechosłowackich — nawet jej pragmatyczne skrzydło — wydaje się nie-

zdolna do przekreślenia niechlubnej przeszłości. Idzie o wybór pomiędzy działaniem akceptowanym obecnie przez Związek Radziecki a polityką konserwatywną, bardziej nawet konserwatywną od Kurta Brziszewa. Nic więc dziwnego, że kierownictwo partynae jest głęboko podzielone, nie dziwnego, że Husak wykazuje objawy zmęczenia.

Jeszcze przed wizytą Gorbaczowa w Pradze tej wiosny, Husak przyznał, że styczniowe plenum KPZR wywołało ogromny oddech świeżości zarówno w samej partii jak i w społeczeństwie czechosłowackim i że członkowie partii stawiają pytanie, co powinniśmy robić. Zaprzeczył także jakoby ktokolwiek zmuszał nas do przyjęcia wniosków wypływających z piętrem i określił jako wrogą propagandę zmyślenia o różnicy opinii wewnątrz partii oraz pomiędzy Praga i Moskwa. Czesi i Słowacy, nauczeni czytać pomiędzy wierszami, szybko uznali powyższe wypowiedzi za potwierdzenie walki toczącej się pomiędzy frakcjami partyjnymi i znacznej presji wywieranej przez Moskwę. Biorąc pod uwagę wiek i kiepski stan zdrowia Husaka, walka o władzę w Czechosłowacji oznacza także walkę o sukcesję po nim. Zgodnie z najbardziej prawdopodobnym scenariuszem, Husak zachowa wprawdzie dekoracyjne stanowisko prezydenta, lecz funkcję przywódcy partyjnego obejmie Strougal albo ktoś z jego, podobnie myślicy, zwolenników. W takim przypadku Czechosłowacji dane będzie na dłużej doświadczyć przebudowy, z odrobiną, być może, odnowy, lecz frakcyjne dyskusje będą z pewnością trwały nadal. Inny scenariusz zakłada, że Husak utrzyma władzę i dlatego możliwa będzie tylko bardzo skromna przebudowa, już bez odrobiny nawet odnowy. Spowoduje to, że względu na odłożenie problemu sukcesji na później – nasilenie się paraliżującej walki frakcyjnej.

Reakcja Węgier na reformy Gorbaczowa jest funkcją legendarnej już dzisiaj ostrożności Kádara i jego rosnącego konserwatyzmu. W wieku 75 lat, Kádár nie jest już nadal tym, reformatorem, za którego zwykło się go uważać. Nowe idee w ogólności, a reforma węgierskiego Nowego Mechanizmu Ekonomicznego (NME) w szczególności, przestały dotierać do niego. Jego osobista popularność, cingle znaczna jeśli założymy wschodnioeuropejski standard, zmalała w latach osiemdziesiątych, ponieważ obniżył się znacznie poziom życia. Po raz pierwszy jak sięgnąć pamięcią zachowanie Kádara jest otwarcie krytykowane na spotkaniach partyjnych niskiego szczebla. O ile stara gwardia w Biurze Politycznym pozostaje lojalna, młodzi działacze partyjni – zmęczeni zbytnim zapatrzeniem się Kádara w przeszłość, zwłaszcza w rok 1956, i jego niezdolnością do zaoferowania przekonującego planu na przyszłość – zaczęli narzekać na stagnację i bezruch. Porównują, być może nie do końca uczciwie, wujka Kádara do Breżniewa z jego ostatnich lat władzy. Chcą by Kádár, zachowując jakieś dekoracyjne stanowisko, oddał władzę, co pozwoliłoby młodszej generacji w partii na podjęcie decyzji jaką drogą pójść: czy starać się wykorzystać do końca efekty Nowego Mechanizmu Ekonomicznego, czy też wprowadzić nowe, umiarkowane reformy.

Rozwój wydarzeń przebiega na Węgrzech, jak na warunki wschodnioeuropejskie, wyjątkowo. Popularny członek Komitetu Centralnego partii, Imre Pozsgay zabrał głos w stylu Gorbaczowa i atakując niedawną przeszłość – zaapelował o otwarcie o prawdziwe radykalne zmiany. Nie bez poparcia w aparacie partyjnym, prowadzi on energiczną kampanię na rzecz całkowitego wprowadzenia na Węgrzech zarówno przebudowy jak i odnowy. Buntując się przeciwko Kadarowi i innym działaczom starej daty, liczący 53 lata Pozsgay jest jedynym znanym wschodnioeuropejskim działaczem partyjnym, który przyjmuje reformy radzieckie za dobrą monetę. Pełni on funkcję sekretarza generalnego niewielu znaczącego Patriotycznego Frontu Narodowego, kontrolowanej przez komunistów masowej organizacji zrzeszającej większość stowarzyszeń i ugrupowań w kraju. Choć brak mu oczywiście podobnego znaczenia, Pozsgay jest uważany w Budapeszcie za węgierskiego Gorbaczowa.

Przygotowany ostatnio przez Patriotyczny Front Narodowy i liczący ponad 60 stron, raport *Zmiana i reforma*, opracowany przez czołowych węgierskich ekonomistów i socjologów, zawiera żądania zasadniczych zmian. Punktem wyjścia tego opracowania jest postulat złożenia przez obecne kierownictwo partyjne publicznej samokrytyki oznaczającej przyznanie się do odpowiedzialności za decyzje, które doprowadziły kraj na *skraj przepaści*. Raport, co prawda nie opublikowany, ale szeroko rozpowszechniany i popierany już na wysokim szczeblu aparatu partyjnego, domaga się także zacieśnienia więzi ze Wspólnym Rynkiem i zmniejszenia zależności od RWPG, zmian personalnych na szczytach władzy, opartej na mechanizmie rynkowym reformy tych przemysłów, które NME pozostawił prawie nietknięte oraz stworzenia takich nowych mechanizmów instytucjonalnych, które zmusiłyby partię do ograniczenia się tylko do pełnienia *przewodniej roli*, podczas gdy merytoryczne kierowanie ekonomicznymi i politycznymi sprawami kraju spoczywałoby w ręku innych organizacji.

Istnieją przynajmniej dwa powody, dla których Kadar i starsi członkowie Biura Politycznego odrzuca prawdopodobnie te zalecenia. Po pierwsze, wcielenie w życie zaleceń raportu wprowadziłoby Węgry na nieprzearty jeszcze szlak, daleko w przodzie przed wszystkimi pozostałymi krajami bloku. Po drugie, Węgry już w tej chwili są krajem o najsilniej zreformowanej gospodarce w porównaniu z resztą Europy Wschodniej. Ponadto, jako pierwsze przeprowadziły one w miarę demokratyczne wybory, na razie tylko obiecane przez Gorbaczowa w Związku Radzieckim. Wreszcie, projekt zmniejszenia zależności Węgier od RWPG jest w sposób oczywisty sprzeczny z polityką Gorbaczowa i musi doprowadzić do konfliktu z Moskwą, którego Kadar tak zrećnie przez lata unikał.

W rzeczy samej, Kadar uważa gwałtowne zmiany à la Gorbaczow za niebezpieczne dla krajów zbudowanych na wzór sowiecki. Na przykład w lutym tego roku upoważnił on sekretarza Komitetu Centralnego Szurosa do przedstawienia pozytywnego, ale ostrożnie sformułowanego refe-

ratu o reformach Gorbaczowa i ich korzystnym wpływie na Węgry, ale sam powiedział bardzo niewiele. Jako wnikliwy obserwator sceny politycznej w Związku Radzieckim, Kadar w sposób widoczny czeka na dodatkowe potwierdzenie władzy Gorbaczowa. W międzyczasie, kiedy kraj błądzi bez celu, przenikliwy patriarcha rozważa swój następny krok. Jedną z możliwości polega na podjęciu decyzji oddania władzy w momencie posiadania jej jeszcze: w ten sposób Kadar ponownie stałby się pionierem wśród przywódców komunistycznych.

Generał Jaruzelski jest uważany powszechnie za głównego w Europie Wschodniej beneficjenta reform Gorbaczowa. Wstrzemięźliwa poprzednio aprobata Moskwy dla umiarkowanego programu Jaruzelskiego, przekształciła się teraz w entuzjastyczne poparcie. Ważny tygodnik radziecki „Litieraturnaja Gazieta” opublikował w tym roku długi wywiad z kardynałem Glępem i wydaje się, że prasa radziecka nie kwestionuje już ani założeń Jaruzelskiego pod adresem Kościoła katolickiego, ani otwartej dyskusji o wielu kontrowersyjnych sprawach na łamach polskich gazet, ani też braku represji wobec przywódców opozycji.

Gorbaczow udał się do Warszawy w zeszłym roku, by udzielić generałowi gorącej, prawie bezwarunkowej aprobaty (co radzieccy liderzy czynią rzadko). Gest Gorbaczowa przełożony szybko na język radzieckiej polityki — zapalił Jaruzelskiemu zielone światło w wysiłkach uczynienia z Polski solidnego członka bloku sowieckiego. Ma on nie tylko swobodę wprowadzania zasadniczych reform gospodarczych, lecz może także eksperymentować z nowymi formami politycznej partycypacji we władzy zwanej *sojalistycznym pluralizmem*. To wyjaśnia, dlaczego generał, najbliższy Gorbaczowowi wiekiem (64 lata) spośród wszystkich przywódców wschodnioeuropejskich, może mówić o tym samym *historycznym biegu wydarzeń* w obu krajach i twierdzić, że *Polska w całym okresie swego milenium nie doświadczyła nigdy tak szczęśliwej zbieżności wydarzeń*.

Mimo pomyślnych wiatrów ze wschodu wydatnie pomagających reżimowi w Polsce, problem, co Jaruzelski może właściwie jeszcze dodatkowo zrobić, pozostaje nadal aktualny. Przecież w Polsce jest już dużo więcej odnowy niż w Związku Radzieckim. Przywódcy partyjni w Warszawie przez wiele lat przymykali oczy na wydawanie nielegalnych książek i czasopism ukazujących się niekiedy regularnie i w dużym nakładzie. Kościół katolicki jest uznanym i nie potępianym już totalnie składnikiem polskiego porządku społecznego, liderzy opozycji przekazują swoje opinie zachodnim dziennikarzom i turystom, prawie każdy może podróżować na Zachód, a oficjalne związki zawodowe podejmują spektakularne próby prezentowania interesów robotników. Problem polega na tym, że to, iż w Polsce jakieś prawa rzeczywiście istnieją, a nie tylko są prawnie zagwarantowane, może być doceniane — ale nie wystarcza. Polacy zdają się nawet nie pamiętać o względnym umiarkowaniu władz. *Zobaczy pan, następnym razem powiesimy ich* — powiedzieli mi bez ogródek studenci podczas mojej ostatniej wizyty w Polsce.

Przyzwolenie Gorbaczowa może oczywiście pomóc Jaruzelskiemu w przezwyciężeniu biurokratycznej niechęci wobec reform gospodarczych, ale nie jest jasne, mimo zapowiedzi kroków radykalnych, jak daleko Jaruzelski jest gotów pójść. Czym innym jest domaganie się dyscypliny czy nawet podnoszenie cen i wprowadzanie innych środków oszczędnościowych w celu przekonania potencjalnych kredytodawców z Zachodu, a zupełnie czym innym zgoda na doprowadzenie zdecentralizowanej gospodarki do elastyczności i wydajności przy pomocy wewnętrznych i zagranicznych mechanizmów rynkowych. Głównym kłopotem Jaruzelskiego jest brak wystarczającego poparcia społeczeństwa w kraju do podjęcia takich systemowych reform. Naród nie ma zamiaru popierać poświęceń ekonomicznych uważanych przez reżim za niezbędne, jeśli ten ostatni nie uczyni istotnych ustępstw politycznych. Stąd warunkiem zmian ekonomicznych są reformy polityczne. Tu postacią kluczową jest Lech Wałęsa, elektryk z Gdańska, przywódca zdelegalizowanej „Solidarności”. Jeżeli Gorbaczow potrafił ściągnąć Sacharowa z Gorkiego do Moskwy, dlaczego Jaruzelski nie mógłby ściągnąć Wałęsy z Gdańska do Warszawy?

Wschodnia Europa przedstawia dla Gorbaczowa jeszcze większy problem niż dla jego poprzedników.

Odziedzyczył on po nich oczywiście stare dylematy: jak przekształcić ten wybuchowy i gorliwie nacjonalistyczny obszar w stabilny region bez zgody na rzeczywistą autonomię; lub jak kierować jego dążeniem do autonomii (i w ten sposób uzyskać stabilność) bez utraty kontroli. Żaden sowiecki przywódca nie wynalazł do tej pory magicznej formuły pozwalającej na pogodzenie tych sprzecznych celów: w Europie Wschodniej stabilność i spójność bloku nie idą ze sobą w parze. Problem nie polega tylko na tym, że ludność tego regionu nie akceptuje sowieckiej obecności i sprzeciwia się narzuconemu jej systemowi politycznemu i ekonomicznemu. Reżimy komunistyczne w Europie Wschodniej odkryły, że tak długo jak ich polityczne przetrwanie zależy od Moskwy, szansa na zdobycie przez nie skromnego choćby autorytetu wewnątrz własnego kraju zależy jednocześnie od dystansu, jaki uda im się wobec niej zachować. O ile nie mogą one rządzić bez poparcia Moskwy, o tyle nie mogą też rządzić przy zbytnej identyfikacji z nią.

Poprzednicy Gorbaczowa — by pomóc wasalom Związku Radzieckiego w rządzeniu — dopuszczali znaczne różnice w rozwoju poszczególnych krajów wschodnioeuropejskich. Dzisiaj nawet przypadkowi turyści mogą powiedzieć — to prawie czuć — o różnicy między atmosferą w Warszawie i Budapeszcie z jednej, a klimatem w Bukareszcie, Pradze, Berlinie Wschodnim i Sofii z drugiej strony. Różnica wykracza poza zgodę jednych reżimów na podróże swoich obywateli i brak takiej zgody w przypadku innych reżimów lub porzucenie represji za wyrażanie własnych opinii z jednej strony i uciekanie się nadal do stosowania środków przymusu z drugiej.

Znaczną różnicę wykazują systemy gospodarcze poszczególnych krajów Europy Wschodniej. Poziom życia na Węgrzech lub w Niemczech Wschodnich jest około dwa razy wyższy niż w Bułgarii czy Rumunii, a przeciętny wschodnioeuropejski poziom życia jest przynajmniej o jedną trzecią wyższy niż w Związku Radzieckim. Radzieckie projekty strukturalnej przebudowy gospodarki nie dorównują ekonomicznym eksperymentom od dawna praktykowanym na Węgrzech, w Polsce, Niemczech Wschodnich i Bułgarii. Przy takim punkcie odniesienia, radziecka przebudowa jest tylko bardzo skromnym początkiem, podobnie radziecka odnowa nie jest niczym nowym w oczach Polski czy Węgier. Stąd nowy, istotny problem, na jaki napotyka Gorbaczow, dotyczy rzeczywistego zasięgu następstw reform radzieckich w Europie Wschodniej. Ponieważ niektórzy z krajów wschodnioeuropejskich poszły już dużo dalej niż radziecka *pięriestrojka* i *glasnost*, kolejne podejmowane przez nie kroki musiałyby znacznie przekroczyć granice projektów Gorbaczowa. Gdyby zastosować przykładowo logikę i ducha *Moskiewskiej Wiosny* do warunków polskich, następnym krokiem musiałyby być zgoda na istnienie niezależnego związku zawodowego kierowanego przez Lecha Wałęsę. W przypadku natomiast Węgier krok taki, biorąc pod uwagę zależność kraju od handlu zagranicznego, polegałby na reorientacji wymiany handlowej w kierunku ściślejszych związków z Europejską Wspólnotą Gospodarczą i odpowiedniego osłabienia związków z RWPG. Z kolei, w Czechosłowacji musiałyby one polegać na całkowitym usunięciu obecnego aparatu rządzącego krajem i zastąpieniu go ludźmi pokroju Dubczeka. Te „następne kroki” są z radzieckiego punktu widzenia, przynajmniej kłopotliwe, o ile nie heretyckie: obawa co mogłoby nastąpić po nich jest ogromna. Stąd, podobnie jak jego poprzednicy, Gorbaczow stwierdził wyraźnie *suwerenne rozwiązania* w Europie Wschodniej muszą być rozumiane w kontekście *wspólnych interesów* bloku. Doktryna Breżniewa obowiązuje nadal. Retoryka Gorbaczowa jest co prawda mniej złowieszcza, a skłonność do użycia siły przeciwko sojusznicznym reżimom komunistycznym mniej widoczna, ale Kreml ciągle pozostaje czujnym arbitrem tego co jest i co nie jest dopuszczalne w Europie Wschodniej.

W 1985 roku na przykład Gorbaczow ostrzegał podobno przywódców wschodnioeuropejskich przed *zastępowaniem bezpośredniego planowania mechanizmem rynkowym*.<sup>1/</sup> Mówiono mi także, że latem 1986 roku podczas zamkniętego spotkania z działaczami partyjnymi i ekonomicznymi w Budapeszcie przemawiał w tym samym tonie. Odwołując się do nie wymienionych z nazwiska ekonomistów radzieckich i czyniąc w ten sposób aluzję do radykalnych reformatorów węgierskich, Gorbaczow miałby stanowczo odrzucić projekty reform prowadzących gospodarkę typu sowieckiego w kierunku rozwiązań kapitalistycznych. W przemówieniu wygłoszonym w Warszawie w czerwcu 1986 roku publicznie podkreślił *absolutny priorytet... powiązań kooperacyjnych pomiędzy bratnimi krajami*, chociaż dodał, że integracja w ramach RWPG nie

oznacza, oczywiście, ograniczania kontaktów ekonomicznych z Zachodem.

Od ostatniej jesieni, jednakowoż, stanowisko sowieckie wobec reform w Europie Wschodniej stało się trochę bardziej tolerancyjne, co odpowiadałoby istotnym zmianom w hierarchii władzy sowieckiej. Nowy sekretarz KC odpowiedzialny za Wydział Krajów Socjalistycznych, Wadim Miedwiediew, sam znany ekonomista i akademik, wymienił swego zastępcę Olega Rachmanina, notorycznego krytyka reform typu węgierskiego, na Georgija Szachnazarowa, teoretyka polityki, znanego zwolennika samorządu na lata przed sformułowaniem przez Gorbaczowa programu reform. Była to dobra wiadomość dla reformatorów i jednocześnie cios dla ludzi typu Bilaka z Czechosłowacji. Innym dobrym znakiem był awans Mikołaja Sziszlina, wieloletniego komentatora polityki zagranicznej i eksperta do spraw Wschodniej Europy – tym bardziej, jeśli weźmie się pod uwagę jego publiczne wystąpienie przeciwko poglądom Rachmanina w ostatnich latach.

Co bardziej istotne, Gorbaczow sugeruje obecnie swym, zaawansowanym wiekowo towarzyszom partyjnym z krajów bloku, konieczność dokonania ponownej oceny przeszłości i *uefektynnienia* socjalizmu. Nie upiera się on przy kopiowaniu drogi radzieckiej, ale nie pozwala też na zamykanie oczu na to, co zaczął robić w Związku Radzieckim. Spiesząc się z postawieniem gospodarki radzieckiej na nogi, Gorbaczow poszukuje bardziej tolerancyjnego środowiska politycznego w Europie Wschodniej – zwłaszcza w Czechosłowacji, drugim pod względem wielkości partnerze handlowym ZSRR – tak, by w atmosferze głośności ulepszone gospodarki mogły wytwarzać produkty wysokiej jakości.

Czy Gorbaczow jest zatem gotów udzielić zgody pozostałym krajom bloku na podjęcie przez nich kilku ze wspomnianych poprzednio *radykałnych kroków* wynikających ze specyficznych warunków poszczególnych krajów?

Gdyby w tym regionie Europy wybuchł kolejny większy kryzys – prawie wszystko – wliczając w to wynegocjowane porozumienie lub to, co Moskwa nazywa *rozwiązaniem politycznymi* – byłoby możliwe. Tymczasem, w warunkach braku takiego kryzysu klucz do intencji Gorbaczowa wobec Wschodniej Europy znajduje się w jego postawie udzielania absolutnego pierwszeństwa Związkowi Radzieckiemu. Gorbaczow chce, mówiąc krótko, by Związek Radziecki był potęgą nie tylko militarną i polityczną, ale i gospodarczą, i by radziecki model socjalizmu stał się atrakcyjną perspektywą dla wszystkich krajów i wszystkich społeczeństw. By osiągnąć te cele, zamierza on pozbyć się balastu gospodarczego, kłopotów ideologicznych i szkód w polityce zagranicznej, jakimi od lat Europa Wschodnia obciąża, jego zdaniem, Związek Radziecki.

W sferze gospodarki, problem sprowadza się wedle strony radzieckiej do kwestii sprawiedliwej wymiany. Więcej niż połowa ogólnej wy-



miany handlowej ZSRR przypada na kraje RWPG, przede wszystkim na Niemcy Wschodnie i Czechosłowację. Zdaniem Moskwy wymiana ta nie jest ekwiwalentna: słyhać skargi, że kraje Europy Wschodniej przeznaczają na rynek radziecki produkty niskiej jakości, lepsze zachowując dla rynków Europy Zachodniej i innych obszarów dysponujących twardą walutą. Inne skargi dotyczą nieterminowego wywiązywania się z umów i warunków zapłaty lub niepłacenia w walucie wymiennalnej (...).

Co tyczy się ideologii, problem polega na erozji wspólnych wzorców. Jest prawdą, że przywódcy sowieccy, od Stalina do Gorbaczowa, zawsze pochwalali koncepcję *różnych dróg do socjalizmu*. Nawet Staliu tolerował pewne zróżnicowanie w tej mierze. Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę znaczenie prywatnych przedsiębiorstw w Niemczech Wschodnich, Polsce i na Węgrzech, rolę Kościoła katolickiego w Polsce, aspiracje Bułgarii do roli Japonii (a nie Rosji) Bałkanów, wpływ zachodniego stylu życia i kultury na młodzież w Europie Wschodniej, jeśli weźmiemy pod uwagę to i jeszcze wiele innych rzeczy – co pozostanie z nadal podkreślanej uniwersalności marksizmu-leninizmu i świetlanego przykładu Związku Sowieckiego?

Problemy ideologii świata komunistycznego są często traktowane na Zachodzie jako nieistotne. Dla Moskwy tak nie jest, dla Gorbaczowa z pewnością też nie. Upadek wspólnych wzorców ideologicznych w bloku wschodnim jest przynajmniej z jednego punktu widzenia sprawą bardzo drażliwą. Jeśli już nawet kraje bloku unikają akceptacji radzieckiego systemu przekonań i odmawiają naśladownictwa modelu sowieckiego, to gdzie jeszcze znajdzie Związek Radziecki społeczeństwa i kraje gotowe przyjąć radzieckie ideały, wzory i praktykę. Nie należy traktować Etiopii, Południowego Jemenu, a zwłaszcza Nikaragui zbyt lekceważąco, ale jeśli Gorbaczow chce, by radziecki model socjalizmu był atrakcyjny dla Europy Zachodniej, musi najpierw sprawić, by stał się atrakcyjny dla Europy Wschodniej.

W dziedzinie polityki zagranicznej istota sprawy dotyczy związku wpływu polityki radzieckiej w Europie Wschodniej z jej efektywnością poza tym obszarem, zwłaszcza w Europie Zachodniej. Kłopot Gorbaczowa polega na tym, że bezwzględna postawa ZSRR wobec Europy Wschodniej niezmiennie ogranicza zainteresowanie Zachodu odprężeniem.

Jak niedawno stwierdził Rostow, polityka sowiecka w Europie Wschodniej nadal pozostaje najistotniejszą miarą prawdziwości intencji radzieckich.<sup>2/</sup> Z zachodniego punktu widzenia zimna wojna rozpoczęła się w Europie Wschodniej i dlatego tu właśnie polityka odprężenia powinna ukazać swoją istotę. Zachód nie jest – i nie może być – przygotowany do ukrycia swego sceptycyzmu – pozostawmy na uboczu sprawę kontroli zbrojeń – wobec ambitnych wezwań Gorbaczowa do rzeczywistego, długotrwałego i ponadnarodowego odprężenia tak długo, jak długo obowiązuje doktryna Breżniewa. Dlatego Europa Wschodnia, jako pozostałość okresu zimnej wojny, pozostaje dla Gorbaczowa główną przeszkodą

w usiłowaniach nawiązania stosunków nowego typu z Zachodem.

Co zatem może Gorbaczow tolerować na swoim podwórku? Potrzeby ekonomiczne, a zwłaszcza preferencje ideologiczne Moskwy, przemawiają za silniejszym związkiem krajów Europy Wschodniej ze Związkiem Radzieckim, cele polityki zagranicznej natomiast za większą ich autonomią. W tych warunkach Gorbaczow może pozwolić na dużo mniejszą autonomię tych krajów, niż one sobie tego życzą, a to z kolei może pomóc jego wewnętrznym celom i ułatwieniu polityki odprężenia w dużo mniejszym stopniu, niż on sobie tego życzy. Gorbaczow nie może zapoczątkować końca zimnej wojny od przekształcenia Europy Wschodniej ze strefy sowieckiej kontroli i dominacji w strefę radzieckich wpływów. Nie może pozwolić krajom bloku na łączenie członkostwa w wojskowych i ekonomicznych układach zdominowanych przez Związek Radziecki z wewnętrzną oraz znaczną zewnętrzną niezależnością — na drogę, jaką inny kraj wschodnioeuropejski — Grecja, związał się z Zachodem.

Konkluzja, że Gorbaczow nie może zaakceptować „drogi greckiej” w odniesieniu do Europy Wschodniej nie oznacza lekceważącego stosunku do jego usiłowań, by zaprowadzić inny, politycznie i ekonomicznie lepszy porządek w radzieckich włościach. Wiele z tego, co stara się zrobić, wywodzi się przecież w końcu z reformatorskich tradycji Europy Wschodniej. Warto zacytować słowa jednej z ważnych osobistości radzieckich: *Moskiewską Wiosnę dzieli od Praskiej Wiosny tylko dziewiętnaście lat*. Gorbaczow w istocie rzeczy identyfikuje się z kadarowską polityką przyciągania bezpartyjnych talentów (*kto nie jest przeciwko nam jest z nami*), a próbuje (niechętną) tolerancję Jaruzelskiego wobec krytycyzmu prasy, podziela odrazę Dżilasa do „nowej klasy” komunistycznych biurokratów, a nawet koncepcję „socjalizmu z ludzką twarzą” Dubczeka. Gorbaczow podjął na nowo proces destalinizacji zapoczątkowany onegdaj przez innego reformatora, Nikitę Chruszczowa.

Byłoby największą ironią losu, gdyby ten ambitny uczeń wschodnioeuropejskich reformatorów przegrał swą walkę o restrukturalizację i liberalizację komunizmu nie w Związku Radzieckim, ale w pozostałych krajach bloku. Nie można jednak odrzucać takiej możliwości. Nie można odizolować *Moskiewskiej Wiosny* od ewentualnej przyszłej Praskiej Wiosny. Stąd bez podjęcia kroków w kierunku zastosowania „greckiej drogi” w odniesieniu do Europy Wschodniej, wysiłek Gorbaczowa, by pogodzić komunizm z odnową, może doznać porażki prędzej w Warszawie, Budapeszcie czy Pradze niż w Moskwie.

Charles GATI  
*Przełożył i opracował Piotr Kasznia*

1/ Bialer, S., Afferica, J., The Genesis of Gorbachev's World, „Foreign Affairs”, America and the World, 1985, s. 612.

2/ Rostow, W.W., On Ending the Cold War, „Foreign Affairs”, wiosna 1985.

## MIĘDZY

## ROSJĄ A POLSKĄ

Józef Darski

W

latach 1984–1986 ukazało się na Zachodzie pięć tomów nowego czasopisma ukraińskiego pt. „Widnowa” („Odnowa”). Już sam tytuł sugeruje, iż redaktorom: prof. Janosławowi Pełeńskiemu i prof. Bohdanowi Osadczukowi chodziło o odnowienie ukraińskiej myśli politycznej, która od czasów wojny znajdowała się pod przemożnym wpływem trzech kierunków politycznych wywodzących się z Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów: melnykowców (OUN), banderowców (OUN–rewolucjonerów) i dwikarii (OUN–za kordonem). Mimo że od czasu działalności OUN prowadzonej w podziemiu w Polsce przedwojennej, w okresie okupacji hitlerowskiej oraz pierwszej (1939–1941) i drugiej (od 1944 r.) okupacji sowieckiej, a także od zakończenia walk oddziałów Ukraińskiej Powstańczej Armii w Polsce (1949 r.) i na Ukrainie (1956 r.) mija już drugie pokolenie, spadkobiercom tradycji OUN jest bardzo trudno wyzwoić się ze starych schematów, co może objawiać się powtarzaniem od 40 lat tych samych formułek, jak w formie karykaturalnej ma to miejsce w publicystyce OUN–r lub po prostu unikaniem pewnych tematów – czy też niepełnym ich omawianiem – jak dzieje się to w wypadku OUN–z.

Powstanie „Widnowy” można uważać częściowo za przejaw dyferencjacji środowiska skupionego wokół ukazującej się od roku 1961 „Sucasnosti”, która sama powstała w opozycji do publicystyki politycznej banderowców lat 50–tych i pozostaje związana z OUN–z. W istocie, jak zobaczymy, „Widnowa” nawiązuje do dorobku i linii politycznej zmarłego już, wybitnego publicysty drukującego na łamach „Sucasnosti”, prof. Iwana Łysiaka–Rudnyckiego, który sam nie był związany z ruchem OUN. „Widnowa” jest raczej kontynuatorką tradycji ukraińskich partii demokratycznych, których przedstawiciele w okresie międzywojennym zasiadali w polskim Sejmie i starali się walczyć o prawa Ukraińców (zwłaszcza o obiecaną na mocy Traktatu Wersalskiego autonomię Galicji) drogą legalną, choć administracja polska na Kresach bardzo często uciekała się do pozaprawnych metod zwalczania ruchu ukraińskiego.

Wraz z pojawieniem się „Widnowy” wachlarz polityczny ukraińskich ugrupowań na emigracji uległ odbudowie, a konkurencja między nimi może jedynie wyjść wszystkim na dobre. „Widnowa” zmusza bowiem do poruszania przemilczanych tematów i wychodzenia poza ramy starych i schematycznych dyskusji w rodzaju: *kto zawinił w roku 194...?* Oczywiście ugrupowaniom typu OUN—r nic już nie może pomóc, ale też nie one będą w stanie nawiązać łączność z krajem i wywierać wpływ na ukraińską politykę przyszłości. Wszystkim siłom politycznym ukraińskiej diaspory zdolnym do życia „Widnowa” nadaje przyspieszenia i zmusza do dokonywania istotnych przewartościowań.

Spśród pięciu tomów pisma pierwszy omawia problematykę ukraińskiego ruchu kobiecego, drugi stosunki ukraińsko—rosyjskie, a trzy pozostałe stosunki ukraińsko—polskie. Brak natomiast całkowicie tematyki aktualnej (z wyjątkiem katastrofy czarnobylskiej, której poświęcono połowę numeru piątego) i historycznej dotyczącej kwestii wewnątrzukraińskich, przede wszystkim zaś próby globalnej oceny dorobku ukraińskiej niepodległościowej myśli politycznej, gdyż nad „Widnową” roztoczyła swój czar wyłącznie geopolityka.

Józef Mackiewicz w „Zwycięstwie prowokacji” doszedł do wniosku, iż bolszewicy utrzymali się u władzy, ponieważ narodowości nierosyjskie widziały w nich kolejne wcielenie rosyjskiego imperializmu, ale wcielenie jednak słabsze od „białej” Rosji i dlatego skłonne były je tolerować (mając do wyboru — ich zdaniem — o wiele niebezpieczniejszego Denikina). *W konsekwencji wszystkie nacjonalizmy szły z bolszewizmem przeciw innym nacjonalizmom, zamiast z innymi nacjonalizmami przeciw bolszewizmowi.* Owe inne nacjonalizmy to przede wszystkim nacjonalizmy silniejszych — Rosjan i Polaków. A ponieważ Denikin został uznany przez Mackiewicza za główną siłę antybolszewicką — zgodnie z tym rozumowaniem — wszystko co wzmocniało wodza białej Rosji było dobre, a co mu przeszkadzało — złe. Hetman Ukrainy, Skoropadski, uzyskuje pozytywną ocenę, gdyż chciał się oprzeć na sojuszu z Denikinem, negującym sam fakt istnienia narodu ukraińskiego. Sojusz ten wzmocniał antybolszewickie siły Rosjan, ale jednocześnie — czego pisarz już nie chce dostrzegać — przekreślał nadzieje Ukraińców na wolność i niepodległość i część z nich pchał w ten sposób w objęcia Lenina, formalnie obiecującego pewne swobody narodowe za cenę bolszewizacji, a więc w konsekwencji wzmocniał również drugiego przeciwnika Ukrainy. Koncepcja Mackiewicza sprządza się więc do twierdzenia rzadko wypowiedzanego wprost: bolszewicy wygrali, ponieważ narody imperium rosyjskiego walczące o wolność i niepodległość nie chciały popierać nacjonalistów rosyjskich, których zwycięstwo byłoby dla owych narodów mniejszym złem niż komunizm. Piszę o Mackiewiczu, gdyż jego analiza historyczna służy próbie uzasadnienia pewnej koncepcji politycznej, która ma nam dać receptę na likwidację systemu sowieckiego. *„Obalenie komunizmu bez udziału Rosjan wydaje się niemożliwe. Dlatego Rosja nie może być naszym przeciwnikiem w*

*rozgrzywe z międzynarodowym komunizmem, a winna być pierwszym naszym sojusznikiem... antykomunizm rosyjski jest antykomunizmem najbardziej „czystym”, tzn. bez przemieszek i zainteresowań pobocznych, a całkowicie skoncentrowany na obaleniu systemu komunistycznego... antykomunizm rosyjski i koegzystencja, pod jakąkolwiek postacią (z komunizmem) wykluczają się wzajemnie. Dlatego zasadniczo logiczne jest stanowisko emigracji rosyjskiej, głoszącej dewizę... „nieprzesądzania” z góry o przyszłych, narodowo-państwowych i terytorialnych aspiracjach narodów ujarzmonych wobec hierarchicznie ważniejszego zadania: wyzwolenia ich spod tego jarzma. W idealistycznym ujęciu, stanowisko to pokrywa się z priorytetem pojęcia: „człowiek” przed pojęciem „naród” („Zwycięstwo prowokacji, s. 211).*

W ten sposób doszliśmy do programu nacjonalistycznego rosyjskiego Ludowego Związku Pracy – NTS (którego poglądów nie podziela nawet rosyjska demokratyczna prawica). Pojęcia „człowiek” nie można traktować jako całkowitego zaprzeczenia pojęcia „naród”, bowiem każdy człowiek należy do jakiegoś narodu i ma swoje narodowe aspiracje; ich niedostrzeżenie lub spychanie na plan dalszy w imię „ogólnoludzkich” potrzeb jest po prostu koncesją na rzecz drugiego narodu, od którego chcemy coś w zamian uzyskać. W takim wypadku należy jednak nazywać rzeczy po imieniu i nie kryć się za „ogólnoludzkimi” frazesami. Po wtóre „nieprzesądzanie” z góry – jak pisze Mackiewicz – kwestii terytorialnej jedności lub podziału obszaru ZSRS na niezależne państwa narodowe stawia rosyjskich nacjonalistów w sytuacji de facto uprzywilejowanej w porównaniu z innymi uczestnikami potencjalnego sojuszu. W tym miejscu okazuje się zatem, że antykomunizm rosyjski wcale nie jest „czysty”. Gdyby bowiem tak było, nie stawiałby on jako warunku sojuszu owej zasady „nieprzesądzania”. Pisarz doskonale zdaje sobie z tego sprawę, bowiem w rzeczywistości opowiedzenie się przezeń za zasadą „nieprzesądzania” miało na celu rozerwanie niezwykle niebezpiecznego sojuszu rosyjskiego bolszewizmu z traktowanym instrumentalnie rosyjskim nacjonalizmem. Ostatecznie bolszewizm zwyciężył także dlatego, że na jego stronę przeszli rosyjscy nacjonaści, gdyż tylko w nim widzieli jedyną realną siłę zdolną zapewnić integralność imperium w warunkach rozszalałej anarchii politycznej i socjalnej: że zaś zostali przez komunistów potem zlikwidowani, to już całkiem inna historia.

Syn wybitnego działacza ukraińskiego Jewhena Czikalenko, Łewko opowiada jakimi słowami przyjął go 31 sierpnia 1919 r. płk. Stessel, dowódca oddziałów Armii Ochotniczej Denikina, które tego dnia wkroczyły do Kijowa zajętego 30 sierpnia przez armię Dyktorii Ukraińskiej Republiki Ludowej. Kiedy Łewko Czikalenko jako przedstawiciel Dumy (rady miejskiej) Kijowa próbował wyjaśnić sytuację polityczną zaistniałą w Kijowie, usłyszał od pijanego pułkownika rosyjskiej armii antykomunistycznej:

*Austriacy (Stessel tak nazywał Ukraińców z Hałyczyny – J.D.) nie mają tu nic do roboty i nie będziemy z nimi walczyli, jeśli pójdą sobie w zdrowiu; ale z Ukraińcami – to już inna sprawa. Oni są dla nas gorsi od bolszewików; to są bolszewicy, tylko gorszego rodzaju. Oni idą przeciw Rosji. Bolszewicy natomiast dokonują tego samego dzieła, które postawiła sobie za cel Armia Ochotnicza. Wprawdzie oni teraz są czerwoni, ale da Bóg, że z czasem zbieleją. Piękny przykład „czystego” i „bezinteresownego” rosyjskiego antykomunizmu.*

Mackiewicz przyznaje wprawdzie, że Rosjanie nie stanowili wyjątku w okresie wojny z bolszewikami, jeśli idzie o nacjonalizm („Zwycięstwo prowokacji”, s. 71), ale – stawiając na równi dążenia na przykład Estończyków i Denikina – potępia w takim samym stopniu nacjonalizm małego narodu walczącego o przetrwanie i nacjonalizm narodu panującego pragnącego utrzymać swe imperium. Takie rozumowanie nie jest dziełem przypadku, lecz wynikiem założenia, iż bez pomocy Rosji komunizmu obalić nie można, a więc trzeba pójść na koncesje. Tak dochodzimy do sedna sprawy: wszystkie nacjonalizmy są sobie równe, ale rosyjski jest równiejszy.

Przedstawiłem tu rozumowanie Mackiewicza, by ukazać do jak skrajnych i niebezpiecznych wniosków prowadzi odgórne i konsekwentne przyjęcie założenia o możliwości obalenia komunizmu jedynie w wyniku działań podjętych z centrum.

Prof. Iwan Łysiak–Rudnycki w artykule „Przeciw Rosji czy przeciw systemowi radzieckiemu” („Sucasnist” 10/1961) sformułował koncepcję stosunków ukraińsko–rosyjskich opartą na mackiewiczowskim założeniu, iż rewolucja by zwyciężyła musi zacząć się w centrum imperium, a ponieważ Ukraińcy nie mogą wyzwolić się sami, skazani są na sojusz z Rosjanami i dlatego w *pierwszym rządzie OD ROSJI ZALEŻY LOS UKRAINY*. Wprawdzie Rudnycki przyznaje, że *bolszewizm, który jesienią 1917 r. zdobył władzę w Piotrogradzie i Moskwie, dłuższy czas pozostawał ograniczony do centralnych gubernii rosyjskich, gdzie nie spotkał prawie żadnego oporu, choć odrzuciła go nierosyjska peryferia imperium*, lecz jednocześnie możliwość obalenia tego systemu uzależnia nie od postawy wspomnianych peryferii, ale od, jak sam zaznaczył, bardziej podatnego na komunizm centrum. Jak się wydaje, rozumowanie to wynika z przyjęcia tezy, iż Rosja jest tak potężna, że bez przynajmniej częściowego podzielenia jej sił, nikt niczego w walce z komunizmem nie osiągnie. *Reżim daje elementowi rosyjskiemu, który stanowi przewodnią warstwę ZSRS i kamień węgielny światowego komunizmu, bardzo istotne kompersaty: czyni zadość jego pragnieniom władzy, imperialistycznej megalomanii, starym mesjanistycznym marzeniom, by naród rosyjski stał się „wodzem ludzkości” a Moskwa nowym „Trzecim Rzymem”*. Nomenklatura składa się przeważnie z Rosjan, zaś antykomuniści rosyjscy zarażeni są kompleksem imperialistycznym. W tej sytuacji jeśli nie można rozbić sojuszu komunizmu z rosyjskim nacjonalizmem, trzeba przynajmniej uniemożliwić

wić połączenie się rosyjskich sił antykomunistycznych i nacjonalistycznych.

Łysiak—Rudnycki krytykuje powszechną — jego zdaniem — w ukraińskiej diasporze postawę odwracania się plecami do Rosji. Jest ona wynikiem fałszywego przekonania, iż przyszłość Rosji nie powinna interesować Ukraińców, bowiem każda Rosja będzie wrogiem Ukrainy. Taki pogląd zrodził się w latach dwudziestych, kiedy porażkę Ukraińskiej Republiki Ludowej tłumaczono brakiem dostatecznie rozwiniętej myśli niepodległościowej i upatrywaniem ostatecznego rozwiązania kwestii ukraińskiej w federacyjnym związku z demokratyczną Rosją. Zgubnym okazało się zwłaszcza nadmierne zaufanie, którym ukraińscy politycy obdarzali rosyjskie partie lewicowe i centrowe. Dla Ukraińców ma jednak ogromne znaczenie, jacy Rosjanie rządzą w Moskwie (np. czy jest to bardzo antyukraiński blok wojskowy). Dlatego należy wykorzystywać możliwości dyferencjacji środowisk rosyjskich; stąd konieczność szukania potencjalnych sojuszników, wybierania mniejszego zła, płaszczyzn współpracy z kołami nastawionymi względnie „liberalnie” do sprawy ukraińskiej. Z drugiej zaś strony Ukraińcy w Sowietach nie mogą nienawidzić *wszystkiego co rosyjskie*, (jak często dzieje się na emigracji), ponieważ łączność ze światem i przejmowanie jego osiągnięć, także duchowych, odbywa się za pośrednictwem kultury rosyjskiej. Ponadto, antyrosyjskie nastawienie emigracji ukraińskiej bardzo jej szkodzi, zwłaszcza w USA, na tamtejszych uniwersytetach i świat mówi o Ukraińcach jako o zaslepienach.

Przyszła przebudowa Europy Wschodniej powinna odbyć się na podstawach wolnościowych, a wolność jest niepodzielna i objąć musi także Rosjan. Nie potrzeba nam żadnej — jak pisze Rudnycki — *banderowskiej czerezwycząjki* po obaleniu komunizmu.

Na północ od Kurska — stwierdza dalej Rudnycki — nie rozleje się ocean, który pochłonie wszystkich Rosjan, *musimy więc w zasadzie dążyć do uzyskania w przyszłości dobrosąsiedzkich stosunków z rosyjskim narodem i państwem*. Nie jest to żadne osłabienie walki z rosyjskim szowinizmem i imperializmem, ale *nawet w obecnym wrogu trzeba potrafić dostrzec potencjalnego sojusznika (podobnie jak w aktualnym sojuszniku ewentualnego przeciwnika)... Jeśli występujemy jak szowiniści nienawidzący narodu rosyjskiego, łączymy wszystkich Rosjan przeciw sobie i nawet przeciwnicy komunizmu będą wówczas przeciw Ukraińcom*. Należy przecież pamiętać — pisze Rudnycki — że zawsze istnieli jacyś Rosjanie, którzy popierali prawa narodów Europy Wschodniej do wolności i niepodległości; teraz chodzi tylko o to, by takich Rosjan było jak najwięcej. W interesie Ukrainy leży bowiem, by w Rosji wzięły górę nad spuścizną po tatarskich cnanach spadek po nowogrodzkich kupcach. W końcowym wniosku swego artykułu prof. Łysiak—Rudnycki pisał: *Dotychczas bywało tak, że to Rosjanie dokonywali „dywersji ideologicznej” w świecie ukraińskim. Przy bardziej umiejętnej polityce ukraińskiej sytuacja mogłaby ulec odwróceniu. Jeśli powiodłoby się nam, wpłynęłoby to poważnie*

*na stosunek zachodnich ekspertów i polityków do sprawy ukraińskiej.*

Dla Rudnyckiego stosunki ukraińsko—rosyjskie są o wiele ważniejsze niż istniejące między Ukraińcami a narodami satelickimi (w tym Polakami), ponieważ los Ukrainy od tych ostatnich zależy tylko w sposób pośredni. I choć potencjalna rola takich krajów jak Polska w procesie wyzwalania Ukrainy będzie jeszcze przedmiotem dyskusji, czytelnik powinien zdać sobie sprawę, że stosunki z Rosją mają dla Ukraińców o wiele istotniejsze znaczenie niż z Polską, choćby już z uwagi na stopień rusyfikacji wschodnich regionów Ukrainy, często przekraczający 50 procent.

Pierwsze próby pozyskania Rosjan dla sprawy ukraińskiej miały miejsce w 1977 roku. Wydano wówczas „Oświadczenie w sprawie ukraińskiej”, które oprócz redaktorów „Kultury”, „Aneksu”, „Irodalmi Ujsag” i „Svedectvi” podpisało 5 Rosjan związanych z „Kontynentem”: Władimir Maksimow (redaktor naczelny), Wiktor Niekrasow (z—ca red. naczelnego), Natalia Gorbaniewska (sekretarz redakcji), Władimir Bukowski (członek kolegium redakcyjnego) oraz — dziś już nieżyjący — Andriej Amalrik.

W „Oświadczeniu” przyznano, iż Ukraińcy oprócz sowietyzacji z *każdym rokiem są intensywniej rusyfikowani* i podkreślono, że *bez Rosjan wolnych od ambicji imperialnych, rozwijających własne życie narodowe, szarujących prawo innych narodów do samostanowienia, nie odzyskają oni wolności*. Dla samych Rosjan, których określono mianem „narodu imperialnego”, *będzie tym lepiej, im prędzej zrozumieją oni, że likwidacja sowieckiego kolonializmu leży również w (ich) własnym interesie, bo tylko ona może zażegnać groźbę przyszłej wzajemnej rzezi*.

Kwestia odzyskania przez Ukrainę niepodległości została jednak ujęta w sposób niezadowolający, ponieważ sygnatariusze stwierdzili: *Dążymy do stworzenia takiej sytuacji, w której Ukraińcy mogliby wypowiedzieć się swobodnie, czy chcą niezależnego bytu państwowego*. Ta wieloznaczna formuła zakłada, iż ukraińskie dążenie do własnej państwowości nie jest sprawą oczywistą i sami Ukraińcy mogliby wypowiedzieć się przeciw niej. Ukraińcy już raz stworzyli swoje państwo, które zostało rozbite przez Rosję białą i podbite przez Rosję Sowiecką, teraz zaś chodzi jedynie o to, by je odzyskać.

Zdaniem „Widnowy” środowisko „Kontynentu” potwierdziło swoje pozytywne stanowisko w kwestii niepodległości Ukrainy w 1978 roku, deklarując: *...uwazamy też za swój obowiązek popierać każdy ruch na rzecz odrodzenia narodowego i narodowej niezależności oraz Nie jesteśmy jedyni, którzy są przekonani, że pragnienie demokracji jest nierozłączne z pragnieniem niezależności narodowej, a walka o prawa człowieka nierozłączna od walki o prawa narodów*.

W rzeczywistości jednak stwierdzenia te nie posunęły naprzód sprawy uznania odrębnej państwowości ukraińskiej, ponieważ „niezależność narodowa” nie jest tożsama z niezależnością państwową, gdyż mogą istnieć



państwa wielonarodowe, tj. federacje, w których dzięki wolności i podobnej sile poszczególnych narodów będą one właśnie pod względem narodowym niezależne, lecz ich państwowość pozostanie własnością wspólną.

Zasadniczy krok naprzód stanowiło dopiero „Oświadczenie rosyjsko—ukraińskie” podpisane 30 listopada 1979 roku i opublikowane w roku 1980 w „Kontynencie” nr 24 oraz w 1985 w „Widnowie” nr 2. Stronę ukraińską reprezentowali przedstawiciele Ukraińskiego Ruchu Demokratycznego, z którym związana jest „Widnowa”, zaś ze strony rosyjskiej dokument podpisali: Wł. Maksimow, N. Gorbaniewska i Wł. Bukowski.

W „Oświadczeniu” przyznano, że odpowiedzialność za dotychczasową wrogość polityczną ponosi strona rosyjska, gdyż *emigranci rosyjscy nie chcieli uznać prawa narodu ukraińskiego do oddzielenia się od Rosji i stworzenia własnego państwa*. Obie strony uznały też, że budowę *jednego frontu walki demokratycznych sił narodów Związku Radzieckiego TRZEBA ZACZYNAĆ OD WSPÓŁPRACY UKRAIŃSKO—ROSYJSKIEJ* i określili jej warunki:

1. Pełne i bezwarunkowe uznanie prawa narodów ukraińskiego i rosyjskiego do niepodległości państwowej;

2. Uznanie, że istniejąca rusyfikacja Ukrainy stanowi zagrożenie dla narodu ukraińskiego i zobowiązanie do walki z nią *ze wszelkich sił*;

3. Zobowiązanie się strony rosyjskiej do niesienia pomocy walczącym o niezależność i demokratyzację Ukrainy oraz strony ukraińskiej do pomagania w ustanowieniu pełni swobód (w wersji ukraińskiej — „pełni praw”) obywatelskich i demokratyzacji Rosji;

4. Uznanie, iż obie strony bronią nie tylko praw obywatelskich, ale także *społecznej, kulturalnej i religijnej autonomii mniejszości narodowych na terytoriach Ukrainy i Rosji zgodnie z Kartą ONZ*.

Na zakończenie deklaracji stwierdzono: *Przystępujemy do organizacji grup roboczych celem koordynacji działań w różnych krajach świata*. (Jak dotychczas jednak do opinii publicznej nie przedostały się żadne wiadomości o istnieniu bądź jakiegokolwiek działalności tych grup).

„Widnowa” zadeklarowała jednoznacznie swą współpracę z „Kontynentem”, który jej zdaniem jako *jedyny wśród rosyjskich publikacji periodycznych uznaje niepodległość Ukrainy oraz innych narodów ZSRR i współpracuje z ukraińskimi kołami demokratycznymi, zwłaszcza zaś z czasopismem „Widnowa”, do którego zespołu wchodzi: Wł. Maksimow, N. Gorbaniewska i Wł. Bukowski*. (Można więc powiedzieć, że „Widnowa” próbuje realizować postulat Rudnyckiego dokonania „dywersji ideologicznej” w środowisku rosyjskim za pośrednictwem „Kontynentu”).

Dla „Widnowy”, przynajmniej teoretycznie, stosunki ukraińsko—rosyjskie są ważniejsze od ukraińsko—polskich, choć te ostatnie zajmują z kolei najważniejszą pozycję wśród stosunków między Ukraińcami a narodami bloku (tj. krajami satelickimi). Stąd symbolicznie problematy-

kę geopolityczną rozpoczęto omawiać w „Widnowie” od kwestii rosyjskiej. Jak redaktorzy „Widnowy” wyobrażają sobie jej rozwiązanie? Stanowisko redakcji znalazło swój wyraz w trzech artykułach; dwóch prof. Jarosława Pełeńskiego: „W kwestii stosunków ukraińsko—rosyjskich” oraz „W sprawie potrzeby dialogu ukraińsko—rosyjskiego. Odpowiedź na list Aleksandra Sołżenicyna” i wypowiedzi Wasyla Hryszki zatytułowanej „O problematyce dialogu ukraińsko—rosyjskiego”, która została wygłoszona w październiku 1981 roku na konferencji na Uniwersytecie McMaster i opublikowana w „Kontynencie” nr 33.

„Widnowa” wychodzi ze słusznego założenia, iż prędzej lub później musi nastąpić normalizacja stosunków ukraińsko—rosyjskich, gdyż są to narody sąsiednie. Dla strony polskiej nie mogą być jednak sprawą obojętną stopień i warunki współpracy ukraińsko—rosyjskiej, gdyż będzie ona zawsze przeciwwagą dla sojuszu polsko—ukraińskiego. Są to bowiem konkurencyjne układy polityczne i o ile sama normalizacja ukraińsko—rosyjska jest pożądana w perspektywie walki z komunizmem, o tyle zbyt duża „miłość polityczna” tych narodów będzie dla nas stanowiła zagrożenie, gdyż uniemożliwi przywrócenie równowagi sił w Europie Wschodniej, o czym pisał już Juliusz Mieroszewski. Partnerskie stosunki i współpraca między Polską i Rosją mogą zrodzić się dopiero wtedy, gdy zostanie zlikwidowana rosyjska przewaga, tj. kiedy rozbite zostanie imperium sowieckie i niepodległość uzyskają nie tylko narody posiadające własną administrację republikańską, lecz wszystkie narody zniewolone. Dlatego z punktu widzenia polskiej racji stanu niezwykle ważne są warunki, na jakich środowisko „Widnowy” proponuje stronie rosyjskiej normalizację. Od razu zaznaczam, że nie ma tu mowy o żadnych koncesjach w sprawie „niepodległości państwowej” Ukrainy, żadnego mackiewiczowskiego „nieprzesądzania”, lecz warunek własnej niezależności postawiony jest w sposób jednoznaczny.

*Niepodległość państwowa stanowi pierwszą bezdyskusyjną przesłankę normalizacji i jakiegokolwiek sugestie w sprawie potrzeby przyszedłego plebiscytu w tej kwestii są całkowicie niemożliwe do przyjęcia.* Ukraińcy mogliby wchodzić tylko do takiego związku, z którego mieliby konkretne zyski. Doświadczenie jednak pokazuje, iż współzycie z Rosjanami w Rosji carskiej i Sowietach to dla Ukrainy czas stracony, stąd przekonanie, że również w przyszłości nie przyniesie ono żadnej korzyści i dążenie do własnej państwowości (J. Pełeński „W kwestii stosunków...”). Pozostaje zatem *szczerze, uczciwie i sprawiedliwie rozłączenie, które stanowi najlepszą przesłankę dla jednoczenia się (sic! — J.D.) w równości i wolności.* Nie wystarczy jednak uznać ukraińskie prawo do samookreślenia, lecz trzeba też *rozpatrzyć (...)* konkretny sposób, w jaki można zrealizować to przyrodzone i formalnie należne Ukrainie prawo. W tej kwestii strona rosyjska zachowuje jednak milczenie, choć pierwszym warunkiem wstępnym do nawiązania pokojowo—przyjacielskich stosunków rosyjsko—ukraiń-

skich byłoby *wczesne dogadanie się co jest „moje”, a co „twoje”*. Teraz bowiem trzeba rozstrzygnąć – z konieczności teoretycznej – kwestie sporne, *ponieważ ich odkładanie na czas rozwiązania praktycznego w nie wiadomo jak bliskim lub odległym „jutro” może doprowadzić do rozwiązania tych kwestii za cenę zbyt wysoką dla obu narodów, która może też być ceną ich wolności*.

Jak na te propozycje zapatruje się środowisko „Kontynentu”?

Natalia Gorbaniewska w ankiecie „Sucasności” z 1980 roku stwierdziła: *oddzielenie republik związkowych (dlaczego tylko związkowych? – J.D.) od ZSRS jest pożądane przede wszystkim dla Rosji, ale jak się okazuje nie miałyby ono charakteru definitywnego, ponieważ w przyszłości decentralizacji samej Rosji i przekształceniu jej w „Rosję regionów” miałyby towarzyszyć wprowadzenie czegoś na wzór Wspólnego Rynku z byłymi republikami, a więc również Ukrainą*.

Czy taka perspektywa może być zadowalająca z polskiego punktu widzenia? Wystarczy porównać programy dwóch naszych stronnictw: Federacji Wyzwolenie–WSN, która postuluje: *budowanie Konfederacji Międzymorza jako organizacji analogicznej – samodzielnej lub stanowiącej odrębną część Unii Europejskiej* i LDP „Niepodległość”, która wypowiada się ostrożniej: *...za pożądane uważamy utworzenie na terytorium Europy Środkowej i Wschodniej organizmu równouprawnionych państw typu zachodnioeuropejskiej Wspólnoty Gospodarczej*, by dostrzec, że polscy niepodległościowcy, w przeciwieństwie do endeków i laicko–katolickiej lewicy, wysuwają propozycje przeciwstawne do rosyjskich.

Decyzja będzie należała oczywiście wyłącznie do Ukraińców, ale z polskiego punktu widzenia rozwiązaniem zadowalającym będzie niepodległość Ukrainy nawet nie związanej w żaden sposób z Polską, o ile nie będzie również w sojuszu z Rosją, gdyż związek ukraińsko–rosyjski zachwiałby równowagę w Europie Środkowo–Wschodniej, którą właśnie chcemy przywrócić, popierając dążenia niepodległościowe wszystkich narodów ZSRS.

Naturalny obszar zainteresowania polityki polskiej, z którym związana jest ona wielowiekową tradycją, stanowi region Inflant, Litwy–Białorusi i Ukrainy; aktywna polityka wobec naszych południowych sąsiadów oraz narodów bałkańskich może i powinna mieć charakter uzupełniający, wspomagający, ale nigdy nie zastąpi podstawowego kierunku. Stąd wynika sprzeczność interesów polskich i rosyjskich, nawet w wypadku, gdy mamy do czynienia z rosyjskimi zwolennikami niezależności Ukrainy. Oczywiście nie możemy wykluczyć bliskiej (za bliskiej) współpracy ukraińsko–rosyjskiej i dlatego Polska nie może zdawać się wyłącznie na sojusz z Ukrainą, lecz powinna również rozwijać współpracę z południem (Słowacy, Czesi, Węgrzy, Rumuni – w takiej kolejności), szukając tam oparcia i przeciwwagi dla wschodnich konfiguracji (ukraińsko–rosyjskiej, ukraińsko–litewskiej itp.).

Koncepcję tę należy odróżnić od pozornie tylko podobnej idei

sojuszu polsko—czechosłowacko—węgierskiego, wysuwanej przez niektóre koła ugodowe w Polsce. W tym wypadku celem jest przeciwstawienie forsowanej przez środowiska niepodległościowe idei polsko—ukraińskiej równie atrakcyjnego sojuszu (walka o dusze) przy jednoczesnym zachowaniu tzw. realizmu (możliwość porozumienia z ZSRS), bowiem koncepcja południowa nie narusza sowieckich granic. Motywem działania jest tu strach przed zdystansowaniem przez konkurencję polityczną w kraju i przed reakcją Sowieców, nie zaś odmienna strategia ofensywy antykomunistycznej.

Integralność terytorialną Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej należy uznać za drugi bezdyskusyjny element ukraińskiego interesu narodowego. Nie wolno jednak zapominać — jak stwierdza Peterński w artykule o stosunkach ukraińsko—rosyjskich — że *USRR pozbawiona została swych etnicznych ukraińskich terytoriów północno—zachodnich, wschodnich i południowo—wschodnich i dlatego Ukraińcy mają prawo wysuwać w stosunku do Rosjan całkowicie sprawiedliwe roszczenia w sprawie tych obszarów. Chociaż wszelkie spory terytorialne prowadzone na emigracji lub w diasporze z natury bywają mało płodne, wyjaśnienie stanowiska w tej kwestii należy uważać za bardzo pożądane*. Wyjaśnienie takie ze strony rosyjskiej oczywiście nie następuje. Wydawałoby się, że słuszna formuła ukraińska, zgodnie z którą nie można używać argumentacji językowej na niekorzyść Ukraińców. *Częścią narodu ukraińskiego jest znaczna rosyjskojęzyczna mniejszość, ale to nie może oznaczać, że istnieją istotne rozbieżności interesów między Ukraińcami rosyjsko—i ukraińskojęzycznymi* — J. Peterński „W kwestii stosunków...”<sup>2)</sup> znacznia jeszcze roszczenia do tych silnie zrusyfikowanych terenów, ale w rzeczywistości tak nie jest, gdyż odnosi się ona tylko do wschodniej USRS, również silnie zruszczonej, posiadając tym samym jedynie charakter defensywny, zaś argument o ukraińskich prawach do terytoriów oderwanych ma w rzeczywistości wyłącznie charakter przetargowy, ponieważ zaraz pojawia się inny wariant rozwiązania tego problemu. Omelian Pryciak widzi możliwość ułożenia w przyszłości stosunków między Rosją i Ukrainą na wzór modelu francusko—algierskiego: *Rozwiązanie (to będzie) możliwe, jeśli Rosjanie uznają, ale tym razem z całą powagą, suwerenność narodu ukraińskiego oraz Ukrainy W OBECNYCH GRANICACH UKRAIŃSKIEJ REPUBLIKI RADZIECKIEJ. Rozsądna wymiana ludności mogłaby wyciszyć i raz na zawsze zakończyć napięcie między oboma narodami* („Widnowa”. nr 2).

Rezygnacja z obszarów oderwanych (być może słuszna ze względu na stopień ich rusyfikacji) nie jest jedyną koncepcją na rzecz sojuszu z Rosją i uznania przez nią niepodległości Ukrainy. O wiele poważniejszy charakter ma próba podjęcia tzw. polityki realistycznej, polegającej na popieraniu prawa do samookreślenia jedynie narodów republikańskich. Uniezależnienie republik narodowych, w tym zwłaszcza Ukrainy, może oznaczać tylko „rozczłonkowanie” różnonarodowego Związku Radziec-

kiego, a nie „rozcłonkowanie” (Wasył Hryszko „O problematyce dialogu...”). W tej sprawie stanowisko „Widnowy” pokrywa się z poglądem rosyjskim. Dla Rosjan działanie ukraińskich niepodległościowców skierowane jest na totalne rozbicie i zniszczenie Rosji, podczas gdy Z RACJI IDEOLOGICZNYCH I PRAKTYCZNYCH występowanie w roli zawodowych „rozcłenителей” Rosji jest dla Ukraińców NIECELOWE, ponieważ trudno będzie Rosjanom pogodzić się z likwidacją imperium, ale w żadnym wypadku nie zechcą oni pogodzić się z rozbijaniem Rosji. Autor zalicza więc do Rosji terytoria narodów nierosyjskich nie posiadających własnych republik, podobnie jak polscy endecy (i nie tylko) zaliczają do Rosji wszystko, co obecnie znajduje się w granicach ZSRS. Wprawdzie Pełeński przyznaje, że możliwości rozwiązania stosunków między narodami żyjącymi na terytorium RFSRR są dość problematyczne, uchyla się jednak od prowadzenia konsekwentnego rozumowania w tej sprawie. Rezultatem będzie zachowanie przez Rosję statusu mocarstwa: *nawet w wypadku uniezależnienia się niektórych, większości albo też wszystkich, republik „kresowych” Rosja pozostanie potęgą i mocarstwem, z czym Ukraińcy muszą się pogodzić.* (J. Pełeński „W kwestii stosunków...”). Jest to cena niepodległości Ukrainy osiągniętej w sojuszu z Rosją.

Porzucenie i odcięcie się od nierepublikańskich narodów ZSRS stanowi ukraiński wariant tej samej koncepcji, która w polskich warunkach każe zatrzymać się na Bugu i nie wysuwać sprawy niepodległości obszaru ULB z chęci zjednania sobie lub strachu przed ZSRS/Rosją (Adam Michnik lubi używać eufemistycznego określenia z *ostrożności*). By nie narażać się i zjednać Rosjan „Widnowa” proponuje nie sięgać wzrokiem poza Doniec. Koncesja ta jest równie realistyczna, słuszna i moralna jak jej polski odpowiednik.

Przyczyny, dla których „Widnowa” dostrzega w Rosji potencjalnego (tj. po spełnieniu wyliczonych warunków) najważniejszego sojusznika są te same, które wcześniej omawiał Mackiewicz i Rudnycki. Nieżyjący już gen. Petro Hryhorenko ujął tę sprawę dobitnie: *Wiem, że zdobyć niezależność państwową można jedynie po rozwaleniu państwa komunistycznego, a tego bez (współpracy) Rosjan zrobić nie można. Jeśli Rosjanie będą przeciw Ukraińcom w tej sprawie, to państwa komunistycznego rozbić nie będzie można. Ma ono taką broń i organizację, że zdusi ona jakiegokolwiek powstanie. Dla mnie ważne są rezultaty, a te da tylko wspólna walka Rosjan, Ukraińców, Litwinów – wszystkich narodów zamieszkujących Związek Radziecki, dlatego zgadzam się całkowicie z Aleksandrem Sołżenicynem. Postawił on pytanie (patrz dalej – J.D.) bardzo prawidłowo i nie powinien być z nim dyskusji, gdyż Sołżenicyn proponuje jednolity front („Widnowa”, nr 2).*

Dla Generała punktem wyjścia do powyższego zaprezentowanego rozumowania była jednak świadomość własnej słabości, a nie analiza niewydolności systemu komunistycznego. Ile warta jest jego sprawność bojowa wykazał ostatnio Rust, wcześniej zaś Izraelczyk w Liba-

nie. Komunizm silny jest nie dzięki własnej potędze lecz przeświadczeniu społeczeństwa i opozycji o jego wszechwładzy.

W sposób może ostrożniejszy, lecz nie odbiegający znaczeniem od cytowanej wypowiedzi Hryhorenki pisali inni publicyści. *Demokratyzacja ZSRR nie jest możliwa bez decentralizacji... co oznacza z kolei nieuchronną dezintegrację.* Taki ewolucyjny wariant rozwoju wydarzeń, który w porównaniu do wariantu rewolucyjnego byłby idealny, wymaga *współdziałania wszystkich sił narodowych (w ZSRS – J.D.), a w tym celu potrzebne jest: porozumienie przede wszystkim między przedstawicielami sił dwu narodów o rozstrzygającym znaczeniu w ZSRR – Rosjanami i Ukraińcami. (W. Hryszko). Ukrainie będzie trudno wyzwolić się i zdobyć niezależność państwową bez politycznego rozwiązania kwestii rosyjskiej, z drugiej zaś strony wiadomo, że systemy imperialne upadły nie tyle w rezultacie uderzeń zdyscyplinowanych kohort rewolucyjnych, ile na skutek rozkładu elit i samego społeczeństwa imperialnego,* stąd prosty wniosek, iż obiektem ukraińskiego oddziaływania powinny być elity rosyjskie, które dzięki dialogowi poddadzą rewizji koncepcję rosyjskiego interesu narodowego i odejdą od imperializmu. Umożliwi to normalizację stosunków, która z kolei doprowadzi do wyzwolenia. W przeciwnym wypadku – powiada Pełeński – Rosja nie będzie w stanie rozwiązać swych problemów, a nawet w razie uwieńczenia powodzeniem procesu formowania jednego, zasadniczo rosyjskojęzycznego narodu (autor zaznacza jednak, że w tym wypadku większość ludności Ukrainy pozostanie ukraińska bez względu na język, którym będzie mówiła) i powstania jakościowo nowego imperium, które realizować będzie rosyjskie interesy narodowo-państwowe, choć nie będzie rosyjskie w znaczeniu XIX-wiecznym, czeka je w omawianym wariantcie kataklizm wojenny: *...nieprzewidzianym, dodatkowym rezultatem polityki przemieszania i zlania narodów i ludów będzie rozkład społeczny i demograficzny kryzys społeczeństwa rosyjskiego... wszystkie te elementy mogą przywieść nie tylko do częściowego albo całkowitego rozkładu Związku Radzieckiego, ale nawet do nowej wielkiej „smuty” w samej Rosji, której konsekwencje byłyby bardzo tragiczne zarówno dla Rosjan, jak też dla narodów nierosyjskich.*

Zagadnienia sporne między Ukraińcami i Rosjanami, nawet demokratami, można też sprowadzić do różnych interpretacji przeszłości, zwłaszcza oceny Rosji carskiej i obecnych stosunków w ZSRS. Jak zwykle w polityce historia służy obu stronom jedynie do lepszego uzasadnienia aktualnego programu. Zobaczmy na czym polegają te różnice, jakie są ich przyczyny i konsekwencje.

1. *Nie mówmy o tym co nas dzieli lecz o tym co nas łączy* – twierdzą Rosjanie. A Aleksander Sołżenicyn w liście wydrukowanym przez „Widnowę” nr 2 zarzucił środowisku ukraińskiej emigracji, iż miast walczyć z komunizmem całą swą pasję kieruje na oskarżanie braci, po czym stwierdził: *Naszycy wzajemnych problemów XX wieku nie rozstrzyga*

*fakt, że kiedyś JEDNA NASZA GAŁĄŻ POPADŁA POD PANOWANIE Tatarskie, A DRUGA POD POLSKIE* (pisarz „zapomniał”, iż początkowo Ukraina weszła w skład Litwy – J.D.), albo wyjaśnienie kim był *Ilia Muromiec na służbie Kijowa – Rosjaninem czy Ukraińcem? Dialog rosyjsko-ukraiński nie może się odbywać tylko na płaszczyźnie różnic i zerwań – ale powinien też opierać się na płaszczyźnie WSPÓLNOTY. Z cierpień i narodowych bóli naszych narodów (wszystkich narodów Europy Wschodniej) trzeba umieć wydobyć nie doświadczenie niezgody, ale doświadczenie JEDNOŚCI.*

Rzecz jasna, każdy naród imperialny chciałby, aby narody pokrzywdzone zamilkły i więcej nie powracały do historii. Jeśli będą podkreślały one wyłącznie jedność w przeszłości i teraźniejszości z dawnymi przesładowcami, to po cóż miałyby w przyszłości dążyć do samodzielności? Hasło walki z komunizmem w tym wypadku służy Sołżenicynowi jedynie jako zasłona dymna dla osiągnięcia dwu celów jednocześnie: wybielenie i usprawiedliwienie carskiej Rosji nieodzowne ze względu na jej idealizowanie dla celów ideologicznych oraz budowanie podstaw pod przyszły związek obu narodów bądź państw. Publicyści „Widnowy” wprowadzie nie wyciągają aż tak ostrych wniosków ale również odrzucają rozumowanie pisarza, choć milcząco przyjmują postawienie przez Sołżenicyna znaku równości między „niewolą” polską i jarzmem tatarskim.

Mówienie jedynie o sprawach, które zwiększają poczucie jedności różnych grup narodowych *nie leży w najlepszym interesie wszystkich zaangażowanych partnerów*, co już dawno zrozumiała opozycja polska opowiadając się za poruszaniem spraw przykrych i drażliwych. Ukraińcom i Rosjanom potrzebna jest właśnie jak najbardziej *wolna wymiana idei, wolna i nieograniczona dyskusja na temat bolesnych problemów, które dotyczą obu narodów*. (J. Pełeński „W sprawie potrzeby dialogu...”).

2. Carskiej Rosji nic nie łączy ze Związkiem Sowieckim, którego powstanie jest efektem importu myśli zachodniej na nieskażony bolszewickimi tendencjami grunt rosyjski. Myśl tę, propagowaną przez A. Sołżenicyna, wyraził ostatnio w sposób skrajny poeta Josif Brodski: *To, że „widmo komunizmu”, które krążyło nad Europą musiało w końcu osiedlić się na Wschodzie, uznać można za zastęgę zachodniego, racjonalizmu. Ale należy też zauważyć, że nigdzie indziej widmo to nie napotkało bardziej gwałtownego sprzeciwu, poczynając od „Biesów” Dostojewskiego, poprzez wojnę domową i wielki terror („Żeszyty Literackie”, nr 11, s.88).*

Jak pisał Wł. Maksimow: jeśli Rosjanie byli szczególnie predestynowani do opowiedzenia się po stronie bolszewizmu, *to czym wyjaśnić fakt aktywnego „wybrania” Lenina przez „przedstawicieli” innych narodów, w pełni kochających wolność: przez Polaków (Dzierżyński, Marchlewski i inni), Łotyszy (Łacis, Berzińsz, Peters i inni), Gruzinów (Beria, Goglidze i inni), Ormian (Mikojan, Szaumian i inni) itp., itd.?* („Kontywent” 45, s. 422). Przy innej zaś okazji redaktor „Kontywentu” stwierdził: *My tylko sądzimy, że naród ten (tj. Rosjanie) ponosi dokładnie*

taką samą odpowiedzialność za wszystko, co wydarzyło się w Rosji, jak wszystkie pozostałe narody, które zamieszkiwały ją w tym okresie i zasiedlają ją po dziś dzień. Nie więcej, ale też nie mniej (tamże, s.400).

Przedstawione wyżej stanowisko „Widnowa” odrzuca, choć czyni to w sposób oględny i nie nalega zbyt na zgłębienie tego problemu. A. Sołżenicyn neguje istnienie jakichkolwiek powiązań między komunizmem jako ideologią i praktyką polityczną a historyczną rolą Rosji. Odrzuca także możliwość jakiegokolwiek związku między imperialną polityką carskiej Rosji i współczesnym Związkiem Radzieckim. Musiały jednak istnieć pewne potężne siły w starej rosyjskiej elicie panującej oraz w społeczeństwie rosyjskim, które umożliwiły zbudowanie i utrzymanie ogromnego dwukontynentalnego imperium. **BEZ PODOBNYCH SIŁ ZWIĄZEK RADZIECKI NIE MÓGŁBY DZIŚ FUNKCJONOWAĆ JAKO NOWOCZESNE IMPERIUM.** Także dziś znaczna ilość Rosjan uważa ideologię imperialną i autorytarną lub totalitarną metodę zarządzania państwem za całkowicie normalny ustrój polityczny.

Z takiego podejścia do problemu kontynuacji wynika także sprzeciw wobec idealizacji starej Rosji i obarczania odpowiedzialnością za wszystkie grzechy komunizmu. Trudno uważać wprowadzenie w życie na ziemiach polskich doktryny „Kraju Nadwiślańskiego” w drugiej połowie lat 1860-tych oraz realizację „Ukazu Emskiego (zakaz druku w języku ukraińskim – J.D.) na Ukrainie w roku 1876 – dwu znanych posunięć zrealizowanych za panowania jednego z bardziej humanitarnych carów rosyjskich, za dowody oświeconej i postępowej polityki rosyjskiego rządu imperialnego. W żadnym wypadku nie można za nie obwiniać międzynarodowego komunizmu (Pełński).

3. Rosjanie w Sowietach zajmują taką samą lub gorszą pozycję niż inne narody; są też prześladowani w takim samym lub nawet większym stopniu niż one.

W wywiadzie udzielonym „Sucasnosti” (kwiecień 1975) Wł. Maksimow stwierdził, że za obecną politykę władz komunistycznych w zasadzie odpowiedzialność ponoszą Ukraińcy: *Jeśli państwo składa się z ludzi, to w takim razie my, Rosjanie, możemy wysunąć wielkie pretensje pod adresem narodu ukraińskiego, ponieważ w KC KPZS w większości, podkreślam, nasz rząd w większości składa się z ludzi pochodzenia ukraińskiego (w rzeczywistości na 15 pełnoprawnych członków Politbiura 4 było Ukraińcami, a w 1981 r. udział nie-Rosjan w KC KPZS zmniejszył się do 32 procent).*

W cytowanej już wypowiedzi dla „Sucasnosti” Natalia Gorbaniewska wskazywała na szczególnie ciężkie położenie Rosjan w ZSRS: *Naród rosyjski doznaje narodowego ucisku w wyniku tego samego beznarodowego charakteru systemu, w którym żyje on i wszystkie inne narody. Zniszczenia religijnych korzeni kultury, jej materialnych pamiątek, zniekształcenia pamięci historycznej – zaznały wszystkie narody ZSRS... Jedyna rzecz, której nie doznaje naród rosyjski, jak wiemy, to rusyfikacja. Jego*



sowietyzacja i denacjonalizacja odbywa się za pomocą języka „ojczyściego” i dlatego albo w ogóle nie przyjmuje niszczenia wartości narodowych, albo postrzega je jako akt socjalny, co prawie nie wywołuje narodowego sprzeciwu.

W tej samej ankiecie Amalrik uznał, że sytuacja materialna narodu rosyjskiego jest najcięższa. Rzecz jasna inaczej na sprawę stopnia zgnębienia Rosjan i własnego narodu zapatrują się Ukraińcy. Przyznają wprawdzie, że *położenie narodu rosyjskiego może wydawać się złóżone, ale nie jest konieczne zagrożone, jeśli idzie o jego status mocarstwowy i imperialny, natomiast sytuacja narodu ukraińskiego wygląda na bardzo skomplikowaną, a ktoś mógłby nawet powiedzieć – krytyczną.* (J. Pełeński „W kwestii stosunków ...”).

„Widnowa” zgadza się oczywiście, że Rosjanie poddawani są sowietyzacji, lecz nie można jej traktować jako parawanu dla tolerowania rusyfikacji: *Te koła rosyjskie, które argumentują, że dla wszystkich kultur narodowych, włącznie z rosyjską, główne zagrożenie stanowi w ZSRR ich sowietyzacja, która jednocześnie degraduje także rosyjską kulturę narodową, nie powinny mieć wielkich trudności z potępieniem polityki rusyfikacji Ukrainy, albo co najmniej z odcięciem się od jej przymusowego stosowania. Nie powinna być dla nich obojętną sprawą represyjnego traktowania nierosyjskiej ludności RFSRR, pochodzącej głównie z nierosyjskich republik związkowych. Znaczne rosyjskie mniejszości, a w pewnych wypadkach nawet większości żyją na terytoriach tych republik i chociaż obecnie przebywają w pozycji uprzywilejowanej, ich los w sytuacji niekorzystnej dla strony rosyjskiej może się zmienić* (J. Pełeński „W kwestii stosunków ...”).

W istocie opozycja rosyjska nie chce dostrzegać, że Rosjanie są *społeczeństwem imperialnym, imperialny sposób myślenia* widać było nawet w takiej sprawie jak język, w którym mają być wydrukowane materiały wspomnianej konferencji ukraińsko-rosyjskiej. Natalia Gorbaniewska zaproponowała, by ze względów oszczędnościowych ograniczyć się do języka rosyjskiego i angielskiego. Skoro jednak Ukraińcy mogą czytać po rosyjsku, czemu Rosjanie nie mieliby czytać po ukraińsku?

Pod tym względem „Widnowa” daje Rosjanom za wzór Polaków, którzy zdaniem J. Pełeńskiego *pozbyli się marzeń wielkomocarstwowych, zaś szerokie kręgi społeczeństwa polskiego uważają austrofińlandyzację za szczyt ambicji politycznych w sferze stosunków międzynarodowych.*

Celowo przytoczyłem niektóre wypowiedzi wyłącznie osób związanych z „Kontynentem”, by ukazać stopień trudności starań normalizacyjnych z partnerem, którego wybrała sobie „Widnowa”. Oświadczenia emigrantów rosyjskich z ośrodków politycznych takich jak np. Ludowy Związek Pracy – NTS (ze strony polskiej współpracę z nim deklarowała „Solidarność Walcząca”) są szowinistyczne (np. teza o Ukraińcach

jako części politycznego narodu rosyjskiego) w stopniu wykluczającym wszelką dyskusję i dlatego nie stanowią tu przedmiotu naszego zainteresowania.

J

ak dotychczas wyniki współpracy „Widnowy” z „Kontynentem” są niewielkie: życie jeszcze raz pokonało teorię i wbrew jej założeniom na łamach ukraińskiego czasopisma niepodzielnie zapanowała problematyka stosunków ukraińsko-polskich. Ogromną rolę odegrało tu systematyczne przedrukowywanie z polskiej prasy niezależnej artykułów dotyczących powyższej tematyki oraz wydanie książki Podlaskiego. W ten sposób „Widnowie” udało się przełamać barierę niewiedzy panującej w środowiskach ukraińskiej emigracji na temat współczesnych trendów politycznych w opozycji polskiej. W tej chwili nie ma już znaczenia czy u podłoża owej ignorancji leżało lenistwo czy też kalkulacja polityczna, faktem jest bowiem, że środowiska ukraińskie nie mogą się dłużej powoływać na polskie wypowiedzi sprzed pół wieku nadając im aktualne znaczenie polityczne, jednocześnie nie ośmieszając się. Dlatego „Widnowę” w pełni zasłużenie można nazwać czasopismem ukraińsko-polskim.

Normalizacja stosunków ukraińsko-polskich na łamach „Widnowy” rozwija się poprzez reinterpretację wspólnych historycznych doświadczeń, które przyniósł nam wiek XX, a zwłaszcza ostatnia wojna oraz popularyzowanie historii i podkreślanie znaczenia ukraińskiej mniejszości narodowej w Polsce dla porozumienia obu narodów. Szczególnie w pierwszym wypadku redakcja rewiduje wiele tradycyjnych poglądów ukraińskich i uwzględnia także polski punkt widzenia; obiektywizm „Widnowy” może obu stronom służyć jedynie za wzór.

J. Pełeński wysunął przekonującą tezę o wojnie polsko-ukraińskiej toczącej się w latach 1942–1947 i przyznał, że *większość ofiar stanowili Polacy*; zgodził się też z szacunkami AK dotyczącymi Wołynia (do końca roku 1943 – 15 tys. zabitych), lecz liczbę 10–12 tys. podawaną dla Galicji Wschodniej uznał za nieco przesadzoną („Ukraina w pol-

skiej publicystyce opozycyjnej”, „Widnowa”, nr 4). Strona ukraińska przestała po raz pierwszy udawać, że nie ponosi żadnej odpowiedzialności za rzezie na Kresach i przyznała, iż miała miejsce *...ukraińska próba przymusowego wysiedlenia ludności polskiej z terytorium zachodnio-ukraińskiego i związane z tym akcje wyniszczające skierowane przeciwko tej ludności, najpierw na Wołyniu, a później w Galicji i nawet na Zasianiu...*, a także kto ponosi za to odpowiedzialność: *Istnieją przekonujące dowody na to, że ukraińskie podziemie nacjonalistyczne miało zamiar „depolonizować” terytoria zachodnioukraińskie, zwłaszcza w drodze przymusowego wysiedlania ludności polskiej oraz selektywnych akcji niszczytelnych, chociaż jest to tylko jeden aspekt sprawy. Z drugiej bowiem strony rząd i jego siły zbrojne, tj. AK, starały się zrobić wszystko co możliwe, aby zatrzymać tzw. polski stan posiadania na ziemiach ukraińskich i używały metod terrorystycznych oraz militarno-wyniszczających celem realizacji tego planu. Musimy więc postawić pytanie: kto z obu stron ponosi odpowiedzialność za okrutne czyny i ich tragiczne konsekwencje? Nie można nadal przemilczać, że podstawowa odpowiedzialność za nie spada przede wszystkim na te grupy, które reprezentowały tzw. nurty narodowe czy niepodległościowe w obu społeczeństwach. Wtrącanie się Niemców bądź Rosjan do konfliktu polsko-ukraińskiego odgrywało w najlepszym wypadku rolę drugorzędną albo wręcz mało istotną. Ten krwawy konflikt, zwłaszcza jego skrajne aspekty, były uwarunkowane przede wszystkim nacjonalizmem polskim i ukraińskim. Rozwój polskiego i ukraińskiego nacjonalizmu integralnego w latach 30-tych i na początku lat 40-tych w znacznej mierze przyczynił się do rozpalenia nienawiści narodowej oraz radykalizacji sposobów walki. Autor powątpiewa jednak czy ukraińska społeczność w diasporze gotowa jest dokonać historycznego rozrachunku z epoką ukraińskiego integralnego nacjonalizmu (chodzi nie tylko o okres wojny – J.D.) i czy wyciągnęła ona dla siebie odpowiednie wnioski z tej doby. Otóż strona polska też musi stawić czoła prawdzie i miast narodowej mitologii napisać prawdę o Kresach. Nie można tylko oskarżać innych, a chować własne zbrodnie, ponieważ psują obraz hagiograficznej przeszłości. Należy zarejestrować i opisać ku przestrodze na przyszłość wszystkie wypadki gwałtów dokonywanych przez nas.*

Kwestię obcej inspiracji w konflikcie polsko-ukraińskim szeroko omawia prof. Bohdan Osadczyk w artykule „Polska a Ukraina” („Widnowa” nr 3). Jego zdaniem *nigdy nie można było dokładnie wyznaczyć, gdzie zaczyna się samodzielna inicjatywa danej społeczności narodowej, a gdzie włącza się, a z czasem zaczyna również dominować obca agentura lub po prostu OBCA KONCEPCJA POLITYCZNA*. Konflikty polsko-ukraińskiego, wzajemnych mordów podczas II wojny czy też deportacji Ukraińców z Łemkowszczyzny nie można jednak wyjaśniać jedynie intrygami sąsiadów. *Fakt, iż byli oni za wszystko współodpowiedzialni to jedna, a to że Polacy i my – każdy na swój sposób i odpowiednio do swej*

pozycji – czyniliśmy rzeczy najgorsze, to druga i bezsprzecznie ważniejsza sprawa. Niestety niektóre ośrodki ukraińskie starają się ukryć błędy polityczne drogą przemilczania albo przekręcania faktów i tym samym przyczyniają się do wykrzywania obrazu historii najnowszej. Uleganie manipulacjom nie jest okolicznością łagodzącą, lecz ludzi dorosłych obciąża, zaś polityków po prostu dyskwalifikuje. Dlatego sądzę, iż Osadczuk przywiązuje zbyt dużą wagę do obcych wpływów na polską i ukraińską myśl oraz praktykę polityczną; należy uznać, że zainteresowani wybierali świadomie takie postępowanie, jakie im w danych okolicznościach najbardziej odpowiadało i przed sądem historii ponoszą za nie pełną odpowiedzialność.

Następnie Osadczuk daje krytyczny przegląd wpływów owych obcych koncepcji politycznych; po 1875 roku rosyjskiej, a po 1917 roku bolszewickiej i niemieckiej.

*Rosja i Niemcy widziały w możliwości rozpalania konfliktów polsko-ukraińskich instrument realizacji własnych interesów imperialistycznych ... Rosja wykorzystwała antypolskie wybryki hajdamacczyzny, a później także ukraińską bierność w czasie dwóch wielkich powstań Polaków przeciw rosyjskiemu samodzięrazawiu w 1830 i 1863 roku, następnie bolszewicy byli przeciwnikami sojuszu Petlury z Piłsudskim.*

Strona ukraińska dawała się wykorzystywać udając, że prowadzi politykę niezależną: kiedy w latach 20-tych i 30-tych niemieckie koła wojskowe i wywiadowcze popierały antypolską działalność nacjonalistów ukraińskich, współpracowały jednocześnie z bolszewicką Moskwą nie wtrącając się do antyukraińskiej polityki Stalina. Dmytro Doncow jako główny ideolog ukraińskiego integralnego nacjonalizmu nigdy nie wypowiedział się jasno do swych zwolenników w sprawie owego rozdwojenia niemieckich „sojuszników”. Wśród Ukraińców całkowity krach orientacji niemieckiej nastąpił dopiero po epizodzie 30 czerwca 1941 roku; kiedy doszło do rozbioru Ukrainy między Niemcy, Węgry i Rumunię.

Z drugiej zaś strony w Polsce międzywojennej – powiada Osadczuk – jak we wszystkich młodych państwach epoki postimperialistycznej, czy też postkolonialnej ... górę wzięły nurt centralistyczno-państwowy typu nacjonalistyczno-szowinistycznego. To wyznaczało negatywny stosunek większości ówczesnej polskiej elity politycznej, a z nią również większości narodu do „inrodzców”... Dlatego polityczna elita Polski widziała w ukrainizacji Republiki Ukraińskiej „zagrożenie dla stworzonego traktatem ryskim status quo i niebezpieczeństwo dla asymilacyjnej polityki Warszawy. Ogólnie rzecz biorąc w przedwojennej Polsce dominowała polityka nacjonalistyczna wobec mniejszości narodowych, zwłaszcza Ukraińców. Uciekanie się przez policję do terrorystycznych metod walki i to nie tylko wobec zwolenników integralnego nacjonalizmu sprzyjało powstaniu i rozszerzaniu się ukraińskiego ruchu politycznego, który stosował podobne albo nawet bardziej drastyczne metody w walce z polską władzą (Pełeński). Nawet po klęsce wrześniowej polska elita politycz-

na na emigracji *nie wyciągnęła też żadnych wniosków politycznych na przyszłość z faktu podziału państwa polskiego między Hitlera i Stalina. A kiedy Ukraińcy rozpoczęli po tej stronie Sanu i Bugu skromną pracę organiczną i kulturalno-oświatową, żeby choć częściowo nadrobić przegraną poniesioną w okresie denacjonalizacji i dyskryminacji – polskie warstwy przywódcze i szerokie kręgi społeczeństwa przyjęły to jako wypowiedzenie wojny (Osadczuk). Autor ma tu na myśli akcję skrytobójczych mordów ukraińskich działaczy oświatowych i społecznych podjętą w Generalnej Guberni przez środowiska endeckie w 1941 roku.*

Należy docenić reprezentowaną przez „Widnowę” krytyczną i uczciwą ocenę integralnego nacjonalizmu, tym trudniejszą, że jego tradycja i mitologia nadal dominują nad politycznym myśleniem ukraińskiej diaspory.

W rezultacie niekorzystnej i błędnej polityki dwudziestolecia i okupacji strona polska znalazła się jednak, zdaniem B. Osadczuka, w korzystniejszej sytuacji, gdyż rok 1945 oznaczał dla Ukraińców *utrata Chełmszczyzny i Łemkowszczyzny, a dla Polaków realizację marzeń opartych na skrajnych koncepcjach antyniemieckich.* W samym PRL-u rozwój wydarzeń też był dla Ukraińców niekorzystny, a zmiany na lepsze, które nastąpiły po roku 1956, miały charakter przejściowy, ponieważ w 1968 roku odeszli z partii ludzie nastawieni względnie *proukraińsko, zaś środowiska niezależne aż do 1979 roku zaniedbywały problematykę ukraińską.*

Zagadnienie obecnego sojuszu polsko-ukraińskiego pojawia się w szacie historycznej. Odpowiednie interpretacje przeszłości mają uzasadnić potrzebę lub niebezpieczeństwo takiej koalicji dla sprawy polskiej. B. Osadczuk słusznie zauważył, że *nikt z publicystów polskich nie wyraża chęci zastanowienia się, co stałoby się, gdyby Warszawa już w latach 20-tych dała Ukraińcom szeroką autonomię polityczną i kulturalną. Czy doszłoby do pogromu „ukrainizacji”, a później wojny i sojuszu Hitlera ze Stalinem? Nikomu spośród owych publicystów nie przychodzi na myśl, że Polska swoją przedwojenną polityką sama przyczyniła się do wywołania wojny przeciw sobie i do radzieckiej interwencji w 1939 roku.* Autor niestusznie jednak zawęził krąg „publicystów polskich” do nurtu ugodowego czy wręcz lojalistycznego. Na łamach prasy podziemnej podejmowane były przecież próby przewartościowania tradycyjnych ocen, wynikające z przyjęcia koncepcji konieczności budowania porozumienia polsko-ukraińskiego w walce o obalenie komunizmu. Choć prawdą jest, że nurt niepodległościowy nie dysponuje odpowiednimi siłami fachowymi, które potrafiłyby przekonująco uzasadnić za pomocą analizy historycznej aktualną strategię polityczną. Pod tym względem przewagę ma obóz ugody, lecz zarzutów pod jego adresem nie należy uogólniać. Przykładem może być wypowiedź przedstawiciela legalnej opozycji Stanisława Stommy, udzielona w listopadzie 1984 roku krakowskiemu czasopismu niezależnemu „Bez Dekretu”. Szanowny poseł do komunistycznego Sej-

mu niejednej kadencji stwierdził, iż autonomia Galicji Wschodniej *niezwłocznie wywołałaby konflikt ze Związkiem Radzieckim*. Zdaniem Osadczuka *u autora, który kiedyś był rzecznikiem porozumienia z Rosją, świadomie lub nie, nastąpiło całkowite pomieszanie pojęć i faktów*. Stom- ma niczego jednak nie pomieszał; on po prostu pod postacią historycznej analogii składał na łamach „Bez Dekretu” przysięgę lojalności komu- nistycznej Moskwie.

Drugim problemem historycznym, którego dwie możliwe interpre- tacje stanowią odpowiedź na pytanie o sens i potrzebę koalicji polsko- ukraińskiej, są dzieje lat 1917–1921. Kto podkreśla jedynie słabość wy- siłków ukraińskich i siłę polskich nie biorąc pod uwagę złożoności pro- blemu, chce powiedzieć, że także obecnie sojusz nasz nie będzie miał wielkiej wartości. Strona ukraińska ma jednak rację, gdy zwraca uwagę, że *pomoc materialna otrzymywana przez Polskę od państw zachodnich stanowiła bardzo ważny czynnik w odbudowie niepodległości. Ukraina natomiast pozostała sam na sam z czerwoną i białą Rosją, a jej klęska była również uwarunkowana polską agresją na Zachodnioukraińską Repu- blikę Ludową. Kiedy podczas II wojny światowej zachodnie państwa sojusznicze zdecydowały by nie pomagać Polsce i jej kosztem porozumieć się ze Związkiem Radzieckim, utraciła ona niepodległość* (Pełeński).

Na łamach „Widnowy” spotykają się dwie koncepcje polskiego nacjonalizmu: zawężająca i rozszerzająca. Zdaniem Pełeńskiego reprezentuje go przede wszystkim nurt neoendecki i jemu pokrewne, które o czasie wojny przeszły pewną pozytywną ewolucję: *Polskie koła nacjonalistyczne starej, endeckiej oraz innych formacji, a także różnych neoendeckich oraz wszelkich nacjonalistycznych kierunków zarówno w Polsce, jak też w diasporze, uważają, że wiązanie się z Ukraińcami nie leży w polskim in- teresie narodowym, że Ukraińcy muszą rozwiązać sami swoje problemy historyczne oraz, że Polska powinna zająć w kwestii ukraińskiej pozycję neutralną. Stanowi to o tyle pewną ewolucję w polskim myśleniu nacjona- listycznym, o ile zwolennicy tej orientacji tradycyjnie uważali, że w in- teresie Polski leży „ostateczne rozwiązanie” kwestii ukraińskiej w rosyj- skim imperialnym wariacie nacjonalistycznym. Nawet to przesunięcie z pozycji jawnie antagonistycznych na neutralne należy uważać za zja- wisko pozytywne* (artykuł „Ukraina w polskiej publicystyce”).

Autor nie bierze jednak pod uwagę, że idea *neutralności* wcale nie jest wyrażana wyłącznie przez koła endeckie. Czymże bowiem innym jest koncepcja politycznej *ostrożności* zalecanej przez Adama Michnika (ze względu na możliwość kompromisu z Sowietami, który pojawi się, jego zdaniem, wraz ze zreformowaniem ZSRS przez znanego liberała Gorbaczowa, o czym pisze poruszając kompromis sowiecko–fiński)? Wy- bitny moralista przyznaje wprawdzie, że Ukraińcy są naszymi sojusznika- mi, ale tylko w tym sensie, iż sprawiając kłopoty Sowietom czynią je bardziej podatnymi na kompromis z Polską. (Swoją drogą ciekawe co Adam Michnik zrobił w tym momencie ze swoją moralnością? Widocznie

starczyło jej tylko do Buga, a dalej musiał zastąpić ją *realizm*). Pozostaje tylko kwestią otwartą czy koncepcja *ostrożności* jest wynikiem własnej pracy myślowej autora, czy też rezultatem zauroczenia neoendeckim dorobkiem intelektualnym. W tym aspekcie stanowiska Aleksandra Halla i Adama Michnika wcale nie są tak dalekie jakby sobie obaj tego życzyli.

Rozszerzająca definicja polskiego nacjonalizmu obejmuje w praktyce wszystkich zwolenników ugody z Sowietami i ich lokalnymi reprezentantami. „Największą” formą polskiego nacjonalizmu jest – zdaniem Osadczyka – nowy „polonocentryzm”, czyli *przekonanie, że naród polski jest czymś wyjątkowym, niepowtarzalnym i na pewno lepszym od wszystkich pozostałych, być może z wyjątkiem Węgrów, Amerykanów, Włochów i Hiszpanów* (skąd tu się wzięli Hiszpanie trudno dociec – J.D.). *Ten stary kompleks Polaków związany jest ze swego rodzaju mesjanizmem, tj. przekonaniem, że Polska cierpi za innych, ale stanowi dla nich jednocześnie przykład. W okresie Solidarności nabył on nowych cech... Jedną z nich jest przekonanie, że polska opozycja znalazła najlepszą alternatywę dla totalitarnego systemu władzy* (przykład ten jest analogiczny do opinii czeskich z okresu Praskiej Wiosny). Z przekonania o „wyjątkowości” naszej sytuacji rodzi się przede wszystkim twierdzenie o możliwości porozumienia sowiecko–polskiego (według niektórych może jeszcze Węgrzy mają tę właściwość), a więc unikania sojuszków, które przyciskałyby Sowiety do ściany i prowadzenie wyłącznie „czysto polskiej” polityki.

Osadczyk popada jednak w przesadę, ponieważ nie wskazując wyraźnie konkretnego ośrodka (lub ośrodków) nacjonalizmu i zarzucając mu jednocześnie działanie zgodne z taktyką władzy, rozszerza zbyt szeroko krąg „podejrzanych”, gdy twierdzi, że *Dzisiejszy polski nacjonalizm zwrócony jest w szerokiej rozpiętości przeciw wszystkim sąsiadom* (sic!). *Jest on bardzo antyrosyjski, ale jednocześnie antyukraiński, a ponieważ do Rosji daleko, do Ukrainy zaś blisko, cała antyrosyjskość i antyradzieckość najczęściej skierowana jest przeciw Ukrainie i Ukraincom. Należy w tym miejscu zaznaczyć współbrzmienie spontanicznego nacjonalizmu z taktyką reżimu Wojciecha Jaruzelskiego.*

Pozostaje kwestia, gdzie „Widnowa” chce szukać partnera do współpracy po polskiej stronie? Pełencki słusznie zauważył, że *zainteresowanie problematyką ukraińską było uwarunkowane polityzacją polskiego ruchu opozycyjnego, który początkowo koncentrował swoje wysiłki na prawnej i społecznej obronie robotników*. Nie ma jednak racji, gdy przyczynę podniesienia kwestii ukraińskiej dostrzega w rozszerzeniu platformy opozycji z politycznej na moralno–etyczną (*nie można czegoś żądać dla Polski i zabraniać tego innym*). W rzeczywistości bowiem było na odwrót: najpierw kierowano się motywami etycznymi (i wielu przy nich pozostało), później zaś wystąpili również zwolennicy racji politycznych i właśnie od tego momentu rozpoczęła się wspomniana

na polityzacja ruchu. Zwolennicy normalizacji i współpracy polsko—ukraińskiej wcale nie odwołują się do argumentacji moralnej lecz do racji politycznych. Przy moralnych źródłach ruchu upierają się na ogół kręgi ugodowe.

Idea sojuszu polsko—ukraińskiego pojawiła się przede wszystkim jako rezultat konkurencji politycznej między zwolennikami kompromisu z komunistyczną władzą, a ugrupowaniami niepodległościowymi, które chciały zjednać sobie zwolenników odwołując się do wizji atrakcyjnej i politycznie nośnej (patrz: tradycja Piłsudskiego). Przykładowo, kwestię wschodnioeuropejską podjęła „Niepodległość”, lecz po dwóch latach milczenia w tej sprawie, nagle wspomnianą problematyką zajął się „KOS” i przejął inicjatywę polityczną dystansując natychmiast swą rywalkę.

*Na polityczne zainteresowanie problematyką ukraińską wpłynęło więc nie tyle wzrastające zrozumienie geopolitycznego położenia Polski oraz poczucie historycznej nieuchronności normalizacji stosunków Polski z jej sąsiadami, ile właśnie odrodzenie różnorodnych koncepcji polskiego interesu narodowego i w tym aspekcie tradycyjne, ale zawsze aktualne pytanie: czy w interesie Polski leży graniczenie bezpośrednio z potężną Rosją? Czy lepiej mieć między Rosją i Polską barierę niepodległych państw, zwłaszcza zaś niezależną Ukrainę? Co jest w polskim interesie: emancypacja Ukrainy, nawet w kontekście bloku socjalistycznego, czy jej ostateczne przetworzenie w zwykłą prowincję radziecko—rosyjskiego imperium?*

„Widnowa” podkreśla, że po obu stronach inicjatywę dialogu powinny podjąć nowe siły. Pełeński w swoim artykule „Ukraina w polskiej publicystyce” twierdzi, że *ze strony polskiej takimi nowymi siłami są różne grupy polskiej opozycji, która wyrosła na gruncie „Solidarności”*. Autor rozróżnia pięć nurtów politycznych: demokratyczny socjalizm, lewicę demokratyczną, katolickie centrum (od progresywnych do konserwatywnych katolików), nurt narodowo—demokratyczny i centro—prawicę (neokonserwatyści lub liberalni demokraci). Wszystkie one w jakimś stopniu wyrosły na gruncie „Solidarności” (lub stanowi ona co najmniej ich zaplecze kadrowe). Nic nam to jednak nie mówi o przydatności danego nurtu w stosunkach polsko—ukraińskich i o odpowiedziach, których Pełeński udziela na postawione wyżej pytania; nie mówi też nic o konkretnej definicji interesu narodowego, jaką proponuje autor swym zwolennikom — czy jest obojętny wobec sprawy ukraińskiej?, czy chce tylko normalizacji?, czy — wreszcie — pragnie sojuszu politycznego?

Wydaje się, że autor ma trudność ze zrozumieniem gdzie biegnie podstawowa linia podziału między polskimi ugrupowaniami politycznymi — a jest nią stosunek do taktyki walki o niepodległość i pogląd na możliwość jej uzyskania w perspektywie obecnego pokolenia. Kto uważa, iż niepodległość jest sprawą na dziś nierealną i trzeba dążyć do porozumienia z czerwonym celem, jak mówili starzy — *zachowania substancji narodowej*



lub, jak twierdzą młodzi ugodowcy – *po trawy warunków życia już teraz, a nie za sto lat*, ten nie będzie zwracał sobie głowy jakimiś Ukraincami lub, co najwyżej, pozostanie kibicem ich zmagani, co oczywiście nie oznacza, że sprzeciwi się normalizacji stosunków np. w sferze kultury.

Pełeński uczciwie przyznaje, iż *poliska publicystyka opozycyjna okazuje gotowość do otwartego dialogu w sprawie najboleśniejszych faktów stosunków polsko-ukraińskich w najnowszej historii i zaznacza, że w przeciwieństwie do nas strona ukraińska, zwłaszcza ukraińskie grupy nacjonalistyczne, zazwyczaj przemilczają te problemy lub w najlepszym wypadku ograniczają się do zaznaczenia kilku tzw. „pozytywnych” aspektów owych stosunków, np. rozmów między polskim i ukraińskim podziemiem oraz tymczasowych porozumień w sprawie zaprzestania walki, zwłaszcza w lutym 1944 r. albo współpracy UPA i WiN*. Pełeński ma tu na myśli przede wszystkim środowisko „Sucaszności” związane z OUN. Ze stanowiskiem banderowców (wszystko co robiliśmy było słuszne, a jeśli dochodziło do jakichś zbrodni, odpowiedzialność za nie ponoszą wyłącznie Polacy) autor nawet nie dyskutuje, gdyż byłoby to bezsensowne i bezcelowe. Pod adresem Polaków składa natomiast ofertę współpracy: *ukraińskie grupy nacjonalistyczne... twierdzą wprawdzie, że mają pozytywny stosunek do dialogu i współpracy polsko-ukraińskiej, ale koła te w ciągu ostatnich 40 lat nie potrafiły doprowadzić do normalizacji stosunków polsko-ukraińskich w diasporze. Dlatego naturalnymi partnerami w dialogu oraz współpracy polsko-ukraińskiej są ludzie i grupy nie obciążone bagażem historycznym wzajemnej walki, które konsekwentnie broniły idei normalizacji stosunków polsko-ukraińskich* (Pełeński).

Jeśli wziąć pod uwagę, że dotychczasowym polskim partnerem była „Sucaszność” (o współpracy KPN z OUN nie piszę ze względu na jej niepoważny i raczej humorystyczny charakter, zaś OUN do niedawna nie był na tym polu aktywny i dopiero obecnie zaczął zmieniać swoje priorytety), oferta „Widnowy” ma wyraźnie na celu zastąpienie konkurentki w stosunkach ukraińsko-polskich. Aż dziw bierze, że strona polska nie potrafiła właściwie odczytać tego przesłania i poza przedrukowaniem wspomnianego artykułu Pełeńskiego („Kultura Niezależna” nr 26) oraz kilku krótkimi i standardowymi omówieniami w tonie ogólnie pochwalnym, nie zareagowała w sposób poważny i polityczny. Być może strona polska po prostu nie czuje się na siłach i brak jej odpowiednich naukowych kompetencji, by w sposób wyczerpujący podjąć dialog i poważną współpracę z „Widnową”. A może też nie widzi takiej potrzeby, zgadzając się całkowicie z prezentowanymi przez to czasopismo ocenami stosunków polsko-ukraińskich. W efekcie jednak – tym razem już nie z winy ukraińskich nacjonalistów – stosunki te pozostają nieznormalizowane.

„Widnowa” przywiązuje dużą wagę do roli ukraińskiej mniejszości w naszym kraju. Wydaje się, że publikując na jej temat nie tylko ma-

teriały historyczne („Akcja Wisła”), ale przede wszystkim aktualne, chciałaby tę społeczność jakoś poruszyć, zmobilizować do odegrania aktywnej roli pośrednika między Zachodem i społeczeństwem polskim, a Ukraińcami w ojczyźnie. Rzecz jasna, iż te wysiłki są godne pochwały i pomocy, lecz nie oznacza to, że powinniśmy patrzeć przez palce na kwitnący wśród polskich Ukraińców kult martyrologii i nieustanne wymyślanie pod adresem Polaków. Do reguły przy tym należy obwinianie społeczeństwa za politykę władz i zaliczanie do elity narodu polskiego przedstawicieli komunistycznego establishmentu, nie wspominając już prób flirtu z komunistami, wynikających z przeświadczenia, iż tylko władza – jako silniejsza – może coś Ukraińcom dać. Zamiast narzekać na nienawiść całego społeczeństwa polskiego (co jest oczywistym kłamstwem, gdyż większość Ukraińcy w ogóle nie obchodzą, a obojętność i nienawiść to dwie różne sprawy), która naszym ukraińskim współobywatelom uniemożliwia wszelką działalność, trzeba po prostu zabrać się do roboty. Publikowanie przez redakcję „Widnowy” bez słowa komentarza listu „Ekumenisty z Polski” stwarza wrażenie, iż podziela ona jego oceny przypisujące *patologiczną nienawiść do Ukraińców* władzy, Kościołowi i społeczeństwu (sic!). Gdy jednocześnie polska opozycja nie może się doprosić współpracy ze strony Ukraińców (wsich własnym interesie). Być może Polacy mają zrobić wszystko sami pozostawiając Ukraińcom wygodną rolę zawodowych płaczków nad swym ciężkim losem i historyczną krzywdą? Jak na razie, rzekoma powszechna nienawiść Polaków do Ukraińców służy jako wymówka dla niepodejmowania niezależnej działalności. Strach przed policją nie jest sprawą wstydliwą. Takie refleksje nasunęły mi się po przeczytaniu listu „Ekumenisty z Polski”.

Z faktu, że Ukraina nie może wyzwolić się sama, nie musi jeszcze wypływać wnioszek o niezbędności sojuszu z Rosją i koncesji na jej rzecz. Koncepcja rewolucji w *Centrum* jako warunku dezintegracji imperium oparta została na doświadczeniach rewolucji rosyjskiej i październikowego zamachu stanu (przewrót bolszewicki); klęska na frontach, demoralizacja zaplecza i obalenie caratu w Pitrze pociągnięty za sobą – m.in. na skutek słabości społeczeństwa – rozpad władzy w Rosji, niespotykaną anarchię polityczną i socjalną oraz – w rezultacie – umożliwiło usamodzielnienie się peryferii. Nie jest to jednak jedyny model rozpadu imperium. Innego, wprawdzie mniej sugestywnego wzorca dostarczają dzieje schyłku Porty Otomańskiej. Miał tam miejsce proces odwrotny od opisanego; stopniowe usamodzielnianie się i odpadanie peryferii oraz dezintegracja imperium pod wpływem czynników zewnętrznych (polityka mocarstw) i wewnętrznych (ruchy wyzwolenicze) doprowadziły do załamania się władzy centralnej i rewolucji w samej Turcji. Nastąpiła ona w momencie, gdy już odpadły prawie wszystkie terytoria nie-tureckie, a Turcja właściwa miała ulec rozbirowi.

Także rozpad Cesarstwa Rzymskiego (choć to porównanie jest nie

na miejscu) zaczynał się od usamodzielniania peryferii, a nie rewolucji w centrum pod wpływem klęsk poniesionych na *limesie* (granicy).

Jeśli przyjąć proces rozpadu Partii za model przy prognozowaniu możliwych trendów politycznych w imperium sowieckim, wówczas okaże się, że uzasadnione jest rozumowanie przeciwstawne do omówionego na początku artykułu. W tej sytuacji nasza koncepcja politycznego działania również musi być inna. Jeśli dojdzie do powolnej dezintegracji krajów satelickich — choć oczywiście nie wszystkich na raz i nie w jednakowym stopniu — to wraz z pewnymi zmianami ewolucyjnymi i antykomunistycznymi wybuchami, będzie ona wpływała na kompromitację władzy sowieckiej jako bezsilnej w oczach jej poddanych, co zachęci ich do buntu. Powstanie wówczas rodzaj sprzężenia zwrotnego: im dalej od Sowietów będą oddalały się KDL-e, im głębsze zmiany będą w nich zachodziły (m.in. na skutek buntów i działalności opozycyjnej), tym większe napięcie będzie powstawało w samym ZSRS, zwłaszcza w społeczeństwach bardziej zachodnich i mniej izolowanych (peryferia: Inflanty—ULB), co z kolei umożliwić powinno eskalację żądań i zmian politycznych w krajach satelickich. W samych zaś Sowietach ruch będzie się przenoślił z zachodnich peryferii ku centrum lub powstanie kilka niezależnych ośrodków o różnym stopniu opozycyjności wobec reżimu. (Przykładowo, obecnie bibuła wydawana na Ukrainie i na Litwie, choć nie najwyższych lotów, ma charakter otwarcie antykomunistyczny, podczas gdy publikacje moskiewskie głoszą za swój cel niesienie pomocy Gorbaczowowi w jego reformach). Tak więc antykomunizm może iść z peryferii ku centrum, które będzie bardziej skłonne do polityki kompromisu i porozumienia z komunistami. (W tym wypadku z zadaniem opozycji z zewnętrznej strefy imperium (satelity) byłoby dopomożenie opozycji w ULB w pozbyciu się nieefektywnego i prymitywnego gorsetu w jakim występuje jej antykomunizm).

W myśl koncepcji wynikającej z takich założeń należałoby kierować uderzenie zjednoczonych sił opozycji antykomunistycznej (niepodległościowej) z krajów satelickich kolejno na najsłabsze ogniwa sowieckiego łańcucha, rokujące największe nadzieje na obalenie komunizmu i przekształcenie w bazy operacyjne przeciw następnym reżimom. Moim zdaniem pierwszym naszym celem powinna być Jugosławia. Przed interwencją sowiecką zabezpiecza ją międzynarodowa równowaga sił, z drugiej zaś strony system komunistyczny uległ tam już pełnemu rozkładowi i w ten sposób dojrzał do obalenia. Niektóre republiki, jak na przykład Słowenia, mogłyby nawet przejść do demokracji drogą ewolucyjną, inne, jak Bośnia i Hercegowina — rewolucyjną. Skomplikowane stosunki i konflikty narodowe będą stanowiły tu poważną przeszkodę, ale Jugosławia również pod tym względem powinna nam służyć jako laboratorium. Jeśli okażemy się niezdolni do rozwiązania kwestii narodowej w Jugosławii, nie rozstrzygniemy jej również w całej Europie Środkowo—Wschodniej, gdzie tego typu problemy występują na jeszcze większą skalę. Musimy zatem przynajmniej spróbować swoich sił. Likwidacja komunizmu

w tym kraju byłaby ogromnym wstrząsem psychologicznym dla całego obozu, okazałoby się bowiem, że można przestać być czerwonym i żyć nadal i to całkiem nieźle. To z kolei wzmogłoby ruchy odśrodkowe w imperium.

W Jugosławii żyją przedstawiciele prawie wszystkich narodów Europy Środkowej (nawet Ukraińcy i Słowacy, którzy mogliby posłużyć za bazę rekrutacyjną dla ruchów niepodległościowych w ich krajach). Jugosławia jednak mogłaby stać się przede wszystkim zapleczem dla akcji na terenie Albanii, Bułgarii, Rumunii i Węgier. Oddziaływanie na tamtejsze społeczeństwa i pomoc opozycji wymagałaby przynajmniej załagodzenia występujących między nimi konfliktów narodowych.

Następnymi podstawowymi celami byłyby Węgry i Polska. W sprzyjających okolicznościach, np. zamieszanie wywołane śmiercią Ceausescu, priorytet powinna uzyskać Rumunia. Siły antykomunistyczne wykazałyby krótkowzroczność, gdyby działały schematycznie i dały się w Rumunii zdystansować środowiskom próbującym szukać oparcia dla liberalizacji w Sowietach. Podobnie należy pilnie obserwować sytuację w Bułgarii.

Węgry i Polska, ze względu na siłę społeczeństwa, potencjał opozycji i znikomą izolację od Zachodu, nawet pozostając jeszcze w okowach komunizmu, mogłyby już pełnić rolę baz ruchu oporu. Z jednej strony oba kraje byłyby zapleczem dla Czecho-Słowacji (Polacy musieliby tu odegrać rolę mediatorów w sporach: słowacko-czeskim i słowacko-węgierskim), z drugiej zaś każdy pomagałby obszarowi swego tradycyjnego zainteresowania: Węgry – Rumunii i Ukrainie, natomiast Polska – ULB\* i Infantom, co rzecz jasna wymagałoby przejścia na tym terenie od konfliktów do współpracy.

W wypadku zmiany sytuacji w Rumunii stałaby się ona bazą oddziaływania na Mołdawię i Ukrainę. W ten sposób z Polski, Węgier i Rumunii rozpoczęłaby się koncentryczna akcja na Ukrainę i destabilizacja centralnego obszaru imperium.

W chwili decydującej rozprawy najważniejsza mogłaby oczywiście okazać się koalicja polsko-ukraińska ze względu na potencjał obu narodów. Ale uważam, że w przedstawionej konstrukcji sojuszy najważniejszą rolę odegra nie *Entente Cordiale* silnych: Polski, Węgier, Serbii i Ukrainy, lecz porozumienie z najsłabszymi ogniwami naszego łańcucha, narodami małymi, zagrożonymi, pełnymi kompleksów, a więc najbardziej podatnymi na dywersję wroga. Silniejsi partnerzy muszą nie tylko zagwarantować ich interesy (porozumienie silnych kosztem słabych zniszczyłoby wszystkie plany), ale również udzielić im znacznej pomocy. Z różnych względów do najsłabszych ogniw należy zaliczyć Słowaków (mała liczebność), Macedończyków i Białorusinów (niska świadomość). Popieranie Słowaków nie ma na celu dożłosiwiania Czechom i Węgrom, a wspieranie Białorusinów nie jest spiskiem przeciw Litwinom, czy też

\* Ukraina, Litwa, Białoruś – przyp. red.

uznanie narodowe Macedończyków nie ma na celu pogwałcenia Bułgarów lub Serbów, lecz stanowi nieodzowny warunek konsolidacji obozu antykomunistycznego. Pamiętajmy też, że pojęcie „słabości” i „siły” jest względne: ten sam naród w jednych okolicznościach może być silny, a w odmiennym układzie i w stosunku do innego narodu – słaby.

W omawianej koncepcji najważniejszą rolę odgrywa porozumienie narodów bloku: najpierw krajów satelickich, później zaś ich z narodami wewnętrznej strefy Sowietów (Inflanty – ULB). Z tego punktu widzenia sojusz polsko–czesko–słowacko–węgierski (Słowacy muszą być jego pełnoprawnymi i samodzielnymi uczestnikami) nie stanowi konkurencji dla koalicji polsko–ukraińskiej, czy polsko–ukraińsko–białorusko–litewsko–łotewsko–estońskiej, lecz reprezentuje tylko jeden z pierwszych etapów procesu dezintegracji imperium sowieckiego i wybijania się na niepodległość.

Celem przedstawionej koncepcji nie jest też, wbrew pozorom, chęć pogwałcenia Rosjan: znajdują się oni po prostu na marginesie jej zainteresowań. Rosjanie muszą zrozumieć, że są jednym z narodów zniewolonych i to wcale nie najważniejszym mimo swej liczebności. O znaczeniu bowiem nie decyduje ilość, lecz zdolność do organizowania oporu. Dlatego nie muszą być oni zawsze brani za punkt odniesienia w kalkulacjach politycznych, zaś fakt, iż nie stoją na czele jakiegoś ruchu, bądź nie są centralnym punktem zamierzeń i cudzej działalności politycznej nie stanowi dowodu antyrosyjskości. Obalenie komunizmu w Rosji bez udziału i pomocy wszystkich nierosyjskich narodów imperium jest niemożliwe, bowiem zwłaszcza społeczeństwa peryferyjne nie z racji swej rzekomej wyższości, lecz relatywnie mniejszego (choć i tak poważnego) skażenia komunizmem są bardziej zdolne do likwidacji tego systemu niż społeczeństwo rosyjskie (przez odróżnienie społeczeństwa od narodu chęć podkreślić stopień jego zdolności do samoorganizacji). Dlatego obalenie komunizmu w Rosji w przedstawionej koncepcji będzie zależało od udzielenia pomocy rosyjskim siłom antykomunistycznym przez narody naszej strefy cywilizacyjnej. One zatem będą stawiały warunki i pełniły rolę punktu odniesienia, a nie Rosja. Wyjdzie jej to zresztą na dobre, gdyż całkowite i ostateczne rozbitcie imperium może dopiero spowodować zanik postaw imperialnych na szerszą skalę, a nie na odwrót, bowiem dopóki koncepcja imperialna nie poniesie zdecydowanej klęski będzie miała swych zwolenników. Powyższy scenariusz przedstawia oczywiście tylko jeden z wielu możliwych przebiegów rozwoju wydarzeń w krajach obozu.

Żadne działanie nie daje gwarancji sukcesu. Stanęliśmy wobec wyzwania Historii i zasłużylibyśmy na wzdargę potomnych gdybyśmy go nie podjęli ze strachu przed przegraną. Być może nie powiedzie nam się, być może popełnimy nieodwracalne błędy, które staną się przedmiotem analiz przyszłych historyków i orężem propagandy przyszłych polityków, ale nikt nie będzie miał prawa zarzucać nam, że tego wyzwania nie podjęliśmy.

Józef DARSKI

# UKŁAD WARSZAWSKI –

## WYDATKI WOJSKOWE

### I TRANSFERY BRONI

Bela SZABO

Nie ulega wątpliwości, że rozwój sektora wojskowego państw Układu Warszawskiego ma poważne i wielorakie konsekwencje, w tym gospodarcze, na przykład w zakresie wielkości i struktury inwestycji, modelu funkcjonowania, poziomu życia itp. Zależności te, powszechnie uznawane, nie są wszakże w Polsce wnikliwie i poważnie badane. Jest to tym dziwniejsze, że fakty i liczby o Układzie Warszawskim nie są żadną tajemnicą i są powszechnie dostępne na zachodnim rynku księgarskim. Niniejszy artykuł ma wyłącznie na celu zaprezentowanie podstawowych danych o Układzie Warszawskim. Skupia się przy tym tylko na jednym aspekcie problemu – wydatkach wojskowych państw – członków Układu. Okazją do prezentacji tego problemu jest wydanie przez Amerykańską Agencję d/s Kontroli Zbrojeń i Rozbrojenia jej szesnastego już raportu pt. „Światowe wydatki militarne i transfery broni”. Raport ten obejmuje dane dla 145 państw świata za okres 1973–1983.

#### O metodyce liczenia wydatków zbrojeniowych

Raport umożliwia porównanie wysiłku zbrojeniowego różnych państw, gdyż wszystkie kwoty zostały podane w dolarach. Jak zwykle w takich przypadkach pewne zastrzeżenia budzą przyjęte przez autorów metody liczenia.

Wydatki na obronę państw Układu Warszawskiego (poza ZSRR) przeliczane są na dolary z sum oficjalnie podanych przez rządy tych państw. Autorzy przyznają, że kwoty te są zaniżone. Nie uwzględniają one wydatków związanych z obronnością nie wojskowych agencji rządowych, rad narodowych i przedsiębiorstw. Nie uwzględniają nader prawdopodobnego subsydiowania dostaw dla wojska oraz pracy na rzecz wojska osób zatrudnionych w sektorze cywilnym. Autorzy nie szacują tego zaniżenia bezpośrednio, na przykład przez przyjęcie jakiegoś współczynnika większego od jedności, przez który należy pomnożyć dane oficjalne celem otrzymania szacunku faktycznych wydatków na obronność.

Inne wątpliwości budzi metoda przeliczania na dolary oficjalnie podanych kwot złotych. Wydatki osobowe wojska przeliczone są według stawek płacowych obowiązujących w armii amerykańskiej. Oznacza to, że za płace żołnierzy Układu Warszawskiego przyjęto płace żołnierzy amerykańskich, oczywiście zróżnicowane według stopni wojskowych – a następnie podliczono je, by uzyskać w ten sposób sumę ogólnych kosztów osobowych armii. Reszta wydatków obronnych przeliczona jest na dolary według kursów opartych na badaniach relatywnej siły nabywczej różnych walut, przeprowadzonych przez ONZ w ramach *International Comparison Project*. Przyjęta metoda przeliczania wydatków osobowych sprowadziła średni kurs dolara w walutach państw członkowskich Układu znacznie poniżej oficjalnego kursu dolara tych państw. Dla Polski na rok 1983 wyniósł on 16 złotych. Autorzy musieli znaleźć kompromis między kilkoma trudnymi do pogodzenia sprawami.

Przyjęcie znacznie wyższego kursu, na przykład zbliżonego do oficjalnego, spowodowałoby, że polski wysiłek militarny, mierzony liczebnością armii (w roku 1983 – 430 tys.), ilością uzbrojenia, rzeczowym wolumenem eksportu broni itp. miałby się nijak do wydatków militarnych liczonych w dolarach. Wydatki te byłyby niewspółmiernie niskie przez co fałszowałyby, w ujęciu wartościowym, wolumen rzeczowo-osobowy polskiego wysiłku obronnego. Skoro zaś ujęcie to ma dać obraz adekwatny, syntetyczny i porównywalny – trudnym, i oczywiście kontrolersyjnym, kompromisem okazało się zaniżenie – w odniesieniu do wydatków obronnych – przeliczeniowego kursu dolara.

Takie rozwiązanie stworzyło jednak inne problemy, głównie związane z szacunkiem dochodu narodowego, eksportu i importu państw-członków Układu Warszawskiego. Po pierwsze, w raporcie podawany jest *Gross National Product* (GNP), czyli produkt narodowy brutto. Ową zachodni odpowiednik naszego dochodu narodowego liczony jest metodą SNA, uwzględniającą prócz dochodów sfery materialnej także dochody sfery usług. Tych ostatnich metoda stosowana przy liczeniu naszego dochodu (metoda MPS) nie uwzględnia. Metoda SNA daje w efekcie większe sumy (w przybliżeniu o 20–30%). Jej zastosowanie w odniesieniu do krajów socjalistycznych jest jednak trudne z braku odpowiednich danych statystycznych. Możliwe są tylko szacunki.

Kwestia druga, związana z przeliczaniem dochodu narodowego na dolary, dotyczy kursu przeliczeniowego dolara (czyli ceny dolara liczone w złotych). Z jednej strony, należałoby go zbliżyć do kursu stosowanego przy przeliczaniu wydatków obronnych. Im bowiem kurs przeliczeniowy dla dochodu będzie wyższy od kursu przeliczeniowego dla wydatków wojskowych, tym większy udział w dochodzie narodowym wykażą wydatki obronne. Z drugiej strony, im będzie on bliższy kursowi przeliczeniowemu dla wydatków obronnych, tym bardziej nie-realnie wysoki stawać się będzie sam dochód narodowy. Poza tym kurs ten musi mieć przecież jakiś związek z wynikami badań relatywnej siły

nabywczej różnych walut. Jednoczesne pogodzenie tych żądań musi zawierać jakiś kompromis. Autorzy raportu przyjęli ostatecznie kurs dolara dla dochodu nieco wyższy od kursu stosowanego przy przeliczaniu wydatków wojskowych, co zwiększyło w rachunku dolarowym udział polskich wydatków militarnych w dochodzie narodowym w stosunku do rachunków prowadzonych w złotychkach (3,2% w złotychkach, 5,8% w dolarach). Tym samym jakby inną metodą „doszacowali” pozycje nie uwzględnione w polskiej oficjalnej statystyce. Ale i tak narażają się na zarzut, że mimo wszystko zawyżyli nasz dochód narodowy, który według ich wyliczeń wyniósł w Polsce w roku 1983 na 1 mieszkańca 5580 dolarów. Inne znane szacunki polskiego GNP (ew. GDP) plasują go na poziomie mniej więcej 4000 dolarów. Ostatnie wyliczenia Banku Światowego mówią o 2000 dolarów, ale szacują zapewne nie GNP (ew. GDP), lecz dochód liczony metodą MPS.

Podobne kontrowersje budzą dolarowe przeliczenia eksportu i importu państw—członków Układu.

### Związek Radziecki na tle Układu Warszawskiego

Układ Warszawski obejmuje siedem europejskich państw socjalistycznych. Wydatki wojskowe Układu wyniosły w latach 1973—1983 2848 mld dolarów (wszystkie łączne kwoty za ten okres podawane są tu w cenach stałych z roku 1982). 85,8% tej sumy przypadało na ZSRR. Oznacza to, że pozostała szóstka państw raczej uzupełniała wysiłek militarny ZSRR, aniżeli współtworzyła potencjał wojskowy Układu. Wynikało to przede wszystkim z dysproporcji potencjałów gospodarczych państw członkowskich. Skumulowany dochód narodowy państw Układu wyniósł w latach 1973—83 24626,6 mld dolarów, zaś 70,8% tej sumy przypadało na ZSRR. Drugim czynnikiem, który wpływał na niewielki udział szóstki w wysiłku militarnym Układu, było relatywnie mniejsze obciążenie jej gospodarek wydatkami wojskowymi, niż miało to miejsce w ZSRR. Wydatki wojskowe szóstki wyniosły w latach 1973—1983 404 mld dolarów, co stanowiło 5,6% ich łącznego dochodu narodowego w tych latach. Analogiczny wskaźnik dla ZSRR wyniósł 14%. „Szóstka” miała więc swój dochód narodowy 2,5—krotnie mniej obciążony wydatkami wojskowymi niż ZSRR.

Ponieważ żadne z państw NATO nie ma nawet w przybliżeniu tak rozbudowanego — w stosunku do swego ogólnego potencjału gospodarczego — sektora militarnego jak ZSRR, powstaje pytanie, dlaczego Związek Radziecki tak znacznie obciąża swoją gospodarkę wydatkami militarnymi. Pytanie to daleko wykracza jednak poza słuchą faktografię raportu Agencji d/s Kontroli Zbrojeń i Rozbrojenia i dlatego musimy je tu pominąć, by uniknąć wplątania się w gąszcz interpretacji międzynarodowej polityki radzieckiej.



Siły zbrojne całego Układu liczyły w 1973 roku 5262 tys. osób i w ciągu 11 lat wzrosły o 548 tysięcy czyli o 10,4%. Armia radziecka dysponowała w 1973 roku 4 milionami osób, co dawało jej pierwsze miejsce na świecie. W roku 1983 jej stan wzrósł o 10%, przy wzroście ludności o 9%. Jeszcze szybciej w stosunku do wzrostu ludności rosły siły zbrojne reszty Układu. W okresie 1973–83 ich liczebność zwiększyła się o 11,7%, przy wzroście ludności o tylko 6%. Na tak wysoki wskaźnik wzrostu stanu armii zapracowała głównie – jak zobaczymy później – Polska.

Analiza dynamiki wydatków wojskowych całego Układu w latach 1973–83 wykazuje, że rosły one nieco szybciej od skumulowanego dochodu narodowego Układu. Wydatki wzrosły o 29%, dochód o 26,2%. Oznacza to zwiększenie wysiłku militarnego Układu w okresie dekady. Wysiłek ten nie wzrastał jednak równomiernie. Dla ZSRR różnica wyniosła 2,6% (wydatki wzrosły o 30,9%, dochód o 28,3%) natomiast dla pozostałej szóstki 5,9% (wydatki wzrosły o 27,1%, dochód o 21,2%). Obrazu tego nie zmienia analiza dynamiki w przeliczeniu na 1 mieszkańca. Najprostszy wniosek jaki nasuwa się z porównania tych liczb brzmi, iż stopa wzrostu wydatków militarnych szóstki ma priorytet i jest w pewnym przynajmniej stopniu uniezależniona od realizowanego faktycznie wzrostu gospodarczego. Wynika to zapewne z radzieckiej polityki aktywizowania przemysłów zbrojeniowych pozostałych członków Układu, by mogły one, na ile to możliwe, odciążyć potencjał radziecki. Pewne potwierdzenie tej hipotezy znajdziemy w dalszej części artykułu.

Istotne różnice między ZSRR a resztą państw członkowskich Układu dotyczą międzynarodowego obrotu bronią. Łączny eksport broni przez Układ Warszawski w okresie 1973–83 wyniósł 136,5 mld dolarów, z czego na ZSRR przypadło 115 mld dolarów, czyli 84,2%. Sytuacja ta nie dziwi, jeśli weźmie się pod uwagę omawiany uprzednio udział ZSRR w wysiłku militarnym Układu. Jednakże badanie udziałów eksportu broni w eksporcie ogółem wskazuje na znacznie większe zróżnicowanie między ZSRR a szóstką, niż miało to miejsce w przypadku obciążenia wydatkami wojskowymi gospodarek tych państw. Eksport globalny ZSRR w latach 1973–83 wyniósł 778,8 mld dolarów, tak więc eksport broni stanowił 14,8% tej kwoty. Natomiast udział eksportu broni stanowił 14,8% tej kwoty. Natomiast udział eksportu broni szóstki w jej eksporcie globalnym wyniósł w tym samym okresie 2,3%. Na tak dużą różnicę składa się kilka przyczyn. Należy przede wszystkim zaznaczyć, że ZSRR jest największym eksporterem broni na świecie. Wynika to zapewne z jego ogólnej strategii kompensowania słabości gospodarczo-ideologicznych potęgą militarną. Jedną z istotnych płaszczyzn militarnej kompensacji jest zdobywanie wpływów wojskowych i politycznych w Trzecim Świecie. ZSRR podjął wysiłek, by dorównać eksportowi broni całego NATO do tych państw. Rozmiary radzieckiego eksportu broni stanowią jednak ogromne obciążenie gospodarki tego kraju. Dorównanie w przybliżeniu przez Układ eksportowi broni NATO do Trzeciego Świata ma

miejsce w sytuacji, gdy globalny eksport państw Układu Warszawskiego jest niemal 6 razy mniejszy od globalnego eksportu państw NATO. Gros wysiłku eksportowego broni przypada zaś na ZSRR z racji jego potencjału, jak i faktu, że gospodarki szóstki dopiero kilka lat temu stały się eksporterami broni w sensie netto (czyli wartość sprzedanej przez nie broni przewyższyła wartość broni kupowanej za granicą). Poza tym globalny eksport radziecki jest kilkakrotnie mniejszy w stosunku do jego dochodu narodowego, niż ma to miejsce w reszcie Układu (wskaźnik dla ZSRR – 4,8%, dla szóstki – 12,8%). Jest także mniejszy w liczbach bezwzględnych (za lata 1973–83, o 141,4 mld dolarów). Taki rozkład eksportu globalnego pomiędzy ZSRR i resztą państw Układu zwiększa dodatkowo ciężar eksportu broni w całości eksportu ZSRR.

### Polska na tle Układu Warszawskiego

Charakterystyka polskich wydatków wojskowych dokonana została głównie na tle „szóstki”, czyli członków Układu nie licząc ZSRR. Pominięty zostanie w ten sposób radziecki potencjał wojskowy zamazujący swą wielkością obraz polskiego udziału w Układzie Warszawskim.

Polskie wydatki wojskowe znajdowały się na drugim miejscu pod względem wielkości wśród państw Układu i plasowały nas w ścisłej czołówce światowej. W roku 1983 z wydatkami wielkości 12,6 mld dolarów (w cenach bieżących) zajmowaliśmy 8 miejsce na świecie, wyprzedzając między innymi Japonię (11,5 mld dolarów) i prowadzący wojnę Irak (11,9 mld dolarów). Przed nami plasowały się tylko: ZSRR, USA, Chiny, Wielka Brytania, Arabia Saudyjska, Francja i RFN.

Polska wydała w okresie 1973–83 ogółem 122,1 mld dolarów na cele wojskowe, co stanowiło 30,2% wydatków całej „szóstki” (404,7 mld dolarów). Następne miejsce za nami zajmowała NRD – 90,1 mld dolarów. Wydatki obu tych państw stanowiły łącznie przeszło połowę (52,5%) wydatków wojskowych „szóstki” i ściśle odpowiadały udziałowi tych państw w łącznym dochodzie narodowym tej grupy krajów. Analiza udziałów pozostałych państw wykazuje istnienie dwóch zasadniczych podgrup. Na Polskę, NRD i CSRS przypadło łącznie 69,3% wydatków; na Bułgarię, Węgry i Rumunię – 30,7%. Nawiasem mówiąc, łączny dochód narodowy tych trzech ostatnich państw w okresie 1973–83 wynosił 2292,2 mld dolarów i był niemal identyczny z dochodem Polski w tym samym czasie (2234,7 mld dolarów).

Najmniejsze wydatki w okresie 1973–83 zanotowały Węgry – 32,3 mld dolarów. Miały też one najmniejsze obciążenie nimi dochodu narodowego – 4,5%, przy czym spadło ono z 4,9% w roku 1973 do 4,3% w roku 1983. Natomiast Bułgaria, czyli jedyny w „szóstce” kraj porównywalny z Węgrami pod względem wielkości dochodu (72,7% węgierskiego), notowała największe obciążenie w ramach „szóstki” – 7,7%.

Sporo światła na położenie poszczególnych państw Układu rzuca analiza dynamiki ich wydatków wojskowych w okresie 1973—83. Sytuacja w obrębie grupy okazuje się bardzo zróżnicowana. Z jednej strony mamy NRD, państwo będące jednym z głównych pól europejskiego teatru wojennego, którego wydatki wzrosły o 30% (29,3% ogółem, 31,9% na 1 mieszkańca). Na drugim biegunie znajdują się Węgry, których pozycja w ramach Układu jest zupełnie wyjątkowa, albowiem w okresie 11 lat zamroziły one wydatki wojskowe w przeliczeniu na jednego mieszkańca (wzrost zaledwie o 0,7%). Ogólna suma wydatków wzrosła o 3,5% przy wzroście ludności o 2,8%. Jednocześnie dochód narodowy wzrósł o 19,1%, a w przeliczeniu na jednego mieszkańca o 15,8%. Nastąpiło też bezprecedensowe, jak na politykę Układu, zmniejszenie liczebności armii węgierskiej. W roku 1983 stan jej osiągnął 75% stanu z roku 1973. Oznacza to przesunięcie, w ramach niemal zamrożonej sumy wydatków, części z nich z bieżącego finansowania armii na inne cele wojskowe. Jednym z nich był, jak pokażemy później, rozwój przemysłu zbrojeniowego.

Dane dotyczące Węgier są niewątpliwie bardzo interesujące, lecz trudno, opierając się tylko na nich, snuć dalej idące wnioski. Faktem jest, że przyznana Węgrom taryfa ulgowa oznacza możliwość wykorzystania na cele cywilne niemal całości wypracowanej podwyżki dochodu narodowego na głowę. Powstaje pytanie, czy można te korzyści oszacować. Jest to oczywiście bardzo trudne zadanie. Spróbujmy dokonać więc najprostszego z możliwych rachunku. Gdyby wydatki obronne Węgier wzrosły w roku 1983 o 27% w porównaniu z rokiem 1973 (średnia stopa wzrostu dla całej „szóstki”), wówczas ich wydatki wojskowe w roku 1983 wyniosłyby 3686,8 mln dolarów czyli o 681 mln więcej niż wyniosły faktycznie. Ta „zaoszczędzona” suma stanowiła niemal 1% węgierskiego dochodu narodowego za rok 1983 lub, patrząc inaczej, 5,1% importu Węgier za ten rok. Widzimy zatem, że przyznana Węgrom ulga, niezwykle poważna w perspektywie politycznej, waży dla gospodarki węgierskiej stosunkowo niewiele jeśli ująć ją od strony oszczędności na wydatkach wojskowych. Można stąd wysnuć hipotezę, że inne korzyści, które Węgry miały na względzie starając się o tę ulgę, musiały być istotniejsze niż kwota, jaką dzięki niej uzyskały. Poza tym, ponieważ w twardym świecie polityki obowiązuje zwasze zasada „coś za coś”, rodzi się pytanie czym Węgry zrewanżowały się za przyznaną im ulgę.

Przejdźmy teraz do Polski. Nasze wydatki wojskowe wzrosły między rokiem 1973 a 1983 o 17%. (6,3% w przeliczeniu na 1 mieszkańca). Dawalo to Polsce trzecie miejsce wśród państw „szóstki” za NRD (29,3%) i Bułgarią (24%). Nasz dochód narodowy wzrósł w tym okresie o 12,2% (w rachunku dolarowym jako GNP). Wzrost na jednego mieszkańca był niezwykle niski, bo tylko 2,1%. Pod względem wzrostu dochodu plasowaliśmy się na miejscu ostatnim. Zdecydowanie natomiast wyprzedzaliśmy wszystkich w dziedzinie wzrostu liczebności armii. Między rokiem 1973 a 1983 LWP powiększyło swój stan z 328 do 430 tysięcy osób,

czyli o prawie jedną trzecią (31,1%), przy ogólnym wzroście ludności o 9,9%. Z pozostałych państw „szóstki” jedynie Rumunia odnotowała podobny wzrost – 27,1%. Natomiast Bułgaria i Czechosłowacja utrzymały przez cały ten okres stan swoich armii na poziomie w zasadzie niezmiennym. O skali wzrostu polskiej armii może świadczyć fakt, że liczebność sił zbrojnych pozostałych państw „szóstki” razem wziętych wzrosła w okresie 1973–83 o 4,9%. Wskaźnik wzrostu dla całej „szóstki” wynosi więc 11,7%, głównie dzięki dynamicznemu rozwojowi LWP.

Osobny temat stanowią obroty bronią przez państwa Układu nie licząc ZSRR. W okresie 1973–83 zmieniły się przede wszystkim zasadniczo proporcje między eksportem a importem. W roku 1973 wszystkie kraje „szóstki” były importerami netto broni, przy czym eksport broni przez Bułgarię był właściwie symboliczny i wynosił 9 mln dolarów. Łączny eksport broni przez „szóstkę” wyniósł w tym roku 1125 mln dolarów z czego 902 mln, czyli 80,2% przypadło po połowie na Polskę i CSRS. Import broni przez „szóstkę” w tym roku wyniósł zaś 3645 mln dolarów. Największymi importerami były NRD (961 mln), Polska (804 mln) i CSRS (666 mln). Po 11 latach relacje importu i eksportu odwróciły się. Wszystkie kraje „szóstki” poza NRD stały się eksporterami netto broni. Eksport ten w roku 1983 wyniósł 2352 mln dolarów, czyli wzrósł o 109%. Import osiągnął poziom 1427 mln dolarów, czyli zmalał o 61%. Udział Polski i CSRS w globalnym eksporcie broni „szóstki” zmalał do 58%.

To odwrócenie relacji stanowi efekt długofalowej strategii rozbudowy przemysłów zbrojeniowych we wszystkich krajach Układu. Mają one za zadanie odciążać przemysł ZSRR od dostarczania tym krajom znacznych ilości sprzętu wojskowego. Rezultaty tej strategii dają o sobie znać stałym, od 1973 roku, spadkiem eksportu broni radzieckiej do pozostałych państw Układu. Eksport ten w okresie 1973–76 wyniósł 6,3 mld dolarów (ceny bieżące), w okresie 1977–80 – 5,3 mld, a w okresie 1981–84, – 4,4 mld. Równocześnie, począwszy od roku 1978, daje się zauważyć stopniowy spadek eksportu broni do ZSRR przez państwa „szóstki”. Następuje bardzo pożądane przez ZSRR, choć relatywnie jeszcze niewielkie, przesunięcie eksportu do państw Trzeciego Świata. Wyniki uaktywnienia przemysłów zbrojeniowych „szóstki” są również widoczne, gdy porównamy jej udział w światowym eksporcie broni w roku 1973 i 1984. W roku 1973 wynosił on 4,2%, a w roku 1984 już 8%. Równocześnie spadł udział ZSRR w światowym eksporcie broni z 38,7% do 26,9%. Jest to trend analogiczny do amerykańskiego. Oba supermocarstwa tracą udziały w światowym eksporcie broni nie tylko na rzecz swych sojuszników, lecz przede wszystkim na rzecz nowych eksporterów, nie należących ani do NATO ani do Układu Warszawskiego. Udział tych ostatnich w światowym eksporcie broni wzrósł z 2,9% w roku 1973 do 18,8% w roku 1984.

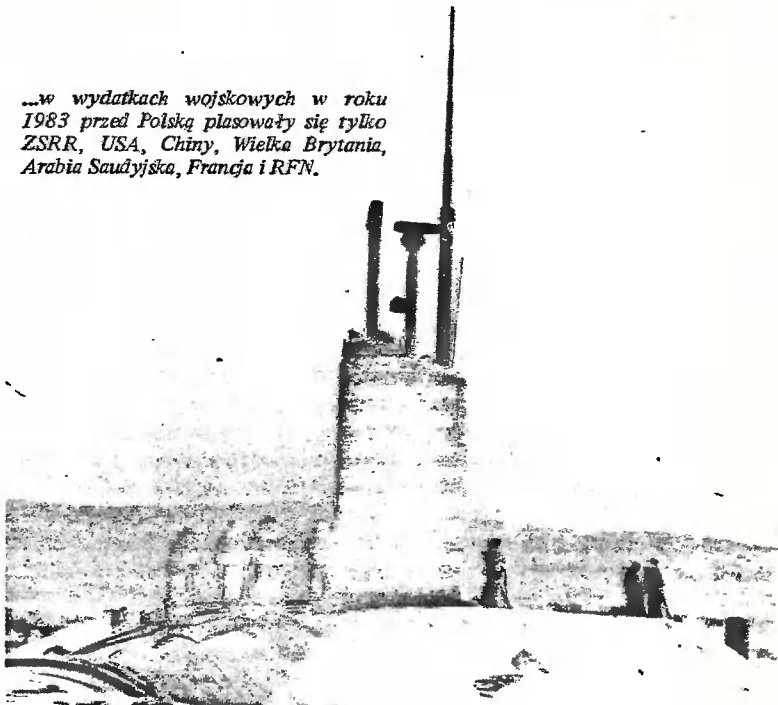
Charakterystycznym efektem dominacji radzieckich dostaw broni dla reszty Układu jest niewielki handel nią pomiędzy państwami „szóstki”. W latach 1979–83 ZSRR dostarczył „szóstce” broń za 6,2 mld dolarów (ceny bieżące). „Szóstka” wysłała do ZSRR broń za ok. 4,3 mld, poza Układ za ok. 4 mld, natomiast jej obroty wewnętrzne wyniosły tylko ok. 900 mln dolarów. Podobne zjawisko obserwujemy w Pakcie Północnoatlantyckim, gdzie dominują dostawy amerykańskie.

Skala przebudowy kierunku obrotów zagranicznych bronią była różna w różnych państwach „szóstki”. Aby wyeliminować wpływ dużych nieraz wahań rocznych w eksporcie i imporcie, posłużmy się porównaniem średniorocznego eksportu i importu za okresy 1973–75 i 1981–83. Pamiętajmy przy tym, że tak liczona dynamika będzie nieco niższa, niż gdybyśmy wzięli pod uwagę lata graniczne okresu 1973–83.

Okazuje się, że największego ograniczenia importu dokonały Węgry, którym udało się go zmniejszyć aż o 83% (z 337 do 57,3 mln dolarów). Jednocześnie zwiększyły one eksport o 60% (z 82,7 do 132,3 mln dolarów). Liczby te wymagają znacznie obszerniejszego skomentowania niż jesteśmy tego w stanie dokonać. Bez wątplenia budzi podziw zdolność antyimportowej i proeksportowej reorientacji węgierskiego przemysłu produkującego sprzęt wojskowy, przy tak nikłym wzroście wydatków wojskowych na przestrzeni 11 lat. Aby jednak wyjaśnić ten sukces, należałoby mieć o wiele więcej informacji. Jest mało prawdopodobne, aby redukcja o 25% armii węgierskiej, mogła pociągnąć za sobą (o ile w ogóle pociągnęła) redukcję importu o więcej niż 25–35%. Resztę spadku importu musiały więc Węgry zrekompensować wzrostem własnej produkcji. Być może źródłem sukcesu była specyficzna struktura rzeczowa przestawienia obrotów. Ujęta w raporcie wartość obrotów bronią obejmuje także takie na przykład pozycje, jak sprzęt wojskowy mogący jednak służyć celom cywilnym. W przypadku takich towarów można dokonywać przestawienia produkcji z cywilnej na wojskową i odwrotnie, w ramach istniejącego potencjału gospodarczego.

Redukcji importu na podobną skalę dokonała Rumunia. Jej import broni spadł z 281 do 65 mln dolarów, czyli o 77%. Jednocześnie powiększyła ona eksport o 573% (z 65,7 do 443,7 mln dolarów). Skala tego łącznego wysiłku jest gigantyczna. Pamiętajmy, że Rumunia powiększyła także liczebność swej armii o 27%. Równocześnie zanotowała najniższy, poza Węgrami, wzrost wydatków wojskowych – o 12,4%, a w przeliczeniu na jednego mieszkańca o 3,8%. Trudno znaleźć wyjaśnienie tego fenomenu, odwołując się wyłącznie do praw rządzących procesami gospodarczymi. Spoglądając na strukturę geograficzną rumuńskiego eksportu broni, okazuje się, że to ona właśnie najbardziej wspomaga ZSRR w jego polityce eksportu broni do Trzeciego Świata. W latach 1979–83 jej łączny eksport broni wyniósł 1990 mln dolarów (wszystkie dane dotyczące transferów broni za lata 1979–83 w cenach bieżących), z czego tylko 480 mln (24,1%) poszło do Układu Warszawskiego. Dostawy broni

*...w wydatkach wojskowych w roku 1983 przed Polską plasowały się tylko ZSRR, USA, Chiny, Wielka Brytania, Arabia Saudyjska, Francja i RFN.*



o wartości 1510 mln dolarów skierowała Rumunia do państw Trzeciego Świata, w tym 850 mln do Iraku, 230 mln do Libii. Jako ciekawostkę można podać, że Rumunia jest jedynym członkiem Układu, który handluje sprzętem wojskowym z NATO. W latach 1979–83 sprzedała ona sprzęt za 80 mln dolarów do Grecji, zakupiła zaś za 155 mln dolarów we Francji, Wielkiej Brytanii i RFN.

Podobnego do Rumunii wysiłku zmiany proporcji obrotów zagranicznych dokonała Bułgaria. Zmniejszyła import o 61% (z 473 mln do 184 mln dolarów), eksport zaś podniosła o 561% (z 37 mln do 247 mln dolarów). Identycznego procentowo zmniejszenia importu dokonała Czechosłowacja (z 585 mln do 228 mln dolarów). Jej eksport wzrósł co prawda tylko o 23% (do 761 mln dolarów), ale i tak pozostała największym eksporterem broni całej „szóstki”. W latach 1979–83 wyeksportowała broń ogółem za 3950 mln dolarów, z czego 2610 mln dolarów otrzymały państwa Układu Warszawskiego (w tym ZSRR – 2200 mln). Największymi odbiorcami Czechosłowacji w Trzecim Świecie, do którego łącznie wysłała sprzęt za 1340 mln dolarów, była Libia (575 mln), Syria (470 mln) i Indie (120 mln).

Eksporтером netto sprzętu wojskowego stała się również Polska. Zmniejszyła import o 41% (z 677 mln do 401 mln dolarów), eksport zaś powiększyła niemal dwukrotnie, bo o 90% (z 358 mln do 682 mln dolarów). Globalny polski eksport broni za okres 1973–83 wyniósł blisko 6,5 mld dolarów i ustępował tylko czeskiemu (9,2 mld dolarów). Eksport ten stanowił 3,4% całego polskiego eksportu za okres 1973–83. Dzięki temu wskaźnikowi zajmowaliśmy drugie miejsce po Czechosłowacji (CSRS – 5,5%). Struktura geograficzna polskiego eksportu broni i sprzętu wojskowego w latach 1979–83 była następująca: dostawy do ZSRR wyniosły 1,8 mld dolarów, a do pozostałych państw Układu 110 mln dolarów. Poza Układ wyeksportowaliśmy broń i sprzęt za 1,2 mld dolarów. Naszymi największymi odbiorcami w Trzecim Świecie były Irak (400 mln dolarów), Libia (330 mln dolarów), Jemen Północny (250 mln dolarów) i Korea Północna (120 mln dolarów). Podobnie jak ZSRR i Rumunia, byliśmy dostawcami broni i sprzętu dla obu stron konfliktu Iran–Irak, choć nasze dostawy do Iranu były bardzo niewielkie – miały wartość tylko 5 mln dolarów. Rumunia dostarczyła Iranowi sprzęt za 40 mln, ZSRR za 975 mln (ZSRR do Iraku – 7,2 mld dolarów).

Na osobne omówienie zasługuje NRD jako jedyny członek Układu, który w dalszym ciągu jest wielkim importerem netto broni. Nie jest to dziwne, jeśli weźmie się pod uwagę „frontowy” charakter położenia Niemiec Wschodnich. O skali ich importu świadczy najlepiej fakt, że w roku 1973 NRD sprowadziła broń za 961 mln dolarów, czyli przeszło dwukrotnie więcej niż wyniósł w tym roku import broni przez ZSRR (431 mln dolarów). Po 11 latach import broni przez NRD zmniejszył się do 729 mln dolarów, czyli o 24% (import radziecki w 1983 – 1103 mln dolarów). W tym samym czasie wschodniemiecki eksport broni wzrósł z 98 do 124 mln dolarów czyli o 27%. Z informacji tych można wnioskować, że rozbudowa niemieckiego przemysłu zbrojeniowego służyła głównie zaopatrzeniu wewnętrznemu.

### Układ Warszawski na tle NATO

Państwa NATO wytwarzają dochód narodowy 2,5 raza większy niż państwa Układu Warszawskiego (1973–83: NATO – 60333 mld dolarów, Układ – 24621 mld dolarów). Wydatki wojskowe obu bloków są natomiast identyczne (1973–83: NATO – 2821,7 mld dolarów, Układ – 2847,9 mld dolarów).

W okresie 1973–83 Związek Radziecki wydał 35% więcej na cele wojskowe niż USA (ZSRR – 2443,4 mld dolarów, USA – 1809,6 mld dolarów). W żadnym roku omawianego okresu wydatki amerykańskie nie dorównały radzieckim, przy czym różnice były największe za administracji Cartera. Wydatki radzieckie były wówczas większe od amerykańskich o blisko połowę. Różnice te stopniowo zmniejszały się w trakcie pierwszej kadencji Reagana (danych za drugą kadencję brak) i w roku

1983 wydatki radzieckie były większe od amerykańskich już tylko o 18,8%. Amerykański wysiłek nadrabiania zaległości z lat 1976–79 spowodował, że wydatki USA w roku 1983 były większe o 46% w porównaniu z rokiem 1976, kiedy to zanotowano ich najniższy poziom w okresie 1973–83 (142,4 mld dolarów wobec 216,5 mld radzieckich wydatków w tym roku). Przyrost wydatków radzieckich w tym samym czasie wyniósł 14% (do 247,5 mld). Większe od amerykańskich wydatki radzieckie w okresie 1973–83 wyrównywane były z nawiązką przez NATO dzięki wysiłkowi europejskich sojuszników USA. Ogółem wydatki całego NATO wzrosły w okresie 1973–83 o 32,6% zaś Układu Warszawskiego o 29%. W tym samym czasie łączny dochód narodowy państw NATO wzrósł o 19,8% zaś państw Układu o 26,2%. Oznacza to, że Pakt Północnoatlantycki zwiększył swój wysiłek militarny na przestrzeni dekady i to w stopniu relatywnie większym od Układu Warszawskiego. Jest to efekt przyspieszonego nadrabiania zapóźnień z okresu „detente”. Zwiększenie wysiłku NATO jest jeszcze wyraźniejsze, gdy badać wydatki wojskowe i dochód na 1 mieszkańca. W okresie 1973–83 te pierwsze wzrosły o 22,6% zaś dochód o 10,6% (analogiczne wskaźniki dla Układu: 19,2 i 16,6%).

Porównując Układ Warszawski z NATO należy wspomnieć o odmiennych pozycji liderów obu układów wewnątrz własnych bloków. W zakresie dochodu USA wytwarzają mniej więcej tyle (USA 1973–83: 31801 mld dolarów) ile ich sojusznicy (1973–83: 28532 mld dolarów). Natomiast sojusznicy ZSRR z Układu wytwarzają go 2,3 raza mniej od lidera (1973–83: 7203 wobec 17423 mld dolarów). Jeszcze wyraźniejsza przewaga ZSRR nad jego sojusznikami, w porównaniu z sytuacją w NATO, uwidacznia się w całości wydatków wojskowych bloku. Sojusznicy USA z NATO partycypują w całości wydatków udziałem 37%, sojusznicy ZSRR w Układzie – udziałem 14%. Jak już wspominaliśmy, podobne różnice w pozycji liderów widoczne są też w zakresie liczebności armii i rozmiarów eksportu broni.

Stan liczebny armii państw NATO w zasadzie nie powiększył się w okresie 1973–83 i w roku 1983 wynosił 5587 tys. osób (wzrost o 0,14%). Siły zbrojne Układu, które ustępowały liczebnie w roku 1973 siłom NATO i liczyły 5262 tys. osób, wzrosły w ciągu 11 lat o przeszło pół miliona ludzi (do 5810 tys.) czyli o 10,4% i w roku 1983 były już większe od sił NATO o 4% (w 1973 mniejsze o 5,7%). Ilość personelu wojskowego na 1000 mieszkańców, jeden z ważniejszych wskaźników stopnia militaryzacji, spadł w NATO z 10,2 w roku 1973 do 9,4 w roku 1983. W Układzie Warszawskim wzrósł natomiast z 14,8 do 15,2.

Przejdźmy teraz do porównań w zakresie transferów broni. Największym eksporterem broni na świecie jest Związek Radziecki. W okresie 1973–83 wyeksportował on broni za 115,1 mld dolarów czyli o 15,6% więcej niż USA (99,6 mld). Obciążenie eksportu amerykańskiego eksportem broni wyniosło w tym okresie 4,5%, obciążenie radzieckiego eksportu – 14,8%. Ogółem w tym okresie cały Układ wyeksportował broni



za 136,5 mld dolarów (8% całości jego eksportu za te lata), zaś NATO za 173,1 mld dolarów (1,8% całości eksportu). Udział eksportu broni Układu w światowym eksporcie tych „dóbr” wyniósł w 1983 roku 32,8%, zaś NATO – 54,1%.

Dla porównania wzrostu eksportu broni posłużmy się, jak poprzednio, jego średniorocznymi wielkościami z lat 1973–75 i 1981–83. Tak liczny eksport broni NATO wzrósł w okresie 1973–83 o 49,6% (z 12,9 do 19,3 mld dolarów), zaś eksport broni całego Układu Warszawskiego o 43,2% (z 9,4 mld do 13,4 mld dolarów). Eksport radziecki wzrósł jednak znacznie więcej niż amerykański (wzrost o 33,7% wobec 3,3% amerykańskiego). Jeszcze energiczniej rozwijał się eksport broni sojuszników obu mocarstw. Sojusznicy USA w NATO odnotowali w latach 1973–83 wzrost o 166,5% (z 3,7 mld do 9,7 mld dolarów), zaś sojusznicy ZSRR w Układzie wzrost o 205% (z 1,2 mld do 2,6 mld dolarów).

Nieco światła na politykę obu bloków wobec Trzeciego Świata rzuca analiza wielkości i struktury geograficznej ich dostaw broni do tego obszaru. W latach 1981–84 eksport broni Układu Warszawskiego do krajów rozwijających się stanowił 37,2% wszystkich dostaw, jakie kraje te otrzymały (udziały liczone według cen bieżących). Udział NATO był wyższy i wynosił 46,2%. Charakterystyczne są wielkości udziałów liderów i ich sojuszników z obu bloków. Udział sojuszników USA w ogólnych dostawach do tego rejonu wynosił 28,8% wobec 17,4% udziału amerykańskiego. ZSRR, nie mogąc liczyć na resztę państw Układu Warszawskiego, które łącznie dostarczyły krajom rozwijającym się tylko 5,5% ich dostaw, podjął gigantyczny wysiłek i sam dostarczył niemal jedną trzecią (31,7%) wszystkich dostaw, jakie otrzymały kraje rozwijające się.

Struktura geograficzna dostaw Układu na tle dostaw NATO wykazuje istnienie trzech zdecydowanie różnych grup regionów. W skład pierwszej grupy wchodzi Afryka i Azja Południowa. Do obu tych obszarów dostawy broni Układu przewyższały dwukrotnie dostawy NATO. W przypadku Afryki Układ przekazał broń do 25 państw za 16,1 mld dolarów, zaś NATO do 36 państw za 8,7 mld dolarów. Algieria zakupiła od Układu broń za 3,2 mld dolarów (87,4% jej całego importu broni), Libia – za 6,9 mld dolarów (57,2% jej całego importu broni). Inni wielcy importerzy afrykańscy związani z Układem to: Etiopia (1,8 mld dolarów, 94,8% jej importu broni) i Angola (1,6 mld dolarów, 91,9% jej importu broni).

Wielkimi afrykańskimi importerami broni z krajów NATO były natomiast: również Libia (2 mld dolarów, 16,3% jej importu broni), Maroko (1,4 mld dolarów, 80,4% jego importu broni) i Nigeria (820 mln dolarów, 81,8% jej importu broni).

Do Azji Południowej Układ Warszawski dostarczył w latach 1979–83 broń za ok. 5,5 mld dolarów, NATO zaś za ok. 2,5 mld. 97% dostaw Układu otrzymały dwa państwa: Indie – 3,5 mld (75% ich importu broni) i Afganistan – 1,8 mld (99,5% jego importu broni). Dwoma największy-

mi odbiorcami NATO były również Indie – 1,1 mld (22,4% ich całego importu broni) i Pakistan – 1,3 mld (73,2% jego importu broni). Eksport broni do tych 2 państw stanowił 98,8% eksportu NATO do Azji Południowej.

Druga grupa regionów obejmuje Amerykę Łacińską, Azję Wschodnią i Bliski Wschód. Dostawy Układu były tam mniejsze w latach 1979–83 o 27–33,3% od dostaw NATO.

Koncentracja dostaw Układu w przypadku Ameryki Łacińskiej była bardzo wyraźna. Eksport broni wyniósł 3,8 mld dolarów i będąc mniejszy od dostaw NATO tylko o jedną trzecią (5,7 mld) skierowany został do 5 państw, podczas gdy eksport NATO do 20. 81,6% dostaw Układu otrzymało jedno państwo – Kuba (3,1 mld dolarów, 100% jej importu broni). Drugim dużym odbiorcą było Peru (440 mln dol., 36,4% jego importu broni), trzecim – Nikaragua (100 mln, 35,7% importu broni). Największymi odbiorcami NATO były: Argentyna (1,7 mld, 68,3% importu broni), Wenezuela (0,7 mld, 89,7% importu broni), Chile (0,7 mld, 61% importu broni) i Peru (0,7 mld, 55% importu broni).

Podobnie skoncentrowane były dostawy Układu do Azji Wschodniej. Wietnam otrzymał 76,8% tych dostaw (5,3 mld, 99,8% importu broni). Inni dwaj wielcy odbiorcy to Mongolia (0,6 mld, 100% importu broni) i Korea Północna (0,6 mld, 66,7% importu broni). Ogółem Układ dostarczył tam sprzęt wojskowy za 6,9 mld dolarów, czyli o 32,3% mniej niż NATO (9,5 mld), do którego największych odbiorców należała Japonia (2,6 mld, 99,6% importu broni), Korea Południowa (2,0 mld, 99,6% importu broni), Tajwan (1,7 mld, 67,3% importu broni) i Tajlandia (1,2 mld, 87,8% importu broni).

Struktura dostaw broni Układu Warszawskiego na Bliski Wschód była dość podobna. Stojąc w obliczu większych i bardziej rozgałęzionych dostaw NATO do tego regionu (NATO: 32,2 mld dolarów, 14 odbiorców, Układ: 23,5 mld, 9 odbiorców), ZSRR skoncentrował się, podobnie jak w Azji Wschodniej i Ameryce Łacińskiej, na tworzeniu bardzo silnych przyczółków, zdolnych do wywierania istotnego wpływu na sytuację w danym regionie i stanowiących bazy wypadowe dla dalszej radzieckiej ekspansji. W przypadku Ameryki Łacińskiej radzieckim przyczółkiem jest Kuba, za której pośrednictwem ZSRR rozszerza swe wpływy m.in. na Nikaragę. W Azji Wschodniej rolę tę pełni Wietnam opanowujący z kolei m.in. Kambodżę i Laos. Na Bliskim Wschodzie podstawowym przyczółkiem radzieckim jest Syria, której w latach 1979–83 Układ dostarczył broń za 9,7 mld dolarów (92,3% jej importu broni). Drugim państwem, z którego – jak się wydaje – ZSRR pragnie uczynić swój przyczółek jest Irak, który otrzymał od Układu broń za 8,5 mld dolarów. Dostawy te nie uzależniły go jednak od Moskwy w tym stopniu co innych wielkich importerów broni radzieckiej. Kwota 8,5 mld dolarów stanowi bowiem tylko 48,2% całości irackiego importu broni. Drugim państwem całkowicie polegającym na sprzęcie radzieckim, był Jemen

Południowy (Ludowo-Demokratyczny). Otrzymał on dostawy wartości 1,5 mld dolarów (99,3% jego importu broni). Jemen Północny również otrzymał ponad połowę importowanej przez siebie broni od Układu Warszawskiego (1,46 mld, 61,9% jego importu broni). Łączne dostawy do tych 4 państw stanowiły 92,3% całości eksportu broni Układu na Bliski Wschód.

Największymi odbiorcami NATO na Bliskim Wschodzie były następujące państwa: Arabia Saudyjska – 10,2 mld (84,3% jej importu broni), Egipt – 4,7 mld (83,3% jego importu broni), Irak – 4,6 mld (26,3% jego importu broni), Izrael – 3,8 mld (99,9% jego importu broni) oraz Jordania – 2,98 mld dolarów (86,9% jej importu broni).

Trzecim typem regionu ze względu na rozmiary eksportu broni Układu i NATO – jest Oceania. Jest to jedyny region będący dotąd białą plamą na mapie dostaw broni Układu (10 mln dolarów wobec 1,6 mld dolarów NATO).

BELA SZABO

---

## ZESZYTY LITERACKIE

Nr 20 (JESIEŃ 1987)

W numerze 20 (JESIEŃ 1987): PROZA I POEZJA: CZESŁAW MIŁOŚZ, Metafizyczna pauza; NELLY SACHS, Wiersze; ADAM ZAGAJEWSKI, Wiersze; TOMAS TRANSTRÖMER, Wiersze; JAN POLKOWSKI, Nowe wiersze; EWA KURYLUK, Z myślą o ojcu; JAN RINGLER, Wiersze. EUROPA ŚRODKA: BARBARA TORUŃCZYK, O królach i duchach. Z opowieści wschodnioeuropejskich. LISTY Z PARYŻA: WOJCIECH KARPİŃSKI, Mapy Czesława Miłosza. ŚWIADECTWA: WOJCIECH KARPİŃSKI, Listy Jerzego Stempowskiego; JERZY STEMPOWSKI, Listy do Józefa Czapskiego; HANNAH ARENDT – KARL JASPERS, Listowna rozmowa. PREZENTACJE: JAN KOTT, Gilgamesz albo śmiertelność. SPOJRZENIA: MİRCEA ELIADE, Brancusi i mitologie. O KSLAŻKACH: SEAMUS HEANEY, Atlas cywilizacji; JAN KOTT, Żmut – jaka to forma?, TOMAS VENCLOVA, Rok 1984 minął. NOTATKI. NOWE PUBLIKACJE. NOTY O AUTORACH. SOMMAIRE.

Numer 20 *Zeszytów Literackich* ukazał się w październiku 1987.  
Do nabycia w redakcji (CAHIERS LITTÉRAIRES, 44, rue Tiquetonne  
75002 PARIS).

Cena pojedynczego egzemplarza wraz z przesyłką 50 FF  
(7,50 \$US); pocztą lotniczą 56 FF (8,5 \$US).  
Prenumerata roczna – 170 FF (25 \$US); pocztą lotniczą 210 FF  
(30,00 \$US).

# Kontakt

ISSN 0756-3086

42, rue Raymond Marcheron

92170 VANVES

France

tel. (1) 46 45 87 16

Directeur de la Publication

Miroslaw CHOJECKI

Redaguje Zespół

Imprimerie KONTAKT

42, rue Raymond Marcheron

92170 VANVES

Depot legal 3-eme Trimestre 1987

N° CPPAP 66969

## PRZEDSTAWICIELSTWA

### AUSTRALIA

Polish Book Depot VISTULA

King York House

32 York Street

Sydney N.S.W. 200

### AUSTRIA

Polnische Buchhandlung

Księgarnia Polska

Burggasse 22

1070 Wien

tel. 0222/938.72.22

konto PSK Wien 722 75 56

### NIEMCY ZACHODNIE:

Andrzej Wirga

Berliner Str. 61

6500 Mainz 1

### NORWEGIA

Paweł Gajowniczek

Lindebergsgaten 32 B

1068 Oslo 10

### STANY ZJEDNOCZONE

Polonia Bookstore

2886 Milwaukee Av.

Chicago, Ill 60618

### SZWECJA

Solidarites Informationskontor

i Sverige

Vastmannagatan 9 III,

11124 Stockholm

Miroslaw Ancypio

Independent Polish Agency

Box 2113, 220 02 Lund 2,

tel. 046.14.34.16

### WIELKA BRYTANIA

Marek Garztecki

Voice of Solidarity

215 Balham High Road

London S.W. 17

Warunki prenumeraty licz.	6-mcy	rok
Francja (FF)	30,00	170,00 330,00
Australia (dol. AUS)	8,00	44,00 83,00
Austria (Szl.)	77,00	400,00 770,00
Dania (DKr)	40,00	220,00 400,00
Kanada (dol. CAN)	6,50	38,00 72,00
Norwegia (Nkr)	30,00	170,00 330,00
Niemcy (DM)	11,00	55,00 110,00
Szwecja (SKr)	30,00	170,00 330,00
Szwajcaria (FRS)	9,00	48,00 90,00
USA (dol. USA)	5,50	30,00 57,00
Wlk. Brytania (£)	3,00	17,00 33,00

Prenumerata pocztą lotniczą jest droższa o równowartość 70 FF (prenumerata półroczna) i 140 FF (prenumerata roczna).

W krajach niewymienionych prenumerata półroczna - 170 FF, roczna - 330 FF.

Numer podwójny kosztuje 50 FF lub 14 dol. AUS, 129 Szvl., 66 DKr., 11 dol. CAN, 50 Nkr., 18,50 DM, 50 SKr., 15 FRS, 9 dol. USA, 5 funtów.

Wpłaty prosimy dokonywać na adres redakcji.

Naliczności wysyłane pocztą lotniczą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

KONTAKT. CCP PARIS 351140 F.

350.-